

Sceny sejmowe

Data

Data

BIBLIOTEKA I MUZEUM Z. N. P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:**10 PROŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA**

- I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
- II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami.
- III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
- IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
- V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
- VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
- VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
- VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
- IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
- X. Nie wrywaj i nie niszcź obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Biblioteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

C * *d. 1183*

SCENY SEJMOWE.

GRODNO 1793.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

ODBITKA Z DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO.

POZNAŃ.

DRUKIEM J. J. KRASZEWSKIEGO (DR. W. ŁEBIŃSKI).

1875.





Wiosna w roku 1793 na Litwie była mokra i chłodna, doczekać się nie mogli ludzie dni jaśniejszych. Weszło czasem słońce, przygrzało odrobinę, zdawało się, że oto już, już zrobi się ciepło i zielone listki, które się dobywały leniwo, będą mogły nareszcie się rozwinąć, aliści napędził wiatr chmurę szarą i sypnęło krupami, często śniegiem, a smagało tak od północy ostrym szronem, że o zrzuceniu kożucha i mowy być nie mogło. Ci co pozasiewali zawczasu mocno się frasowali. Za każdą zmianą księżycą spodziewano się téż i w pogodzie polepszenia — lecz się to wcale nie iściło. Ludzie z tego wnosili różnie — Moskwa górę bierze, mówili, jak tylko jej szcześnie służy, chłody na świat idą.

Przytaczano nawet tego przykłady, że ile razy Moskale do Polski wchodzili, z nimi śnieg i mróz i wszystka bieda.

Tak samo dowodził i pan Michał Borysewicz, a był człek, co dosyć przeżył, wiele widział i pamiętał i oko miał na każdą rzecz, o którą się otarł. Naówczas już lat sobie liczył pod pięćdziesiąt, choć się trzymał czerstwo i zdrowo i pracował jeszcze, gdy się robota trafiła, nie tylko dozorując nad czeladnikami, ale i sam nieraz do kielni się biorąc z ochotą wielką. Był bowiem majstrem mularskim, a ile przez swe życie cegieł naskładał, gdyby, jak powiadał, choć szelągów tyle miał, milionowymby był panem. Za nieboszczyka

Tyzenhauza co stanęło murów na Horodnicy na fabryki, wszystko niemal pan Borysewicz dozierał, choć naówczas młodszym był. I z tamtych to czasów zebrał sobie trochę grosza, tak że domek całę piękny mógł postawić za Dominikanami, i już przynajmniej o dach był spokojny, że cudzego potrzebować nie będzie. Zostało się też coś w skrzyni na czarną godzinę. Jednego syna tylko miał Borysewicz i tego, choć mu różnie radzono, żeby go do czegoś lepszego sposobił, bo go na to stać było — oddał do mularza, a w swoim rzemiośle zachował. Dopilnował tylko, aby czytać i pisać umiał i żeby mu się głowa otworzyła. — Pani Michałowa byłaby go pewnie albo na kupca dała albo do delikatniejszego rzemiosła, ale się Borysewicz uparł, a gdy on czego chciał, nie sprzeciwiała mu się nigdy, bo wiedziała, że człek był rozumny.

Rodzą się to tak ludzie, jednym w głowę łopatą kładną, a próżną zostanie, drugim to samo przychodzi nie wiedzieć zkąd i jak. Borysewicz edukacyi, jak to mówią, wcale nie miał, przecie go się nieraz i tacy radzili, co jęj dużo mając, korzyści ztąd żadnej nie wyciągnęli. I człowiek był równie stateczny, uczciwy jak rozumny, a dziwnie skromny. Drugiby się z tych darów bożych puszył, bo i u ludzi miał konsyderacyą i na niego we wszystkich ciężkich sprawach się zdawano i w bractwie Różańcowém starszym był od dawna i w cechu i w magistracie, co powiedział, pewnie przeprowadzono, ale on ani granatowej kapoty nie zrzucił, ani dawnęj cichęj a skromnęj pokory swęj. Nikt go gniewającego się nie widział nigdy, westchnął często, głowę pokiwał, a gdy mu już co bardzo dokuczyło, tylko milczał.

Zonę też mu Pan Bóg dał kobietę, która się na nim poznać umiała. Pocziwa z kośćcami pani Michałowa, chyba tę jedną miała wadę, że okrutnie ciekawą była i gadać lubiła niezmiernie. On też jęj nie przeszkadzał, wiedząc, że jęj to bodaj do życia potrzebne. Od czasu jak się pobrali, nie wiem czy kiedy spór między niemi na prawdę i na ostro się toczył, czasem się pospierali trochę, a no w końcu pani Michałowa ustąpiła, wiedząc, że kiedy Michalisko przy czém stoi,

to już pewnie wie dla czego. Dworek Borysewiczów za Dominikanami był całę niczego, ale znowu nie żadna to kamienica, ani pałac jak Sapieżyński. Dla oszczędności na pół go nawet z drzewa postawił pan Michał. Ubogi był a chędogi. Za nim mieli kawał ogrodu spory dla warzywa, a ccś tam i drzewek owocowych posadzono i nie źle się wiodły. W dziedzińcu wodę mieli własną i to tak przedziwną, że do niej z daleka ludzie z wiadrami przychodzili, a studnia nigdy nie wysychała i w lecie woda chłód trzymała.

Czegoż tam już było więcej żądać oprócz błogosławieństwa Bożego? Żyli Borysewiczowie po prostu jak z dawna byli zwykli, nie zachciewało się im niczego a głodu nie było. Stara Paraska kucharzowała, prała, pełła w ogrodzie, chodziła na rynek z koszykiem i z pomocą małej Horpyнки obsługiwała cały dom, jak nie można lepiej. Pani Michałowa z założonymi rękami siedzieć nie lubiła i choć na święto mogła i jedwabną suknię włożyć na siebie gdyby chciała — tak dobrze ziele siekała i w kuchni się krzątała jak i Paraska. Na wszystko był czas, i na nabożeństwo z książki i na koronkę z pamięci, i na mszę św. a czasem i nieszpór i na godzinki i na gospodarstwo.

Borysewicz też choć dworek miał, kapitalik i po ludziach na obligach coś i w skrzynce gotowiznę na czarną godzinę, gdy się tylko robota trafiła, nie gardził nią, nawet gdy trzeba było jechać o mil kilka i kilkanaście. Naówczas pani Michałowa co się następowała i nabiedowała, Panu Bogu tylko było wiadomo. Czasem go też od mniejszych robót odmawiała, woląc żeby w domu siedział.

W tym roku jakoś nie trafiło się nic. Miał pan Lachnicki coś murwać, ale rozmyśliwszy się, dał pokój, powiedziawszy tylko — teraz nie czas. Czas w istocie był smutny, złote dni owe po trzecim maja... które radością i nadzieją napęlniły były serca, zaszyły chmurą targowicką. Z Targowicą weszły wojska moskiewskie i zalały kraj i objadały biednych ludzi... i wróciło wszystko do tego nieszczęśliwego porządku jak za Repnina... Repnina też starego tylko że nie było widać. W mieście to ludzie czuli równie dobrze

jak po wsiach, bo co była owa majówka ludziom ręce porozwiązywała, a mieszczaństwu dała swobodę, aż się panowie szlachta do ksiąg miejskich wpisywali — za Targowicy wszystko w łeb wzięło i m u n i c y p a ł o m, jak ich zwano, batami grożono, jeśliby o wolności śmieli pomyśleć.

Mieszczanie też szczególnie na Targowicę kosém patrzyli okiem...

Ale i ją prędko pan Bóg pokarał... Od czasu jak weszły wojska „najjaśniejszej protektorki,“ które ks. Łuski „przyjacielskimi“ nazywał, z Targowicy tylko imię zostało. Rządzili Moskale a Kossakowscy co tak nosa darli do góry, kłaniać się im chodzić musieli. Szczęsny Potocki włosy sobie z głowy darł, gdy znać dano że oto i Prusak wchodzi i znowu rozedrą na poły Rzeczpospolitą... płakał, przeklinał — nie pomogło nic. — Cesarzowa nogą tupnęła i powiedziała mu: — Tu ojczyzna twoja! Tak samo wrzeszczał Rzewuski, tak samo się darł Walewski wojewoda sieradzki i wielu innych — po niewczasie... Panowanie tedy zostało przy tych, których sobie Moskale za pieniądze kupili, bo nikt pocciwy do ćwierutowania ojczyzny powtórnego ojcobójczej ręki podnieść nie chciał...

Co było podówczas lamentu i rozpacz — ilu się ludzi z tego rozpiło, oszalało — pomarło, któż to policzy? Chyba ten, co każde technienie człowieka rachuje i bez którego włos nie spadnie z głowy.

Smutny czas był zaprawdę — a nigdzie może smutniej nie było, jak w Grodnie, choć tu się okrutnie weselić sposobiono. Już pierwszych dni Kwietnia zaczęło się wszelakie tałatajstwo ciągnąć nie tylko z Warszawy, ale ze wszech stron świata. Bo sejm, wiadoma to rzecz, jest jak jarmarek, sprzedają się sumienia, targują dusze, wstyd idzie za pieniądze, cnota umiera ze strachu, więc temu wszystkiemu muzyka przygrywać musi i z beczek płynie szal, coby rozum zalał, a jak na jarmark cyganie i kuglarze, i muzykanci i wydrwigrosze i rzezimieszki ciągną. — Pamiętali ludzie ów srogi sejm pamięci delegacyjny, gdzie między siebie jezuickie srebra i klejnoty szulery rozszarpały... nie było się też lepszego czego srodziwać na tym sejmie,

który miał znowu miliony ludzi podać w niewolę moskiewską i w stokroć gorszą od niej niemiecką, a znali już ludzie obie... i knut a Sybir, i fortecę a taczki, i tę torturę powolną — co krew wysysa, co życie wysmokuje... a człowiek nawet nie wie, kędy one z niego wychodzą i jak.

Gdy się Borysewicz o sejmie dowiedział aż się za głowę wziął.

— Panie Jezu, Zbawicielu najśłodszy, zawołał — znowu tych nieproszonych gości będziemy mieli. Naślanie! plaga...

Michałowa stała w progu, w boki się wzięwszy, głową kręcąc.

— E! jużbyś też nie wydziwiał, odpowiedziała, pana Boga nie obrażał. Tać to się wszyscy w Grodnie cieszą, bo ludzie na sejmach majątki robią... a tobie i to nie w smak...

Spojrzał Borysewicz na kobietę i podstrzyżonego wasa szpakowatego potarł.

— Co bo pleciesz, moja jejmość — począł powoli. Miłaż to rzecz na cudzém zarabiać nieszczęściu, co dopiero na takiej pladze jaka nas spotyka? A toć to kraje zabierają Moskale i Niemcy... krwawemi na to płakać łzami, a jejmości smakuje grosz co się na tém zarobi. Bodaj go oczy moje nie oglądały, ani ręce nie tknęły... A toć to oni tu zapisywać będą i pieczętować co komu padnie... a toć to lament i narzekanie ten sejm!!

Michałowa głowę kręciła.

— Niby to ja nie wiem? albo mi to miło? Boże wielki! alic my tego nie przemienimy, bo to z góry płynie. Głowę muru nie przebijem. — Choćbyśmy jak płakali. Co tu nasze łzy pomogą! A przez to nie mielibyśmy zarobić grosza, .. kiedy drudzy go pełne kieszenie napchają.

Michał nie odpowiedział nic — ramionami ruszył.

— Ja tu nie zarobię — rzekł po chwili — bo tu oni nie murować przyjdą, ale rozrzucać, a ja się do tego nie zdał.

Złagodniała jejmość i ręce już skromniej założywszy na piersiach — cicho się odezwiała:

— Posłuchajże, mój kotku, — ja o niczem inném nie chciałam mówić, tylko żebyśmy aby raz ze dworku parę izb co nie potrzebnie stoją, najęli komu. Taż to Tarabaszowa po dukacie z pościelą brała na dzień za izdębkę, co się ani umywała do naszych, a Merchel za pokój ze dwoma oknami brał, tak mi Boże dopomóż, trzy dukaty dziennie. Ta to srogie pieniądze! Dla czego byśmy my zarobić nie mieli. Już teraz na wielkiej ulicy żeby kto milion płacił, mieszkania nie dostanie, sklepy powynajmowane..., złote góry pobrali za nie... nigdzie wkrótce mysiego kątko nie będzie, a u nas mają dwie takie izby pustką stać, że w nich by choć wojewodę nie wstyd było pomieścić.

Śluchał tego z uwagą i cierpliwością pan Michał, niekiedy tylko jakby prychając a szepcząc — No, co dalej? co dalej — aż się jęmość zupełnie wygadała i umilkła.

— No, to ja teraz jęmości powiem, odezwał się, że nie wiesz, co to lokatora do domu wziąć. Nie wiadomo, na kogo się trafi, czystą dominę zapaskudzą, odrapią, zachlasczą... Dzień i noc spoczynku nie będzie... Moskali może naprowadzą! Kto ich wie? Stanie pocziwy, to go łotry będą pod oknami śpiegowali, stanie łajdak, to szulernią założy, to się do niego jęmościanki będą schodziły... obraza Bożą, na dom niebłogosławieństwo... i to dla dukata na dzień! Tfu!

Majster plunął i poszedł w drugi kąt.

Michałowa długo milczała... ale głową tak kręciła, że znać było, iż ją jeszcze mąż nie przekonał.

— No, dajmy na to, że i jegomość masz racyą, boć wam rozumu, choćby lepszego niż mój, nikt nie odmawia... panie Boże uchwaj! Ale i mnie posłuchać można. Albo ja się opieram, albo to ja chcę na swoim postawić. Jegomość mnie znasz, jak ja jego — ie zechcesz, toć nie będzie, gwałtu wam nie zadam, a no, i ja mam trochę racyi. Czy to my mamy się napraszać z naszymi izbami, a pierwszego z brzegu brać, zamrużywszy oczy, albo to my sobie takiego wybrać nie możemy, coby nam przystał? To ludzie biedaczyska dachu będą szukali za drogie pieniądze,

i żydzi ich będą darli, a my z pustemi izbami, poryglowawszy je, siądziemy, aby nam ścian nie powalano.

Mój Michale... albo to ja na grosz tak chciwa? powiedz...

— Jużcié nie! — szepnął Michał.

— A kiedy pocziwie, po Bożemu można dla jedynaka przysporzyć jakie parę tysięcy... my się będziemy wzdragali.

— Zaraz parę tysięcy! — zaśmiał się Michał.

— A jużcié! albo co? niech jegomość trzy miesiące porachuje. Sejm pewno krócej nie potrwa, jeśli nie dłużej, a po dukacie dzień... w ręce nas pocalują...

Michał był trochę przekonany a bardzo markotny, przeszedł się po izbie.

— Wolałbym ja i tego sejmu i tych pieniędzy nie widzieć. Czyście to popatrz yli, co się do koła dzieje... na Horodnicy... wszędzie kozactwa, żołnierstwa, armat, ciurów, jak mrówia... Ktoby powiedział, że nie na sejm a na wojnę się zbierają...

— Cóż to ma do tego! co my poradzimy na to? — zawołała Michałowa. Dopust Boży!

Majster z rękami w kieszeniach granatowej kapoty przechadzał się milczący.

— Ino tylko chodź, a nie bądź zły, a pogadajmy — rzekła, przymilając się majstrowa — jak mnie co dobrego życzysz...

Milczący poszedł za nią Borysewicz.

Dworek był obszerny dosyć, a ich w nim dwoje i służby dwie dusze... Z sieni troje drzwi prowadziło na prawo do mieszkania majstra i majstrowej. Na wprost była kuchnia i spiżarnia. W lewo od wniścicia stały pustką dwie izdebki nieopalone, czyste, które właściwego przeznaczenia nigdy nie miały. Nie brakło im nic, bo i piece i okna, podwójne nawet, i podłoga z tarcie była porządna, choć zafolowana... Lecz że tu nikt nie mieszkał, służyły za skład wszystkiego, co gdzie zawadzało. Faski, dziezki, necutki, tarcice, drabiny, słoma, węgiel... połamane stołki, stoły stare, zrzucone były po kątach... trochę cegły stało w jednym, stare kafle w drugim...

— Patrzajże — wchodząc, rzekła majstrowa — albo to nie można wyporządzić duchem, jak my się z Paraską do tego weźmiemy, a choćby przyszło i parobka nająć na jaki dzień.

— A gdzie się z temi rupieciami podziąć? — zapytał majster.

— Gdzie? miły Boże, a na strychu, na wyżbach, a w szopce, albo to miejsca mało?

— Dajmy na to, — mówił Borysewicz — cóż cztery kąty a piec piąty jejmość im najmiesz... Ani stołu porządnego, ani stołka, ani tarczana, nie mówiąc już o łózkach... Wszystko to państwo, szlachta, rozpieszczona, popsuta... choć najlepsi ludzie... ani zwierciadła, ani kotary... a u nich bez tego nic...

— Jużecie się wygadali? — spytała majstrowa — to posłuchajcież... Tarczany dwa tak jak mam... tarcice są, cztery kołki to i nogi. Stół jest a jak się wyszoruje... nie może być lepszy, choćby politurowany. Stołków pięć prostych postaram się... Zwierciadło, kto się muskać chce, niechaj z sobą wozi... Zechce kto mojej chaty jaka jest — dobrze — nie... z Panem Bogiem! Nie zekspensujemy się na to...

— Róbże sobie, jak chcesz — zakończył Borysewicz — ino ja jedną rzecz waruję... żebym temu, co najmie, nim się słowo da, w ślepie spojrział i pogadał z nim, bo żadnemu — z pozwoleniem, szelmie, żeby mi kupy złota dawał — nie najmę.

Poklepała go po ramieniu pani majstrowa ucieszona.

— Niechaj będzie, jak pan każe, niechaj będzie! Wola wasza.

Borysewicz poszedł na miasto, a Michałowa natychmiast wzięła się do roboty... Pobiegła do kuchni dać znać Parasce, że postawiła na swoim, bo w niedostatku innego towarzystwa wiele z nią mawiała, a rada była, że jej słucha. Paraska sama odzywała się rzadko, raz że zawsze była schrypniętą, powtórę iż jej się zdawało, że jejmość za nią zawsze sama, co trzeba, wypowie.

We dworku zagotowało się aż od pospiesznej roboty... Kilka pustych beczek wytoczyło się w dzie-

dzinieć... sień zapełniły neckami i drzewem... pył powstał taki, iż kaszlu obie kobiety nabawił, ale oczyszczenie izdebki szło szybko...

Borysewicz tymczasem ręce w kieszenie włożywszy, pociągnął do miasta... Trochę się jakoś przejaśniać zaczynało... Nie miał co robić we dworku, a ten rozgardiasz był mu nieprzyjemny, wolał więc się przejść a przypatrzeć. I było czemu... Grodno zwykle ciche i spokojne, w którym z żydami pospołu nie było nad cztery tysiące mieszkańców, teraz się roiło obcymi... nie licząc Moskali.

Na Horodnicy to, co nazywano Tyzenhauzenowskim zamkiem, a raczej ekonomią, pięciokątny budynek obszerny o piętrze, przysposabiano dla ambasadora. Już tam bryki zajeżdżały. Na nowym zamku, gdzie król miał stać, pokoje malowano dla niego, w pańskich kamienicach na gwałt czyszczono, skrobano i smarowano, obywatele też miasta Grodna domy swe pokątniejszemi dla najmu czynili. W ulicach pełno było fur, pełno bryk, bo kupcy z Warszawy już się zawczasu ściągali. Konno, pieszo, na bryczkach ludu moc wila się wszędzie, że i przejść nie bardzo było łatwo.

Borysewicz wiedział, że, gdzie Moskale gospodarują, tam i przypatrywać się nie bardzo bezpiecznie; rygor straszny, więc tak patrzył jakby widzieć nie chciał i usunął się dalej. Już był od domu uszedł spory drogi kawałek, gdy naprzeciw siebie idącego zobaczył księdza. Był to Dominikanin, ksiądz Patrycy Sobek, dobrze mu znany, spokojny księżyna, chorowity, uczony, mieszczańskie dziecko, więc niepyszny i przystępny. Pokłonił mu się zdaleka a blady ks. Patrycy odpowiedział uśmiechem. Zeszli się powoli ku sobie zmierzając.

— Czego to jegomość wychodzi? odezwał się Borysewicz, wszak podobno kaszlesz? pora taka wilgotna, człek i nie mając kaszlu nabawić go się może.

— Zachciało się! odparł cicho ksiądz, uśmiechając się z dziecinną prawie prostotą, — gorzej mi chyba nie będzie a powietrze wolne lżejsze dla mnie niż w murach i celi. Kaszlu się nie pozbędę aż... kiedyś... a trochę wiosną odetchnę.

— Albo to wiosna? odezwał się Borysewicz.

— A cóż, spytał ksiądz ciekawie w niego wlepiając oczy.

— Albo ja wiem! westchnął majster. Na wiosnę to się dawniej człeku serce radowało, oczy się śmiały, a teraz!!!

— Prawda, rzekł z cicha oglądając się ks. Patrycy, a i to przeżyć trzeba i wszystko, co Bóg ześle.

— Czyż to Bóg? szepnął majster smutnie, ksiądz nań popatrzał zdziwiony.

— Grzechy nasze — dodał Borysewicz, — grzechy nasze.

To rzekłszy i nie chcąc księdza zatrzymywać, już go miał pożegnać, gdy ks. Patrycy wstrzymał odchodzącego.

— Król w tych dniach przyjeżdża, rzekł, — do miasteczka ciągną a ciągną ludzie... o miły Boże, co to tu za tertos będzie! Nie słyszeliście w magistracie, prawda to, że z miasta ni do miasta nikomu nie będzie wolno ino za moskiewską kartą?

— Nic nie wiem, bo i do magistratu nie chodzę, odparł Borysewicz, tam teraz dobrali takich, co lepiej odemnie słuchają — a czemu nie ma tak być? pewnie...

— I armaty mają stać dokoła zamku?

— Pewnie, potwierdził Borysewicz.

— Kiedy tak to i do Łosośny na przechadzkę nie puszczą — dodał ks. Patrycy.

— Abyśmy choć po ulicach chodzić mogli, i toby dobrze było.

Westchnęli oba, gdy z za węgła ukazał się niespodzianie mężczyzna z wąsami do góry poddartymi, mina junacka, po niemiecku ubrany, z laską w rękę. Chód miał wojskowy, twarz nieprzyjemną i plamami jakimiś okrytą. Bystro patrzył a dumnie. Na księdza Patrycego i majstra spojrzawszy wprost natarł na nich.

— Jegomości dobrodzieju! rzekł, uchylając kapełusza... a — pan Borysewicz!

Skłonili się oba. Stał koło nich.

— A co? rzekł, chrząkając i spluwając jakby mu co w gardle zawadzało... nasze Grodenko na stolicę zaczyna wyglądać.

Oba zagadnięci nic nie odpowiedzieli.

— Jeśli kilka miesięcy taka frekwencya potrwa, panowie posesyonaci porobicie fortuny. Wyrazy te zwrócone były ku Borysewiczowi.

— A niechno pan kapitan obliczy, co nas tu życie kosztować będzie, kiedy już wszystko we dwójnásób zdrożało... Na targu się niczego dokupić nie można. Ledwie fura stanęła, już ją kozacy i żołnierze obstąpili z jednej, a przekupnie warszawscy z drugiej strony... Gdzież tu się ubogiemu mieszczaninowi docisnąć.

— No — no, zawołał kapitan — tak to się pierwszych dni zdaje — będzie ono inaczej. Zarobicie pieniędzy dużo.

— Ino nie ja — dodał Borysewicz.

— Waćpaneś dworku nie najął? zapytał kapitan.

— I nie wynająłem i nie wiem, czy najmę.... dopierobym sobie kołtuna do głowy przywiązał... Kapitan wesa kręcił... zbliżył się do Borysewicza i rzekł mu cicho:

— Jabym wam postawił porucznika od jegrów, strasznie dobry człowiek... mielibyście z niego dochód, boby się stołował!

— A niech mnie ręka boska broni! krzyknął Borysewicz — za nic w świecie.

Kapitan śmiał się... Wtém ksiądz Patrycy bardzo grzecznie pokłoniwszy się odszedł, a oni sam na sam zostali.

— A toż dla czego? ciągnął dalej kapitan, niby to Moskale nie ludzie, a między nimi są i bardzo dobrzy...

— A czemużby nie mieli być, mruknął majster, nie mówię nic — tyle tylko, że ja żadnych żołnierzy nie lubię, choćby z pułku Michała Archaniola, mojego patrona...

— No, to cóż będzie! jak się tak wszyscy wymawiać zechcą, cóż ja z kwaterunkiem zrobię?

Nic już nie mówiąc Borysewicz obejrzał się do koła, sięgnął pod połę do kieszeni aż się pochylił. —

Wszystkie jego ruchy bacznie śledził kapitan, węża pokręcając...

Milczenie trwało minut parę. Majeter coś dobył z sakwy i w rękę kapitanowi wcisnął, który nic też nie mówiąc, schował wzięte do kieszeni i szepnął:

— Oto ja lubię, kiedy kto się zna na sprawie... Waćpan wiesz, że ja sam służyłem w wojsku Imperatorowej, co prawda to prawda, są w nim ludzie bardzo porządni, ale i takich siła, którzy nosa palcami uciierają, a jedząc kości przez siebie rzucają... Ja ich szanuję... to naród bogaty! rublów mają moc... ale tak i bezpieczniejszy od nich z daleka...

Borysewicz się uklonił i tak się rozeszli, a kapitan uśmiechając się do siebie, rzekł w duchu.

— Dobrą gratka! trzeba iść dalej na polowanie. I pociągnął ulicą śpiewając.

O litewskie sioła i gaje! nadniemnowe doliny i wzgórza — ciche brzegi pięknej rzeki kamieniami usłane wędrownymi, co gdzieś z drugiego stoczyły się tu świata! o łąki zielone z pastuszą piosenką, ze stadami białymi jak perły rozrzuconymi na aksamitach darniowych — o! mruczące ruczaje, pochyłe brzozy, krzywe sosny stare, ziemię, z której wiatr kości spruchniałe wywiewa... chaty na kamiennych progach... kościółki jodłami opasane... i cmentarzyska, na których jodłowce czarne się kładną tuląc mogiły... któż waszego obrazu na sercu nie nosi, gdy raz choćby stopą wielgrzyma piękne a smutne wasze przewędrował gościńce?

Kraj to ciszy i milczenia, spokoju i oczekiwania. Lasy śpią i kołyszą się senne, rzeki płyną drzemiące i rozmarzone, trawa wyrasta powoli i leniwo, brzoza się chyli ku ziemi ospała... opuściwszy znużone gałęzie... nawet ptasze śpiewa półgłosem, aby nie zburzyć milczenia.

Kraj to jak w bajce — zaklęty... Wszędzie ślady dawnego życia, ruchomego, potężnego, po którym przyszedł — spoczynek.

Kamienie, co dziś leżą mchem okryte, niegdyś grzmiały lecąc z morza falami... aż się tu położyły znużone; wody powyrywały łożyska ogromne, których wążkiem ledwie ciekłą korytem... na pagórkach w proch zwolna rozsypują się grody, których imienia nikt nie wie, w polu pług wyorywa okruchy wojny i gospodarstwa, śmierci i życia... Nikt nie pamięta, kto sypał mogiły, nikt imienia nie da kniejom... po za wrotami dziejów leżą klucze tej przeszłości.

Jedno wielkie cmentarzysko, po którym snują się ludzie, stąpając cicho, ażeby zmarłych nie zbudzić! Patrząc, jak te stare krzyże omszone na pogańskich mogiłach mówią pacierze za wszystkich zmarłych od początku wieków... Jakie to piękne, a jakie to smutne...

Wykwitł kwiatek na leśnej łące... przychyl się do niego i zajrzyj mu w twarzyczkę... wykwitł z popiołów... i ma ich barwę bladą i woń jakąś ledwie pochwycną... Tu inaczej lasy szumią... poważnie, uroczyście... modlitewnie... kołyszą się powoli... Spojrz na ich stopy... zda się, że tysiąc węzów splotło się na te korzenie, któremi wdarły się w ziemię głęboko. Wieki to trwało, nim się wpiły w łono cmentarza... szukając jakichś resztek życia. I rosną powoli... Słońce tu grzeje inaczej, i lazur nieba jakby ociągnięty przezroczystą zasłoną — a nocą, gdy gwiazdy wejdą — rzekłbyś zaspane tak blade i małe... Kłosa na polu rzadkie i nie rosną wysoko... po co umarłym chleba... Jutro przyjdą żywi i z niebios opadną zasłony, i w lesie zaśpiewają ptacy i strumienie pieśń wielką zanucą... Niech śpi stara kraina bojów... niech śpi...

Taka drzemiąca była wioska nad Niemnem o pięć mil od Grodna — ale w niej było pięknie i miło, że kto tam pobył, nie chciał mieszkać gdzieindziej. Bo tu wszystko mówi do człowieka i wszyscy się z nim przyjaźnią, od kamienia poczynawszy do ludzi.

Nic jej nie brakło, tak że gdyby się świat po kawałku okruszył do koła, a ona jedna została, wystarczyłaby sobie... Miała pola, łąki, lasy i brzeg Niemnowy i kościółek na pagórku i dwór nade drogą, tylko jej starych panów nie stało.

Ludzkie dole! Gdzie były świątynie, stawia następne pokolenia karczmy, — na grobach budują się kolebki i po stopach aniołów depczą szatany... Gdzie mieszkał spokój, jutro przychodzi z rzezakiem mord i wojna. — Ludzkie dole!

Starych Wiguntów, co tam niegdy mieszkali, nie stało... przecię dwór pustką nie został... kilka lat biegały po nim myszy, aż się ktoś z Wilna zgłosił i we wsi się ludzie dowiedzieli, że mieli pana... Jedni po bezkrólewiu, czasu którego rządził, kto chciał, mówili — Chwała ci Panie — drudzy trzęśli głowami i myśleli — a nuż jeszcze będzie gorzej!

Tymczasem zjechał pan szambelan Porzewski z panią szambelanową Porzewską i z panem rotmistrzem Żubrem, bratem jejmości... i z mnogim dworem, ludźmi, brykami, kredensami. — Wnet się poczęli rozpatrywać wszędzie, a piękna acz już nie najpierwszej młodości szambelanowa wołała w uniesieniu, iż miejsce jest romantyczne... że tylko „dziką promenadę“ założyć potrzeba i świątynię w niej postawić... a będzie to mały raik, że fraszka Powązki...

Rotmistrz siostrze wtórował, lecz i on i ona znajdowali, iż nadzwyczaj wiele tu zrobić potrzeba a wszystko, co było, wyrzucić...

Śmiali się z sernika jak z karykatury, lamus się im wydał obrzydliwy... ploty przypominały im niewolę... a w ostatku drzewa imienia tego nie były warte. Pani chciała sadzić platany, rotmistrz życzył akacye...

Szambelan sam, który wszędzie za niemi chodził, kiedy niekiedy z kieszeni dotykając tabakierkę złotą, zażywając hiszpankę i skręcając palce... nie mówił cale nic, głową tylko dawał znaki różne, nie, żeby całkiem mówić nie umiał, lecz był do tego leniwy. Głowę zaś miał tak utresowaną, iż poruszeniami oznaczała, co chciał, zwłaszcza jeżeli jeszcze brwiami sobie pomagał.

Szambelan był rzadkiej piękności mężczyzną, patrzeć się nań było rozkoszą. Budowa Apollina, rysy szlachetne, czoło spokojne, wzniosłe, oczy ławo-niebieskie, lice rumiane, łagodności i uczucia pełne... Rękę miał, której mu kobiety zazdrościły...

Lecz że od nikogo zbyt wiele wymagać się nie godzi, od niego też nie wymagano nic nad to, iż w salonie sprawił śliczny obrazek. Mówił mało, a myślał zdaje się nie więcej. Był całe życie jakby uśpiony, gdy go zapytaniem biedzono — musiał się naprzód dowiedzieć — co takiego? co takiego?

Potém, jeśli mógł to zbyć ruchem głowy, czynił to chętnie. Ale jak się ubierał! jak się uśmiechał! On sam nieraz jak Narcyz we źródle patrzył sobie w oczy w zwierciadle przez kwadrans i znajdował w tém satysfakcyą. Natura dała mu instynkt przedziwny. Czy stał, czy siedział, czy się przechylił na kanapie, mimowolnie przybierał taką pozę wdzięczną, umiał tak ułożyć rękę, zarzucić nogę, ustawić pierś, głowę przegiąć na karku, iż rozkosz na niego była patrzeć. W Warszawie malował go z wdzięcznością Bacciarelli, Lampi, Grassi, Plersch, Norblin naszkicował, Marteau upastelował, Pinck biust jego wyrzeźbił. Kochały się w nim damy i — jakie! a! jakie, ale on zawsze wiernym swój „bogini“ pozostał. Boginią była pani Szambelanowa „boska Melania“ vulgo Emilia.

Prawda, że ona go trzymała — krótko — ale też kochała mocno. Szambelan był szczęśliwy i zupełnie szczęśliwy, nie zbywało mu na niczém, ubierał się, jak chciał, a ubierać się lubił. Grał przy tém, nie na flecie jak Fryderyk II., hetman Ogiński i księżę Radziwiłł panie kochanku — ale ponieważ flet piersiby mógł nużyć, na pikulinie, fleciku miniaturowym z czarnego hebanu, z kości słoniowej, który w kieszeni nosił.

Szambelanowa, która była romantyczna, siadała w pozycyi malowniczej. Szambelan u nóg jęj lokował się tak, aby grupa była piękna, dobywał pikuliny i echa powtarzały pieśni, które wywodził.

Oprócz tego rękę miał piękną w innym względzie, na papierze sztychował. Osobliwością było, jak jednym pióra pociąganiem robił całego ptaszka a jak ślicznie? Pisał tylko pod dykatą lub z cudzego, gdyż kazał się domyślać, że gdyby własną rzecz układał, jużby go to od kalligrafii odrywało.

To, w czém Szambelan celował, cenił niezmiernie wysoko: kto nie grał na pikulinie, nie pisał jak on i

nie ubierał się „de b u o n o g u s t o“ ten w jego przekonaniu nie wiele był wart.

Jednakże jako człowiek lubiący spokój i niezmiernie ostrożny, szambelan nigdy nie powiedział co myślał. Mówienie w ogóle uważał za rzecz i uciążliwą i niebezpieczną, w tém miał słuszość zupełną.

Co się tyczy „boskiej Milusi“, która także była piękną, a miała to przekonanie, iż nad nią nawet o piękniejszą było trudno, była to osoba bardzo znakomita. Z domu Żubrówna, primo voto była za księciem, który dobrze zrobił, że wkrótce umarł, zapisawszy ję cały znaczny majątek, gdyż cierpieć go nie mogła. Po śmierci księcia, który od tęg pory jak go pochowano, stał się dla nię „najdroższym cieniem“ ombre cherie! długo się wahała wdowa z wyjęciem za mąż, nie chcąc stracić ani tytułu, ani swobody wielce ję miłęj.

Złradliwy świat dał się ję w końcu we znaki; już znękana życiem, melancholią cierpiąc, znalazła „swego anioła.“ Tym był naówczas jeszcze bez żadnego tytułu ubogi człek, który miał wielką ochotę, ale żadnę zdolności do teatru. Sporobiono go do baletu. Wyrwała go ztąd księżna i wyrobiwszy klucz szambelański zaprzęła do swojego tryumfalnego wozu. Przez rok go kształciła na wsi i za granicą, dopiero pewną będąc, iż należyty efekt uczyni, zaprodukowała się z nim na wielkim warszawskim świecie. W istocie wrażenie było piorunujące, zdaleka wyglądał szambelan tak pięknym, a twarz promieniała mu taką inteligencyą (którę nie miał), że piękne panie jakiś czas szalały za nim. Ale „boska Milusia“ nie dała mu się zbałamucić i zejść z prawęj drogi.

Brat szambelanowęj rotmistrz Żubr wisiał, jak mówiono, przy siostrze z tego powodu, że wszystko był stracił i nie zostało mu nic nad serce złote Milusi. Umiał się ję przypochlebiać. Człowiek był zresztą wygadany, zręczny, gdy chciał, bardzo przyzwoity nawet, ale hulankę, burdy i złe towarzystwa lubiący tak że gdy się długo wyziewał w salonach, znajdowano go czasem w karczmie nad kwartą wódki, grającego w drużbarta z furmanami. Milusia mówiła, że był

excentryczny. Grosza mu powierzyć nie było podobna, takie go napadały fantazyje. Ale siostrze był zwykle posłusznym, oprócz chwil, gdy — ani on za siebie, ani nikt w takim stanie odpowiadać nie może. Naówczas jak słoń długo na uwięzi trzymany, gdy go tęsknica do pustyni napadnie, ryczy i rwie się, on ryczał nie wiedząc co plecie i obrażając delikatne uszy. Bywało tak, że go związanego kładziono do łóżka a wypawszy się padał do nóg Milusi i palce na krzyż złożywszy, poprzysiągł poprawę. Ale człowiek jest ułomny! *caro infirma!*

Szambelanowa przebaczała. Na wsi nie mogło się też nic trafić, gdyż wszyscy arendarze mieli zakaz naj-sroższy dawania mu napojów gorących i chyba się pokryjomu wyrwał do miasteczka. Naówczas ludzi po niego posyłano, bo już burda była pewną.

Widząc go w salonie, wyjąwszy, że nos miał czerwony, niktby się w nim tego słonia na uwięzi nie domyślił, — był choć do rany przyłożyć... wesół, miły, grzeczny, często dowcipny. Gdy spał się, dochodził do tego grubiaństwa, że siostrę przezywał takimi wyrazami, iż ona ich nawet zrozumieć nie mogła, a na które szambelan uszy zatykał i oczy zasłaniał.

Cóż z nim było uczynić? trzymać go musiano. Milusia życzyła sobie wielce, aby obrał stan duchowny i u Bernardynów w Wilnie poświęcił się życiu kontemplacyjnemu nad kufem, — lecz rotmistrz się gwałtem chciał żenić, a Bernardyni znający go z reputacyi, woleli się wyrzec jałmużny, niż dostać do zakonu rotmistrza.

A coby to był za kwestarz!

Słowem wisiał rotmistrz przy szambelaństwie... Między nim a mężem szambelanowej stosunek był osobliwy. Ile razy rotmistrz na niego spojrzał, szambelan podnosił oczy i zaczynał patrzeć w niebo. Było rzeczą dowiedzioną, że Żubr mu czasem język pokazywał, ale siostra o tem nie wiedziała, a pocziwy szambelan nie skarzył się nigdy. Jeżeli szambelan szedł z prawej strony, rotmistrz był z lewej, *et vice versa*. Sam na sam nigdy się nie spotykali, a zagrożony

tem szambelan, tak się prędko wynosił, iż posądzić go było można, że ucieka.

Przed siostrą Żubr mówił zawsze, iż szwagra pasyami kocha i wynosił go pod niebiosa, a że napiwszy się czasem go — osłem nazwał, nie miało to najmniejszego znaczenia.

Jeszcze jedna osoba należała do towarzystwa, była to panna Justyna Solska, krewna samej pani, której lata liczono bardzo różnie.

Młodą była i piękną, ale nie w rodzaju szambelanowej, której wdzięki na pokaz stworzone były... Justyna zdała się urodzoną do jakiegoś cichego kąta, którego być mogła ozdobą. Rodzice jej stracili majątek, ojciec zginął zabity okrutnie przez żołnierzy DREWICZA w konfederacyi barskiej, matka wyłakawszy oczy umarła. Dziewczę, które miało ciotkę u Wizytek wileńskich, w ich klasztorze się wychowało i wyniosło stąd może powagę jakąś, naturę milczącą, postawę skromną... Nikt z blizka nie znał panny Justyny, bo ze wszystkimi będąc łagodną i dobrą, nie odkrywała się nigdy, przynajmniej w tym domu, z uczuciami swojemi. Widziano tylko, że to był charakter energiczny, natura odważna, zamknięta w sobie, skłonna do zapалу — i nie ugięta, gdy co postanowiła.

Szambelanowa jej nie lubiła, naprzód dla jej piękności i młodości, które, choć jej zdaniem z własnemi jej wdziękami iść w porównanie nie mogły — jednakże postawione obok... nie gasły wcale. Ludzie sądzili różnie, a szambelanowa potrzebowała jaśnieć i być pierwszą.

Justyna jej się z wielu względów nie podobala. Raz mawiała na nią, że „sobie tony daje.“ — Czasem znajdowała, że to osoba „bez wyższego wychowania i bez żadnej delikatności.“ — W rzeczy samej pani była do pochlebstw nawykłą, a Justyna nie mogła wymódr na sobie, aby się jej przychlebiała, choć zależała od jej łaski.

W kółku swoim szeptała z pogardą szambelanowa „dobra sobie, ale extra-ordynaryjna.“ — Byłaby może pozbyła się jej dawno z domu „boska Milusia“ — ale sama nie wdawała się w gospodarstwo, nie umiała

sobie dać rady w niczém, wszystkim rządziła panna Justyna i póki przy niej były klucze, szło dobrze... nigdy nie brakło nic... a szambelanowa wygódki lubiła.

Pannie Justynie wcale dom w Wiercziszkach razem nie był, musiała jednak w nim pozostać, bo nie miała co począć z sobą. Reszta rodziny była ubogą, poszłaby była chętnie służyć u obcych — ale szambelanowa na to nie pozwalała. Była ona w istocie jej ciotką, nie dawała się wszakże tak nazywać, znajdowała to — nieprzyzwoitém i sobie uwłaczającém, .. Każdy powinien być na swoim miejscu, mówiła.

Rotmistrz, który znajdował pannę Justynę bardzo piękną, bo taką w istocie była — z początku próbował szczęścia i chciał zawiązać stósuneczek miłosny... Grał na gitarze i śpiewywał dawniej, — panna Justyna ani śpiewu, ani gitary, ani nadewszystko rotmistrza nie znosiła. Dała mu surową odprawę — poszedł jak zmyty. Próbował wprowadzić kilka razy na nowo w łaski się wkraść, lecz mu to tak nie szło, że panna Justyna albo wychodziła, gdy ją zaczepił, lub w inną stronę patrząc nie odpowiadała.

Daléko nieprzyjemniejszy stosunek był z pięknym szambelanem, który wprowadził przy żonie nigdy ani spojrzął na pannę Justynę, lecz byle się wykradł, spotkał ją samą jedną, znalazł zręczność przybliżenia się, dawał oznaki najczulszego usposobienia... Na te jeszcze surowiej odpowiadała nies częśliwa kuzynka, zupełnie ignorując natrętnego wujaszka. Gdyby szambelanowa mogła się domyślić choć cienia tej występnej skłonności — Justysiby dawno w domu nie było... Strzegł się żony, znając ją, Antineus, i ostrożnym był nadzwyczajnie.

Świętej potrzeba było cierpliwości, ażeby wytrwać w takim położeniu... Gospodyni nudziła się na wsi i znajdowała w tém pewien rodzaj rozrywki, że się wiecznie uskarżała na pannę Justynę, zawsze miała jakąś do niej pretensyą. Nie mówiła jej o tém, z przekąsem tylko szeptała mężowi albo zwierzała się bratu.

Lubiła panna Justyna czytać i chwyciła książki, jakie się trafiły, umiała ich sobie dostać w sąsiedz-

twie. Szambelanowa, która tylko komedye i romanse francuzkie czytywała... niecierpliwiła się tém upodobaniem kuzynki.

— Osobliwsza pretensya... zawsze w tych książkach siedzieć... Zaglądam! coś polskiego... jakieś banialuki... Gustu pojąć nie mogę. Sensatka!... o! filozofka... cha! cha!

Niezmiernie sentymentalna z kanarkami a nielitościwa dla chłopów... nie mogła téż pojąć tego szambelanowa, że się panna Justyna nie rozczulała słabością „złotego czubusia“ — a dawała lekarstwa z apteczki brudnym chamom. Słowem wieczna z nią była wojna...

Przeniesienie się do tego majątku świeżo nabytego opłakiwała szambelanowa. Jakkolwiek pozycya romantyczna się jój wielce podobała, i zajmowała się stósowném urządzeniem rezydencyi — po długim pobycie za granicą i w stolicy nudziła się okrutnie. Sąsiedztwa dla niej stósownego nie było wcale, krzywiła się na szlachtę... znajdowała, że nie było z kim żyć...

To téż miała zamiar stanowczy, jak skoroby w Wierciszkach się nieco, wedle swojego smaku uregulowała — wyjechać na mieszkanie lub do Warszawy a choćby zresztą do Wilna. W Wilnie miała dawne stósunki z Massalskimi, z Kossakowskimi, z Zabiellami, nawet z Niesiołowskimi i Sapiehami. Stary jój tytuł książęcy i pierwsze małżeństwo wielce jój to ułatwiało.

Tymczasem szambelanowa, która miała wiele gustu, chciała Wierciszki przekształcić, przebudować, uczynić z nich ideał „sielskiej rezydencyi.“

W dawnych dobrach, gdzie niegdyś mieszkała z pierwszym małżonkiem, pałac się był spalił, położenie było smutne, wspomnienia nie miłe. Zachwalono jój Wierciszki z ich piękności i na téj się nie zawiodła. Lecz tu było dla niej wszystko w stanie dzikości i barbarzyństwa... Stary dom należało obalić... na wzgórzu nad Niemnem miał stanąć pałacyk, na który już plan dał Gucewicz... wtyłe za nim założoną była dzika promenada... Przerzynała ją rzeczulka Szwentka, wpadająca do Niemna... Biegła ona parowem, przez który rzuconym być miał most, na jednej arkadzie. Nazwi-

sko Szwentki zmieniono na Murmurantę... Świątynia przyjaźni, pustelnia, kabanka, altana chińska i grotą... już miejsca naznaczone miały... Obelisk stać miał na urwisku nad rzeką z napisem:

„Dedié aux Ombres chéries.“

Wszelkich pomysłów szambelanowej wyliczyć trudno. Mąż jej unosił się nad niemi, a rotmistrz niemający zapasu wielkiego słów, dodawał na wszystko: — A to będzie paradnie!! to będzie — paradnie!

„Boska Milusia“ czasem nawet zniżala się do tego stopnia, że ze swych myśli szczytnych zwierzała się przed panną Justyną, choć ta „ordynaryjna istota“ ocenić ich nie umiała.

Raz nawet wyraziła się nieprzyzwoicie, że las był tak piękny, że nic do niego dodawać nie było potrzeba, chyba w nim ścieżki poprowadzić. Z litością spojrzała na nią piękna pani i nie powiedziała już ani słowa...

Tymczasowo mieszczono się w starym dworze, chociaż szambelanowa mówiła, że w nim umiera, że w nim nie wyżyje... Chyba mnie chcecie umorzyć! Sufity były niskie, a co gorzej, nie były to nawet sufity, nie były pułapy, było to — jak mówiła — coś okropnego!! Przeszły dziedzic, chcąc belki zamaskować, popodbijał je płótnem, z czasem obwisło ono a szczury i myszy wyprawiały tam harce okropne...

Chociaż meble nowe sprowadzono i co tylko było potrzeba do życia, do jakiego nawykła „boska Milusia“ — choć wiele niedogodności usunięto — znajdowała zawsze, że umiera... w tém więzieniu...

Na pałac-przygotowaną już była cegła... był plan gotowy... szło o to, ażeby zaraz z wiosną budowę rozpoczynać... Miejscowy proboszcz spytany o radę, nastręczył szambelanowej do kierowania robotami Borysewicza.

Posłano po niego furmankę do Grodna.

Majster Michał nie skory był do podejmowania się roboty, nie odrzucał jej jednak... Rozpytał się tylko u ludzi o tych państwa, dowiedział, że byli majętni, i, chociaż przyslaną furką nie przybył, oświadczyć kazał, iż w następnym tygodniu służyć będzie.

To się już trochę nie podobalo samej pani, której

się zdało, że taki jakiś rzemieślnik szczęśliwym się czuć powinien, gdy mu się zarobek trafia... Zrazu nawet chciała użyć innego, aby mu pokazać, iż się bez niego obędzie, lecz proboszcz zapewnił raz jeszcze, iż lepszego majstra nie znajdzie, że on przy Horodnicy jeszcze pracował, i że lepiej na niego poczekać a mieć z uczciwym człowiekiem do czynienia, niż wziąć łada partolę. — Nic na to nie odpowiedziała pani i zamilkła...

Być bardzo może, iż jęj także o wiadomości z Grodna chodziło, bo ją sejm żywo obchodził, a nie mogła się dokładnie dowiedzieć, co się tam działo, czy ten dobry, miły król już przybył, kto tam miał być? jakie być mogły zabawy? czy będą bale i teatr francuzki? kto z pań ma przyjechać do Grodna? O tém wszystkiem głuche tylko dochodziły wieści...

Szambelanowa była „*d u d e r n i e r m i e u x*“ ze Stackelbergiem, znała barona d'Asch, widywała Golza i Buchholza w wielu domach, de Caché u niej bywał... potrzebowała się dowiedzieć, kto z nich przybędzie do Grodna i co za figura ten Sievers, którego się tam spodziewano, a który miał być stary... co niewiele dla sejmu obiecywało...

Wprawdzie majster mularski o takich rzeczach mało mógł być uwiadomiony, ale zawsze, mieszkając w Grodnie, coś zasłyszeć musiał... Lepsze to było niż nic.

Szambelanowa byłaby rotmistrza posłała na zwiaady — lecz... znała go dobrze!! wiedziała, że się wda z oficerami w pijatykę i karty i cało z tego nie wynjdzie.

— Mój Boże — mówiła do męża — mieć takiego drągala brata... i nie móż go nawet użyć na posyłkę... proszę cię... ale on taki jest! do niczego...

Piękny szambelan potakiwał głową i uśmiechem, nie śmiejąc inaczej swęj myśli objawić.

Już tydzień upływał, gdy nareszcie dano znać państwu przy podwieczorku siedzącemu, że majster przybył z Grodna.

Borysewicz, mając się zaprezentować w tak dostojnym domu, wziął ze sobą najlepsze swe suknie i w

karczmię się ubrać. Wyglądał całę poważnie, w nowiu-
teńkiej kapocie, butach czarnych świecących, żupaniku
czarnym, z którego wyglądał łańcuszek od zegarka, w
ręku miał trzcinę z gałką złoconą. Głowa i broda
świeżusienko wygolone prezentowały się elegancko. Wą-
sa podstrzygł umyślnie.

Szambelanowa na dnie powszednie nawet ubierała
się wspaniale, była więc piękna jak królowa i, spartszy
się jedną rączką na krzesła poręczy, oczekiwała na
majstra. Piękny szambelan stał za jęj krzesłem z je-
dną ręką założoną za kamizelkę i nogą w pierwszej po-
zycyi. Nieco opodal siedział rotmistrz zgarbiony, oczyma
goniąc za panną Justyną, która się około podwieczor-
ku zwiżała. Szambelan tęż choć ostrożnie spozierał na
nią z ukosa i wnet oczy ku żonie zwracał.

Panna Justyna, śliczną jak zawsze była dnia tego,
choćbardzo skromnie ubrana. Miała na czarnej su-
kni takąż polonezkę i włosy nie pudrowane, których
obfitość zdobiła ją, rumianą twarzyczkę opasując dokoła.

Czarne jęj bystre oczy z jakąś wyższością zdawały
się poglądać na towarzystwo, co ją otaczało. Położe-
niem była ona tu podrzędną, ale umysłem widocznie
górowała nad nimi. Szambelanowa czuła to może in-
stynktowo i dla tego ją nie nawidziła.

Gdy się Borysewicz ukazał w progu, obróciła się
lekko głową skłoniwszy mu sama pani.

— Wie pan majster, o co chodzi? — zapytała —
mamy pałac stawić; czyś pan stawiał kiedy pałac?

— Na Horodnicy dla JW. podskarbiego.

— El to tam wiele gustu, słyszę, nie było.

— Ale się to buduje wedle planu JW. pani.

Spojrzała szambelanowa. — A właśnie! rotmistrzu,
podajże plan... leży u mnie na stoliku.

Rotmistrz się ruszył leniwo, gdy panna Justyna
nic nie mówiąc, wyprzedziła go i położyła arkusz na
stole, a Borysewicz w milczeniu mu się przypatrywać
zaczął.

Patrzano na niego, chcąc odgadnąć wrażenie, gdy
się odezwał spokojnie:

— Plan bardzo piękny, rzekł, ale na nasze śniegi

dach płaski... a kolumny... to chyba nie wiem zkąd sprowadzać, lub z cegieł i tynku, to będzie odlatywało.

Szambelanowa ruszyła ramionami.

— Dach włoski, to się pięknie prezentuje, rzekła.

— Pewnie, że pięknie, byle się nie ułamało pod nawałą śniegu.

Wszyscy niestósownemi znajdowali te uwagi. —

— A czem dach będzie kryty? spytał Borysewicz.

Szambelanowa nie myślała o tem. — Czémże ma być? Dachówki tu nie mamy blisko, łupku jak za granicą, toż gont słaby i od ognia niebezpieczny, chybaby blachą a ta wiele będzie kosztowała.

— Nas przecie na to stać! — urażona zawołała pani.

Majster się skłonił.

— Cóż to będzie kosztowało?

— Należałoby obrachować, odparł zimno majster, tego od oka powiedzieć nie można... trzeba wiedzieć z czego i jak budować będziemy.

— A na zimę może stanąć gotowy? — zapytała szambelanowa. Borysewicz spojrzał zdziwiony.

— Na żaden sposób. Szczęśliwieby było, gdyby się dał pod dach wyprowadzić.

Odpowiedzi te nie podobały się pani, znajdowała majstra „extra-ordynaryjnym człowiekiem...” jak to u nas oni wszyscy...

Chwilę jeszcze ciągnęła się rozmowa o pałacu... — Słuchali odpowiedzi z uwagą, przytomni, panna Justyna coś poszeptala w ucho pani, która pokręciła głową.

— Cóż tam u waćpaństwa słyhać w Grodnie? poczęła wreszcie pani.

— Toć JWpaństwo wiedzą pewnie. — Sejm się ten nieszczęśliwy zbiera.

Borysewicz będąc w domu obywatelskim sądził, iż śmiało swe uczucia objawiać może. „Boska Milusia“ znacząco spojrzała na męża i rotmistrza, mąż zażył tabaki, rotmistrz gębę skrzywił.

— Króla jeszcze nie ma?

— Lada dzień przybędzie... już sekretarz pan Friese i koniuszy Kicki przyjechali, król JMość w Białymstoku bawi, bo jeszcze pokoje nie gotowe.

— A osób dużo? pytała gospodyni.

— O! dosyć, i posłów przyjechało wielu i senatorów... i ambasador rosyjski już na Horodnicę zajechał...

— Nie słyszałeś acan, co za człowiek?

— Cóż ja wiedzieć mogę? rzekł Borysewicz, mówią, że nie młody, polityk wielki, grzeczny bardzo... a takiego to się już najgorzej bać.

Prychnęła szambelanowa: — A toż czemu?

— Ten co dużo huczy a krzyczy, to mu jego impet przechodzi, a taki mruk... najstraszniejszy, wiadoma rzecz...

— A bale będą? zapytała jejmość.

Borysewicz się zmarszczył.

— Proszę J.Pani, a któżby to tam chciał tańcować, kiedy nas zarzynają...

Po tym wykrzykniku śmiałym cicho się zrobiło jak w grobie. Oczy panny Justyny z zajęciem się zwróciły na mówiącego, zdawały mu się dziękować. Szambelanowa przeciwnie zgorszona była, a mąż jej minę nastawił jakby osobiście obrażonego, i z góry zmierzył zuchwalca. Rotmistrz nieodgadnione robił miny... jakby drwił i z niego i ze wszystkich.

Sam Borysewicz pomiarkował, że coś nie w ton domowi, nie w smak słuchaczom odezwać się musiał.

Wtém szambelan, tak rzadko mówiący, odezwał się z za krzesła głosem piskliwym jak pikulek, aż żona zdziwiona odwróciła głowę ku niemu.

— A kapela jest?

— Moskiewska — rzekł Borysewicz.

— Ja pamiętam, raz w obozie byłam u Kreczennikowa... ale wcale dobrze grali... dodała szambelanowa... bo to jest uprzedzenie względem Moskali... a oni wiele rzeczy mają doskonałych.

Borysewicz ogromnie oczy otworzył. — Było to jakby wyznanie wiary domu, po którym wiedział już, iż się tu szczerze odzywać z tém, co czuł, nie wypadało, a może nawet było niebezpiecznie.

Zwrócił więc i oczy i rozmowę na plan.

— Jeśli J.W. państwo mają postanowienie budować — począł — toby należało...

— Ale na to będzie czas... niecierpliwie wybuchnęła pani. Niech nam pan powie... Kossakowscy są...

— A muszą być — cicho odezwał się majster.

— I Zabiełło?

— O tém nie wiem.

— A kogóż tam acan znasz?

Borysewicz ręce powkładał w kapotę i oczywiście skwaszony rzekł:

— Ja... nie wiele kogo znam... to tam nie moja rzecz...

— Ale przecież!

Badanie stawało się przykrém, a majster był zdecydowany odeprzeć je zimno i stanowczo, bo mu nie smakowało, gdy trąbka pocztarska dała się słyszeć na gościńcu. Rotmistrz zerwał się równemi nogami, szambelan drgnął i zwrócił się ku żonie — ona rozpromieniała, dała znak ręką, aby czekano w cichości...

Słychać było turkot powozu. — Ktoś jechał do dworu... Oczy pani zajaśniały żywą radością.

— Niech pan sobie plany zabierze na folwark... rozpatrzy — jutro o tém pomówimy... Panna Justyna, która z obojętnością trąbce się przysłuchiwała, stała oczekując...

W przedpokoju głosy i śmiechy się odzywały... Borysewicz wysuwał się, gdy Milusia zawołała...

— A! to mój drogi minister! poznają go... po głosie...

Szambelan oczy miał na drzwi zwrócone... Rotmistrz właśnie wprowadzał gościa...

Wchodzący nawet przy tym Narcyzie szambelanie mógł się nazwać pięknym w całym znaczeniu wyrazu męzczyzną, chociaż starszym był od niego, choć życie ślady swych pazurew drapieżnych widocznie na jego twarzy wyrzyło.

Znać w nim było pana rodem, wychowaniem, obyczajem, charakterem... Miarkowana grzecznością i ogładą pogarda całego świata, lekceważenie wszystkiego malowało się na tej twarzy, któraby była rozpustnemu Cezarowi przystała... Na czole gładkiem i wyłysiałém błyskał rozum, dowcip, żywe pojęcie...

w ustach szyderskich siedziało zepsucie i wiekowi całemu i téj postaci właściwe...

Był to Ankwicz, niedawno minister rezydent Rzeczypospolitej w Kopenhadze, który z poselstwa swego od sejmu czteroletniego wrócił gotowym do Targowicy...

Znano go jako najzdolniejszego i najzepsutszego z tych, co na pensyach ambasadora sprawie petersburskiego gabinetu służyli. Nie wierzył on, jak podskarbi Poniński, w nic oprócz pieniędzy i życia rozkosznego... ale od Ponińskiego był zdolniejszy, śmielszy i cynizmem dowcipnym go przechodził.

Potrzebaż dodawać, że to był jeden z adoratorów dawnych, wiernych szambelanów, gdy jeszcze była księżna, i jeden z najulubieńszych jej „roués.“ — Kto wie, byłaby może za niego poszła, bo pięknoscia ją swoją zachwycił, ale zmiarkowała dobrze, że jej majątek puści w karty a dwóch dni wiernym nie będzie i najbezwstydniej oszukiwać ją musi. Wolała więc tego, równie prawie pięknego swego szambelana, mogąc go trzymać na pasku.

Szambelan instynktowo nienawidził Ankwicza, który go traktował jak dziecko — lecz z sentymentem tym nie wydawał się nigdy, chyba gdy się sam z sobą pozostał. Wówczas składał pięść i w powietrzu bił cień tego człowieka z zajądłością, czém gniew swój spędzał.

Wstała „boska Milusia“ na powitanie drogiego tego gościa, na którego widok panna Justyna ze wstrętem się jakimś cofnęła. Ankwicz słuszny, barczysty, głową przechodził wszystkich... ślicznemi omdlałemi oczyma patrzył miłośnie na szambelanową całując jej rękę...

— Królowej mojej, pani i dobrodziejki... do ślicznych stópek się ścielę...

— A! cóż to za szczęście! oczom nie wierzę!

— Widzi pani, co to stała, wierna miłość, a raczej, poprawił się — przyjaźń, bo już przy szambelanie o miłości, jaką dla pani pałałem mowy być nie może. Zaledwie przybyłem do Grodna... gdzie mi

tchnąć Sievers nie daje... i choć na godzinę przystawiłem się z pokłonem pani mojej.

— A — *Vous-êtes adorable!*

Szambelan tabaki zażył — odwrócił się, djabli go brali, ale gdy twarz znowu ku Ankwiczowi nachylił, już nie na nią nie było znać. Zjadł swój gniew... Za krzesłem parę razy wierzgnął kolaniem, jakby komus dawał odpawę niegrzeczną.

— Wiesz, ministrze drogi, — zawołała pani Emilia wdzięcząc się i poprawiając włosy — że nigdy *au grand jamais* nie byłeś mi miłszym, nigdy pożądanyszim... Ale my tu umieramy z ciekawości, co u was w Grodnie...

— *Rien de plus simple* — rzekł siadając minister. Kazać konie zakładać i przyjechać do nas. Ale to inaczej nie może być, trzeba na cały ten sejm zjechać koniecznie. Jak to! panibys tu siedziała zakopaną, osamotnioną, gdy my tam będziemy się na zabój bawili?

— Więc się będziecie bawili? oddychając jakby odezwiała się szambelanowa.

— Musimy i będziemy. Niechże nam choć to gorczyce życia osłodzi.

— Macie słuszość... Lecz kochany ministrze, szlachta będzie krzyczała... *Vous savez*, zaraz ci patrioci zawołają... Ojczyznę rozdierają... a oni tańczą!! Ja się tej demagogii boję.

— Ale oni zawsze na nas krzyczeć będą, odpart zimno Ankwicz — cokolwiekbyśmy robili — to darmo. Nie potrzeba zważać na to. Ojczyzna! *c'est parfait!* ale cóż my potrafimy przeciwko sześćdziesięciu tysiącom Moskali i czterdziestu tysiącom Prusaków? To śmieszne.

— Jużciż ja wiem, odezwiała się cicho szambelanowa — *nous n'y pouvons rien!* Cóż, mamy sobie głowę posypać popiołem? Ale powiedzcie mi — Sievers? co to za Sievers? mówią, że stary? Któż jest z generałów? proszę, mów... jam niezmiernie ciekawa. Ankwicz westchnął.

— Dużoby o tem mówić trzeba, rzekł, Sievers... Chcesz pani wiedzieć, kto on jest? Wystaw pani so-

bie starego francuzkiego markiza, który choruje na cnotę... który jest niezmiernie miły a zimny jak stal, który nikomu nie powie niegrzeczności, ale rodzonemu bratu głowę zetnie, gdy mu to będzie potrzebne... Zręczny, milczący, zapięty, tajemniczy, a w towarzystwie najmiłszy z ludzi. Lubi pasyami kwiaty, kocha się w muzyce, gotów jedne wachać, drugiej słuchać dzień cały... a to mu nie przeszkodzi kazać do nas kartaczami strzelać, jeżeli mu nie będziemy posłuszni. Sentymentalna gilotyna!!

— A! jakżeś go odmalował! zawołała szambelana. . . .

— Staruszek, w którym się przecie kochać będziecie... ale który nas zdusi, złamie i zmiesi na ciasto. Voila!

Ankwicz zamilkł i dodał po chwili: — Ja go admiruję — *typ d'un homme d'Etat et du meilleur monde.*

— Nie żonaty? spytała pani.

— Wdowiec... czuły ojciec, codzień pisuje do córek.

— Któż jest więcj?

— Jenerał Dunin — prosty jenerał i nie więcj.

— A dalej.

— Świetny, młody, rozpuszczony... rozmarzony książę Cecjanow...

Dalej liczył Ankwicz po Rautenfeldzie innych pomniejszych wojskowych... Szambelana słuchała z wielką uwagą...

— Któż z królem? zapytała.

— Wszyscy co zawsze — mówił Ankwicz, Kicki, Diak (Dziekoński), Chreptowicz, ale ten do Karlsbadu wyjedzie, Tyszkiewicz, którego wybierzem marszałkiem od Litwy.

— A z kobiet?

— Pani Krakowska nie uchronna... pani Mniszchowa nie unikniona, pani Tyszkiewiczowa nie zbędna.

— I Grabowska?

— O nie! Markiza Lullie... uśmiechnął się i mrugnął Ankwicz.

— Coś o niej zasłyszalam, ale głucho.

— Jakto, pani nie wiesz, pani nie znasz, pani nie widziałaś królowej mody, margrabiny Lullie... tego cudu piękności, przeznaczonego na osuszanie łez króla, bo król nieustannie płacze....

— Z jakim o niej mówisz zapałem! urażona odezwała się zimno szambelanowa, a mąż jej dając znak życia odchrząknął....

— Wolno mi o niej mówić jak o ładnym obrazku. Margrabina nie jest w moim guście — ale nie mniej bardzo piękna. — Ona przywiozła nam ostatnią modę.

— A! modę! au nom du ciell jaką?

— Modę najściślej do natury nas zbliżającą, modę cudowną... pani nie słyszała?

Szambelanowa kręciła głowę.

— Wychodzi na bale w sukni jednej muślinowej, włożonej, jakże mam powiedzieć? na niczem nieukryte wdzięki. Na nóżkach bosych brylantowe pierścienie, draperya do góry, à la greque podpięta śliczne jej kolanka odsłania....

Szambelanowa załamała ręce.

— Pas possible!

— Ale to ostatnia moda! tak panie będziecie chodziły wszystkie.... Moda jest tyranką, na balu inaczej pokazać się już nie można.

— Balamut waćpan jesteś.

— Na co mam przysiądz?

— Prawdziwie, to trudno znaleźć, bo w nie nie wierzysz.

Rozmiał się minister.... — Zobaczysz pani sama, dodał. Pani Krakowska tak nie wystąpi, ale szambelanowa Camelli, szambelanowa Ożarowska, księżna Czetwertyńska.

— Zabiłeś mi waćpan klina tą Lullie — szepnęła trochę zmieszana gospodyni. — Jakże się ten kostium nazywa?

— C'est le costume — Verité... uśmieł się Ankwicz, ale dosyć o tém....

W czasie téj żywej, szybko prowadzonej rozmowy pierwsza wysunęła się panna Justyna, wkrótce potem oczyma szambelana przeprowadzany wyszedł rotmistrz. Pani tak była swym gościem zajęta, że na nic nie u-

ważała. Zdaje się, że jej mąż trochę zawadzał, zwróciła się słodko ku niemu zobaczyć, czy nie opuścił stanowiska.

— Mój drogi, idź się trochę przejdź po ogrodzie, szepnęła mu, ja o polityce pomówię z nim... rozumiesz!! przy tobie będzie się wzdragał. Do ogrodu!

Posłuszny szambelan mierzonym krokiem zszedł z ganku. Nie widział nikt, jak pięści pościskał i bił niemi powietrze.

Zaledwie się oddalił, szambelanowa przysunęła się z krzesłem do Ankwicza i dwie białe rączki wyciągnęła ku niemu.

— A, jakżeśmy się dawno nie widzieli! jakim ci rada!

— Ja czynem, nie słowem, dowodzę, żeś wierny i stały. Dziś jeszcze nazad muszę być w Grodnie a jednak przybyłem.

— Jakto? dziś? z przerażeniem spytała gospodyni.

— Tak, dziś — nieodmiennie... mamy z Sieversem naradę... tysiące rzeczy... Sejm będzie burzliwy! Trzeba zapobiedz temu dziecinnemu warcholstwu...

— Aleście przecież sejmiki prowadzili sami — i wybraliście posłów, jakich wam potrzeba.

— A! tak! to pewna — a jednak, mówił Ankwicz... zawsze się gromadka szlachciców znajdzie..

— Że my też nigdy rozumu mieć nie będziemy! szepnęła szambelanowa.

Ankwicz westchnął, ale wnet mu się rozśmiały usta...

— Moje przybycie, śliczna Emilio! — rzekł poufale — chociaż dla was jest całe... wierzcie mi — spowodowała jedna jeszcze okoliczność, mam do was prośbę...

— Do mnie?

— Tak, do was, zawsze śliczna, zawsze uroczą... zawsze zachwycającą...

Dała mu klapsa po rękę.

— Milczcie, pochlebco — mów, o co idzie... jestem ciekawa... Spojrzała z wyrazem żartobliwym, kusicielskim na niego. — Spodziewam się, że nie będziesz

mnie sprowadzał z drogi cnoty i obowiązku... Rozśmiała się zębami białymi i mrużąc oczy, dodała ci-szej: — O przeszłości trzeba zapomnieć!!

— Nigdy! — zawołał Ankwicz — ale pozwól wrócić do rzeczy, nim twój dwór powróci. Ja was chcę ściągnąć do Grodna — Sievers mi mówił, że chce, aby było dużo ładnych i wesołych pań... Dyplomata znakomity! Więc ty mi, Emilio, przyszłaś na myśl. Nie masz przesądów... przyniesiesz nam wesołość z sobą... Masz ładną panienkę... którą tylko co tu widziałem, i tę wziąć potrzeba...

Nachmurzyła czoło gospodyni. — Jaką ładną pa-nienkę? Usta jej pogardliwy wyraz przybrały.

— Tę, która tylko co ztąd wyszła! Bardzo ładne rysy, szlachetna postać.

— Ale cóż mówisz? co waćpan mówisz? na mi-łość Boga... to ordynaryjna taka dziewczyna! I gdzie, zkaąd, przywidziało ci się, że ładna... Pospolita, gminna. Ruszyła ramionami.

— Ale nam młodych trzeba.... Weźmiesz ją z sobą.

— Więc ja mam jechać do Grodna? ze źle ukrytą radością spytała szambelanowa.... Myślicie?

— Ale to jest konieczne. Będziecie w najlepszym towarzystwie. Księżna Radziwiłłowa z piękną panną Narbutówną, hr. Potocka, podskarbina Ogińska, Oża-rowska, Czetwertyńska.

Spuściła oczy szambelanowa.

— Ja po to przybyłem umyślnie, aby panią zna-glić, uprosić, trzeba, byście nas ratowały... inaczey rady sobie nie damy. Ludzie rozumu nie mają, będą wyprawiali historye, będą się opierali, burzyli, drażnili, a to się na nic nie zdało....

— Nieznośne te patryotyzmy... ja to zawsze mó-wiłam — odezwała się szambelanowa — znajdzie się zawsze garstka ludzi bez wychowania, bez ogłady, des brouillons, którzy krzyku narobią.

— To darmo — dodał Ankwicz — mais la so-ciété doit les dominer, niech daje ton, niech pokaże, że to nie ma sensu....

Ruszył ramionami.

— Ojczyzny nie uratujemy — mówił chłodno — ratujmy siebie.... Rosyanie, wyższe towarzystwo, kiedy się ich nie drażni, są bardzo przyzwoici. Najlepszy ton... wszyscy mówią po francuzku.... Maniery najśliczniejsze, bawić się lubią... rozumieją życie. *Vous allez voir!*

— Więc ja mam jechać? mówisz? — zapytała raz jeszcze piękna Emilia — wlepiając w niego oczy — mam jechać? mów!

— Koniecznie.

— Proszę cię — a ta Lullie... a ten strój grecki... bo ja go za nic nie włożę!

— Poważniejsze panie... zostaną w koszulkach, rzekł żartobliwie Ankwicz — ale nóżki, od tego nie odstępujemy, o! nóżki bose być muszą....

— I w pierścionkach? — spytała szambelanowa, na którym palcu?

— Choćby na wszystkich!

Szambelanowa poczęła wypytywać, kto będzie dawał bale, czy jest Lux i Łazarewiczowa z Warszawy, czy piór dostanie w Grodnie... i o tysiące szczegółów, na które Ankwicz odpowiadał na wpół żartem, pół seryo.

W czasie tej rozmowy piękny szambelan, który się był przeszedł po ogrodzie, zbliżył się znowu ku gankowi, nie bez myśli szpiegowania Ankwicza. Wiedział o tem dobrze od żony, że był jej adoratorem. „Kochana Milusia“ miała ten system osobliwy, że mężowi opowiadała ze szczegółami dzieje wszystkich zapalów, jakie obudzała — aby mu dowieść, jak się czuć powinien szczęśliwym, osiągnąwszy to dobro, o które tylu się dobijało.... Mówiła nawet zawiele a dawała do zrozumienia więcej jeszcze....

Szambelan, jakkolwiek nie miał żadnej władzy, ni siły — na widok Ankwicza poczuwał się do obowiązku strzeżenia drogiego skarbu....

Wrócił więc na ganek, nie czekając pozwolenia, żona posłyszała chód jego i posłała go, aby dawano wieszercę. Szepnęła mu na ucho o najlepsze wino.... Poszedł posłuszny... chociaż zbytęcną była jego podróż, bo w salce jadalnej wszystko już było gotowe.

Panna Justyna chodziła około stołu, a rotmistrz stał zdala, nie żeby miał zamiar ją zaczepić, lecz daleko niebezpieczniejszy żywiąc spisek na karafki z wódką gdańską, zostawione bez straży.... Szambelan, który sądził, że choć tém się pokonsuluje, że do Justysi się zbliży — zmartwił się, bo przy rotmistrzu ani pomyśleć było o tém. Byłby go wydał przed siostrą.

Szambelan wszedł na próg i stanął.... Panna Justyna spojrzała nań, a za nią zdala rotmistrz w sekrecie pokazał mu język i dwie figi, co on dla świętego spokoju musiał puścić *per non sunt*.

— Czy ... tego ... kolacya? jak się zowie? — spytał ... zwracając się do panny gospodarz.

— Natychmiast podawać każę...

— Milusia ... prosi ... tego ... jak się zowie... żeby wino ... stare? ... dodał lakonicznie.

Dokończywszy misyi swój słodkie oczy zrobił, ale panna Justyna nie widziała ich, bo coś poprawiła na stole. Rotmistrz tylko dokazywał wszetecznie, osłe uszy mu pokazując na ostatku. I to musiał ignorować gospodarz, ale się odwrócił pogardliwie.

Wtém służący wszedł z wazą... Miał więc powód przyspieszyć kroku, aby oznajmić o tym ważnym wypadku...

Przyszedł na ganek, gdy Ankwicz rękę żony jego bez żadnej dobrej racyi całował; trochę go to zburzyło, ale nie pokazał po sobie, skłonił się bardzo grzecznie i odezwał:

— Już ... tego!

Milusia podała rękę dawnemu adoratorowi i poszła z nim przodem. Szambelan szedł w dali i kułakiem rozbijał powietrze. Być bardzo może, iż tego złego zwyczaju nabył od niepoczciwego rotmistrza, który względem niego dopuszczał się podobnych nieprzyzwoitych demonstracyj.

U stołu nie zmienił się rzeczy porządek... Gospodyni zajęła swój fotel na pierwszém miejscu, w prawo przy sobie posadziła Ankwicza, w lewo była zmuszoną dać krzesło kuzynce, dalej za nią siedział rotmistrz, a za Ankwiczem szambelan. Ekonom, który czasem do-

puszczany bywał do stołu pańskiego, nigdy nie przychodził przy gościach.

Mijając męża, gdy siadali, Milusia szepnęła mu w ucho: — Bądźże dla Ankwicza uprzejmym, dolewaj mu — proś — o ciebie idzie.

Oczy wielkie otworzył szambelan.

— Ja ci to później wytłumaczę.

Siedli. — Rozmowa weszczęła się o trudności znalezienia mieszkania w Grodnie przyzwoitego, o ciasnocie, o drożyznie. — Ankwicz jednak obiecywał się postarać o wygodne pokoje dla państwa szambelaństwa. Mówił o tem jakby już wyjazd był rzeczą postanowioną. Gospodarz obrócił się do żony.

— A — to my ... tego!

— Zapewne! zapewne! nie zawadzi, żebyś się królowi przypomniał... Wszak to obowiązek szambelana.

Wyprostował się pan i na rotmistrza spojrzał pogardliwie, jakby mu chciał powiedzieć — A widzisz ty ... jakiś — ja jestem szambelanem — a ty co?

Rotmistrz był daleko w tej chwili szczęśliwszy, niż gdyby nawet wielkie podkomorstwo zyskał... Wiedząc, że — przy gościach nikt mu nic nie powie, w szklankę sobie nalał wódki gdańskiej i wypił ją jak wodę. Panna Justyna spojrzała na niego, zrobił minę zuchwałą i szklanką jeszcze stuknął...

Nie szło o wódkę — ale trzeba było znać rotmistrza. O ile był potulnym barankiem na czczo, po napoju stawał się prawdziwym szaleńcem, nie oszczędzającym nikogo. Było więc niebezpieczeństwo, aby się z czém nie wyrwał, bo w takim razie winaby spaść na pannę Justynę. Ktoby był patrzył na starego opoja... zdziwiłby się szybkości, z jaką na niego działał trunek... już widać było wracające doń życie... Siostra spojrzała, poznała to i z wymówką zwróciła się do panny, która dała jej znak, że na to nic poradzić nie mogła... Pozostawało prosić Pana Boga, aby rotmistrz gęby nie otwierał...

— Nie będzie to z naszej strony bez pewnej ofiary — odezwała się półgłosem gospodyni do Ankwicza — jeżeli wypadnie pojechać do Grodna... ale... uczynimy to chętnie. — Jest to koszt znaczny... lecz

skoro król J. M. tego sobie życzy i inni... cóż robić... to obowiązek... mój kotek też niechby się przypomniał... Słowo daję ci, ministrze, my jesteśmy pokrzywdzeni... nie ma tego człowieka między szambelanami, żeby orderu nie miał. Kotek tyle czasu służy... a o nim zapomniano... ale...

Chciała mówić dalej, gdy rotmistrz tak prychnął głośno, że się szkło na stole zatrzęsło... Spojrzał na szambelana, nadał się, wypiął piersi i ręką mu pokazał wstęgę...

— A już jeżeli szwagierek dostanie order — jak Boga kocham — zawołał, to mnie coś powinni też dać... Jeżeli on jest mężem, to ja jestem bratem... on gra na pikulinie, to prawda, ale ja grałem szablą po karkach...

— Ej? Ej? — odezwał się szambelan — co to tego!

Pani Emilia snrowym wzrokiem zmierzyła brata.

— Proszę cię... bardzo proszę... żadnych konceptów.

Na twarz jej wystąpił rumieniec, i już zawczasu tłumacząc się Ankwiczowi, szepnęła mu — Trochę pod hełmem... to nieszczęście...

— A! rzekł minister — byle zabawnym był — cóż to szkodzi.

— Drapieżnym bywa...

— Ja to lubię — rozśmiał się Ankwicz i zwrócił ku rotmistrzowi.

— Gdzieżeś to waćpan po tych karkach szablą jeździł? — zapytał.

— A! gdzież ja nie był! Chodziłem nawet na Turka! krzyknął rotmistrz — ale chleb żołnierski, to torba żebracza... Co mi z tego — rozumu zbyłem, zdrowiem stracił, pieniądze poszły precz... i pragnienia nabyłem takiego, że go niczem nie mogę zgasić... a tu mi pod pozorem diety siostra i szwagier pić nie dają! Sądź pan sam! Nie nędza to?

— Rotmistrzu! krzyknęła gospodyni, zakazując ci... proszę.

— Ani myślę słuchać! No — to co! no to co?

Jakże nie mam być zły... taki gapimucha będzie orderem na brzuchu mi imponował... .

Ankwicz się zaczął śmiać — szambelan się zerwał z krzesła, ale żona dała mu znak, aby siadł, co też dopełnił. — Rotmistrz burczał niepowstrzymany.

Panna Justyna z oczyma spuszczonego siedziała jak wiśnia czerwona i drżała.

Wiedziała piękna Milusia, że tu jakiegoś heroicznego należało użyć środka, skinęła na brata, który, stołek obaliwszy, przybiegł do niej.

— Słuchaj, nie rób mnie i domowi wstydu, weź karafkę ratafii, idź do swojej stancyi, ale, jeśli mi się pokażesz przed wyjazdem Ankwicza, daję ci słowo — na cienie ojca i matki...

Tu mu się nachyliła do ucha i resztę szepnęła cicho.

Rotmistrz się skłonił.

— Przepraszam szanowne towarzystwo, gwałtownego dostałem bólu zębów... muszę iść na ustęp. Więc — dobrej nocy.

Ankwicz się nieco podniósł.

— Ale nieoznacowany! zawołał.

Milusia rozchmurzyła się... szambelan odetchnął swobodnie.

Reszta wieczery upłynęła spokojnie... Ankwicz opowiadał znowu, zaręczał za teatr francuzki, z Petersburga obiecywali przybyć włoscy muzykanci. Hrabina Camelli miała zachwycać swym głosem. Oczekiwano improwizatora z Neapolu, którego nuncyusz protegował. Na Horodnicy salę Sievers do balów przygotował już wcześniej, oprócz tego mieli występować marszałkowie sejmowi pp. Pułaski, Kossakowscy.

Spodziewano się Zubowa.

Najświetniejsze były zabawy i rozrywek widoki.

Gdy po wieczery wyjeżdżał Ankwicz, z oficyny wyszedł rotmistrz, ręce złożył w trąbę i z całej siły krzyknął:

— Hurra!!

Posłano na folwark po stróżów dla perswazyi, bo był już zupełnie pijany i szwagra przezywał wyra-

zami, których w żadnym nie ma słowniku, przyczém się i siostrze dostało.

— Ten rotmistrz — powracając do pokoju, rzekł do żony szambelan — to prawdziwie ... tego!! I strasznie głową pokręcił.

Nazajutrz rano Borysewicz miał pomówić z panią szambelanową o planie pałacu, ale w nocy jakiś wiatr powiał odmienny, kazano przez ekonoma tylko podziękować panu majstrowi i powiedzieć, że zapewne w tym roku pałac się budować nie będzie. Ponieważ za „fattygę“, jak się pospolicie zowie, nie przyjąć nie chciał, ośiarowano mu z folwarku jakieś zapasy do spiżarni i pan Michał pojechał nazad do domu, dokąd mu niezmiernie było pilno. Lękał się, aby żona z troski wielkiej o zarobek nie wynajęła izdebek już wyporzadzonych lada komu, a niemal codzień coraz więcej osób przyjeżdżało. Znał bardzo dobrze swą pocziwą połowicę, że się jej każdy grzeczny człowiek uczciwym zdawał i że ją podejść było najłatwiej. Wiedział, że mu przykrości uczynić nie zechce, że się nie rada sama rozporządzi, ale gdy na nią nalega, nie odmówi.

Pięć mil w części po piaskach, trochę po kamieniach, z dwoma odpoczynkami i jednym popasem w karczemce leśnej zajęły niemal dzień cały, już ku wieczorowi pokazało się miasto, które Borysewicz rad powitał. Zbliżając się do niego, co chwila spotykał krążących kozaków, zatrzymano go raz nawet pytając, coby był za jeden, ale się wylegitymował, że był z Grodna, i podoficer go puścił. Gęste patrole stały do koła, w pobliżu miasta rozbity był obóz i żołnierstwo w wielkim ruchu. Widząc to westchnął pan Michał i zaczął koronkę do Przemienienia Pańskiego...

Zaledwie się furka przed dworkiem zatrzymała, gdy pani Michałowa witać wybiegła. Ucieszyła się niezmiernie z zapasu do spiżarni, który Paraska zaraz wniosła, ale tuż i lamentować zaczęła.

— Jezu miłosierny ... zawołała — com miała za męki... wszak to tu mało dziesięciu było szukając mieszkania. Jeden jakiś dwa dukaty dawał dziennie, ale bez was... nie mogłam się sama zdecydować. Ja tam ludziom z oczu wypatrzeć nie umiem, co w nich

siedzi, a miałbyś mi później wspominać!! Tymczasem pewnie powynajmują gdzieindziej i dom pustką stać będzie.

— Niechaj tam sobie! — rzekł majster — co Bóg da, to da... gryźć się nie ma czém.

Aliści prawda, ledwie furka odjechała, nadszedł ktoś do mieszkania...

Dała znać Paraska, że oto już ogląda Izby... wybiegli więc oboje...

Pan był nie zbyt młody, bardzo okazały, ubrany elegancko, piżmo od niego na staję woniało. Majster spojrzał i jakoś go tknęło. W istocie twarz miał uśmiechniętą niby łagodnie, ale chytrą, oczki małe, cerę bladą i, choć mówił po polsku dobrze, na cudzoziemca wyglądał. U fraka miał jakiś krzyż przyczepiony, perukę fryzowaną jak u młodzika a mimo wieku kręcił się fireykowato. Strój oznaczać się zdawał pana a obejście lokaja...

Milcząc, obejrzał pokoiki, spytał, kto więcej w domu stoi, — odpowiedziano mu, że nikt oprócz gospodarzy. — Obszedł parę razy mieszkanie, zażył tabaki... i przystąpił do majstra... Borysewicz nie miał ochoty wchodzić w interes, majstrowa też nie garnęła się i nie zalecała mieszkania...

— Jak się acindziej zowiesz i jakie jest jego zatrudnienie? zapytał przybyły.

— Jestem majstrem mularskim, nazywam się Borysewicz.

— Hm! rzekł gość — izby najać mogę... ale pod pewnemi warunkami... Co acaństwo chcecie za nie?

— Na jak długo pan sobie życzy? zapytała sama jejmość.

— Na cały czas trwania sejmu...

— Czy pan dobrodziej do posłów należy? spytał Borysewicz.

Mężczyzna spojrzał dumnie, jakby pytanie to było mu nieprzyjemnem.

— Nie jestem posłem, ale — jeśli waćpanu o to chodzi, konsyliarzem J. kr. Mości... urzędnikiem... Mam przyjaciół i dla nich potrzebuję mieszkania...

Muszę waćpaństwa uprzedzić, że co ja z najętym lokalem zrobię, kogo w nim postawię — to moja rzecz... Mogą się i zmieniać lokatorowie... A co się tu będzie mówiło, robiło, kto będzie przychodził... wszystko to do nikogo nie należy i o tém ani mówić, ani rozprawiać, ani paplać nie wolno. To warunek...

Borysewicz spojrzał.

— Proszę pana konsyliarza, to dla mnie obojętną rzeczą nie jest, kto tu stanie, bo jakby mi miano hałasy wyprawiać, po nocach szulerować i pić... tego ja nie ścierpię.

Ruszył ramionami przybyły...

— Za to się płaci... Co asindziej chcesz za kwaterę?

— Jeżeli mam być niewolnikiem w moim domu, to ja jęj nie dam za nic... rzekł zimno majster.

— A! to mi się podoba! wybuchnął przybyły.... Izby pustką stoją... co asindziej sobie myślisz, nie najmiesz mnie, to ci tu wsadzą oficera rosyjskiego za darmo.

— To moja rzecz! — odparł majster.

— Ja waćpanu za to ręczę....

— Ja się już z kwatermistrzem miejskim porozumiałem....

— To nic nie pomoże Jest tu ktoś od niego starszy... a ja też coś mogę.... Gdybyś asindziej za dobry pieniądz najać nie chciał, możesz tego żałować.

I sapiąc począł się żywo przechadzać.

— Co waćpan sobie myślisz... to sprawa publiczna! sejm! tu trzeba posłów pomieścić... fantazyom czymś dogadzać się nie będzie. Jenerał Dunin — słowo pisnę, wpakuje żołnierzy....

Borysewiczowi krew uderzyła do twarzy.

— A! — rzekł — to co innego — jeżeli tak, to nie masz pan o co pytać ani prosić, każ siłą mieszkania wziąć i po wszystkiemu. Ja też będę szukał na to sposobu.

Chodź, jejmość, nie ma tu co robić, ani o czém mówić — odezwał się do żony — chodźmy....

Zbliżali się do progu, gdy przybyły jegomość pomiarkowawszy się, zawołał łagodniej:

— Mówcież państwo — co chcecie?

— Za żadne pieniądze nie najmę! Jak mi jenerał postawi Moskali... wolę ich niż przymus od swoich.... Dworek mój nie do najęcia.

I wyszli.... Nieznajomy napuszył się, plunął i wybiegł z pokojów, klnąc różnemi językami.

W głębi sieni stali gospodarstwo, zwrócił się ku nim.... — Bardzo dobrze... pamiętajcież acaństwo, żebyście głupstwa waszego nie żalowali. Wychodził właśnie, gdy wózek się zastanowił przed dworkiem i dwóch szlachty, dosyć ubogo ubranych, zaczęli się z niego dobywać. Zydek im towarzyszył wołając, że tu jest stancya do najęcia.

Wychodzący właśnie z dworku konsyliarz stanął, aby się przybyłym przypatrzyć ciekawie, i po chwili zbliżył ku nim.

Dwaj ichmoście ubrani po podróznemu, oba byli bardzo niepozorni.... Jeden z nich słuszny, suchy, nie stary, miał twarz długą, na której obojętna jakaś malowała się buta i wzgarda.... Drugi mały, brunet, suchy i zwinny, nie weselsze miał oblicze. W obu widać było czy zbiedzonych, a pewno nie bardzo z tego szczęśliwych ludzi, że ich tu losy przygnały. Konsyliarz J. Kr. Mości stał, jakby ich chciał zaczepić. Narazcie się skłonił.

— Czy wolno zapytać panów dobrodziejów, z jakich stron?

Słuszny popatrzał szydersko i odbąknął:

— A kogóż mam honor?

— Ze dworu króla JMci.

— A! ze dworu!! spoglądając nań ciekawie, zawołali oba przybyli — my ze dworem nie mamy żadnych konneksyi... kłaniamy uniżenie....

Zarumieniła się blada twarz dworaka.

— Ale ja... ale mnie się zdaje, że ja miałem panów przyjemność... widywać w Warszawie....

— Bardzo być może... bąknął mały i odwrócił się.

— Panowie tu mieszkania nie dostaniecie, dodał konsyliarz, gospodarz dziwak... kładzie warunki osobliwe....

Żydek przerwał.

— Dla czego nie mają panowie najać?! Niech panowie zobaczą... Rarytne mieszkanie... widne... ciepłe... czyste... osobliwe... na całe Grodno drugiego takiego nie ma....

Gdy się to działo, kilka kroków naprzód postąpiwszy, Borysewicz miał czas się przypatrzeć przybyłym a z za ramienia jego i żona....

Konsyliarz nie ustępował.

— Król JMć polecił mi — rzekł — gdyby któremu z panów posłów trudno było o mieszkanie, przyjeść mu w pomoc... Jestem do usług W Mościów.

— Sługa uniżony! — odparł słuszny — jakoś to będzie. Albośmy to małe dzieci? Niańki nie potrzebujemy....

Drugi też się skłonił i konsyliarz rad nie rad odszedł widocznie gniewny, chociaż podśpiewując na humor. Obejrzeni się za nim i poszeptali coś z sobą — wtem Borysewicz się zbliżył.

— Wszak pewnie pan gospodarz?

Skłonił się majster. — A tak....

— Coś nas tu konsyliarz ów przestraszył... czy istotnie acindziej trudnym będziesz? — zapytał słuszny.

— Hm! jak dla kogo — odparł pan Michał zburzonym — jak dla kogo. — Panowie na sejm?

— Niestety! — odezwał się słuszny — Niestety... kazano, — jedziemy; non tam libenter, quam reverenter. A! na sejm....

I westchnęli oba.

— Drogie acindzieja mieszkanie? — spytał mały.

— A to ja muszę znów odpowiedzieć jak wprzódy — jak dla kogo... Proszę do środka i rozpatrzyć się — rzekł Borysewicz, usuwając się na bok. Bardzo proszę...

— Za pozwoleniem — wstrzymując się w progu rzekł słuszny, którego twarz zwolna się ożywiała — trzeba, żebyś asindziej wiedział, z kim masz do czynienia, abyś się nie łudził próżno. O nazwiska nie chodzi, te mu nie nie powiedzą, ważniejsza to... że obaśmy Mazury... hę! z pod ciemnej gwiazdy... Siedzimy na piasku... dużo u nas pieniędzy nie ma.

Szlachta nie zamożna... a choć mój kolega szambelański ma tytuł, taki goły jak i ja...

— Jak dwie krople wody! — potwierdził żywy czarny, ruchawy człowieczek...

— Wiesz asindziej, to tak dobrze jak i my, że na gołych tu najwięcej rachują i najostrzej polują, aby ich sumienie zapłacić i kieszenie im zgryzotami i złotem napchać — ale my obaj... razowym chlebem żyć będziemy. — Zapłacić dużo nie możemy, bo nie mamy, a co mamy, to własna krwawica... w pocie czoła uciulana, rzucić nią nie możemy... Oto co — panie majstrze...

— Proszę panów do środka! — zawołał ochotczy Borysewicz. Ja właśnie Pana Boga o takich gości prosiłem, aby mi na dom kary niebios nie nanieśli niepoczciwi... Zgodzimy się pewnie... proszę...

Otworzył drzwi do czystych izdebek, w których świeżo stożkiem wykadzono było, podłoga posypana tatarakiem, okna pomyte... na tarczanych po trochu siana, ściany białe... bardzo schludnie...

Starszy wchodząc — rzekł, uchyliwszy czapki:

— Po dawnemu, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

Oboje Borysewiczowie odpowiedzieli — Na wieki.

— Dalipan, — zawołał mniejszy, którego nazwał pierwszy szambelanem — dalipan... panie łowczy... jak stworzone dla nas — ubogo a chędogo...

— No — i nie drogo! słowo daję, rzekł Borysewicz... pytaliście panowie o cenę...?

Żydek z za progu zaczął liczyć. — Panowie już z dziesięć domów objechali, byli u Pacuków, u Kierścia, u Szmuży, u Węglowskich...

— No — to ceny jużście panowie zmiarkowali, rzekł Borysewicz ochotczy i wesoło...

— Drożą się okrutnie... szepnął starszy.

— Co panowie dadzą...

— Słuchaj, panie majster — wtrącił mały szambelan... Krzywdy waćpanu robićbyśmy nie chcieli, a, Bóg widzi, łowczy i ja od głowy po dziesięć dukatów, więcej na miesiąc dać nie możemy... Od nas dwu dwadzieścia.

Spojrzał mu w oczy. — Majster się śmiał i majstrowa patrzała wesoło, uderzył się pięścią w piersi.

— Ino słówko... dacie mi, co zechcecie, co możecie... zawołał — przybyliście ichmoście nie po moskiewskie pieniądze, a no za służbę sierocą dla Rzeeczypospolitej, która jest uboga i płacić nie ma czém... a jabym was darł! A niech Bóg uchowa... Niech wam dom mój za własny służy...

Skłonił się nisko. — Łowczy podszedł wyciągając doń rękę. — Za dobre słowo Bóg zapłać, za pocziwe serce...

Szambelan się rozśmiał. — Takich ludzi mało jak wy, panie majstrze — naprawdę dałby wam może kto i trzydzieści... ale my.

— Umowa stanęła... nie ma już mówić o czém — wesoło rzekł Borysewicz i wyszedł do żydka coś mu wetknąwszy w rękę — niech panowie rzeczy znosić każą.

Dwóch wyrostków stało u wozu. Skinął na nich gospodarz, ręką wskazując mieszkanie.

— Proszę się rozgościć...

— A jakby panom co z mojego gospodarstwa było potrzeba — dodała, rada się rozgadać, Borysewiczowa, oto tu kuchnia tuż, proszę ino rozkazać. Czém chata bogata, służyć rada.

— Dziękujemy! zawołał łowczy — tymczasem aby trochę ognia, żeby nam bigos podróżny odśmażyć... i po wszystkim...

Chłopaki się tedy wzięły do tłumoków, a szambelan okna pootwierał na ulicę dzielącą ich od Dominikanów. Widać na niej było ruch wielki.

Żydek odchodził kwaśny, dostawszy od gospodarza mały podarek, gdy panowie oknem go zobaczywszy, złożyli się jeszcze po dwuzłotówce.

— Nie znasz tego pana — spytał szambelan — cośmy go tam spotkali przededrzwiami?

Żydek się napuszył, a spryt mu z oczu tryskał i mówił prędko, aż się zaślinił, tak mu było pilno popisać się z tém, co wiedział. Podniósł jarmulkę nieco.

— Cobym miał nie znać? a od czego ja jestem faktorem u wszystkich panów? ja tu muszę wszystkich

znać i wszystko wiedzieć! Niech moi Jasne panowie pozwolą sobie tylko służyć — ja będę donosił o najmniejszej rzeczy...

— Ale ten pan? ten pan!

Żydek się obejrzał i podeszedł pod samo okno.

— Jakto może być, aby panowie jego nie znali?

On tu, po tym, co na Horodnicy — najwięcej znaczy — on tu gospodarz... jemu to nawet oficerowie usługują! To jest Boskamp....

— A! — zawołał szambelan — jestem w domu — Boskamp, co był w Konstantynopolu, co razem królowi i ambasadorowi zawsze najmiłszy.... Wiem, wiem....

Żydek się uśmiechnął.

— A no — to on sam.... Panowie się pozwolą czasem dowiedzieć?

Łowczy zdala machnął ręką.

Faktor jeszcze nie odszedł, gdy zamaszysty, małego wzrostu szlachcic — oglądając się przeciągnął przez uliczkę, w okna ciekawie patrząc i — znikł.

Za nim prześliznął się po francuzku ubrany inny jegomość, który niby spieszył pilno i nie patrzył — ale oczyma rzucił ukradkiem na dworek, przed którym stała bryka — przesunął się i gdzieś podział pręciuchno....

Chłopczy tłumoki dobywali, węzłki znosili, a łowczy gospodarował w dwóch izbach....

— Szambelanie, rzekł... w drugiej izbie oba spać będziemy po obozowemu, i manatki w niej złożyć potrzeba, pierwsza nam za jadalnią, salon od gości i do parady służyć musi.

— Na wszystko zgoda, odezwał się drugi, rządz i rozporządzaj się — jak wola i łaska... ja się zastępuję do wszystkiego. Gości się spodziewać ani lękać nie mamy tak bardzo powodu. Raczej uciekać będą od nas, niż za nami gonić.

— Maciek! krzyknął łowczy — smaź bigos, bo mi się wściekle jeść chce... dobądź puzderko i zwiżaj się, nogi za pas. Juraś niechaj znosi resztę rzeczy.

Oba wyrostki krzatali się, gdy, nadspodziewanie szambelana, który gości wcale nie wyglądał, nim bigos

przyniesiono, w progu się zjawił mężczyzna pięknej postawy, ubrany z partesów, kuso, choć nie młody, czapka z piórkiem, was wyszwarcowany do góry, buty czerwone miękkie, kawał eleganta, a twarz do zbytku rumiana i miejscami w lila wpadająca. Oczki mu biegały nader żwawo.

Przestąpił próg, wahając się.

— Bardzo przepraszam — czy wolno spytać... może tu zajechał pan Józefowicz??

— Tu go nie ma — odparł szambelan sucho.... Mimo odpowiedzi téj wstrzymał się przybyły.

— Niech to nie obraża panów dobrodziejów, czy o nim nie byłoby im wiadomo? zapytał.

— Nie wiemy i nie znamy.

Chwilka milczenia — natręt nie ustąpił.

— Panowie na sejm?

— Jak pan widzisz! — rzekł łowczy nie bardzo chętny do rozmowy.

— A z których stron? — pytał od progu przybyły, widocznie chcąc się wkręcić, co obu posłów uczyniło ostróżnymi.

— Mazury jesteście....

Pomyślał chwilę.

— Ja tam na Mazowszu téż familią miałem, około Wyszogroda.

Szambelan nań tylko popatrzał.

— Mazury — mówił stojący w progu, który zwolna przestąpił go i wszedł — złoci ludzie, patryoci, wierni synowie naszej nieszczęśliwej ojczyzny!

Łowczego zaczynało to nudzić, podstąpił ku przybyszowi. — A pan z jakich stron?

— Ha! ja!... odparł zagadnięty — ja — jakby to powiedzieć! niegdyś z Sandomirskiego, dziś już bez posesyi... obywatel świata.... Szczycę się tém, że należę do dworu pana Pułaskiego, a mam téż sobie życziwych pp. Kossakowskich, ks. biskupa i pana hetmana....

Spojrzeni po sobie gospodarze, radzi się pozbyć tego „obywatela świata“ — ale stał jak przyrosty.

— Maciek — huknął łowczy — dawaj bigos, bo

z głodu pomrzemy.... Darujesz pan, myśmy bardzo znużeni drogą.

Była to odprawa, czerwony jegomość się nie obraził, owszem uśmiechnął.

— Słoweczko, jeśli wolno... ciekawość jest godziwą.... Czy panowie dobr.... zechcą panom marszałkom konfederacyi złożyć uszanowanie, bobym może mógł służyć. Sejm pod konfederacyą — więc słusznie należy.

— Maciek! bigos! na Boga! — zamiast odpowiedzi huknął łowczy.

Szambelan wyręczając kolegę, któremu lice się zapaliło jakby z gniewu, przystąpił do ciekawego pana i rzekł:

— Bardzośmy panu wdzięczni, ale na teraz, nigdzie jeszcze nie myślemy iść... a co po tém będzie — Bóg wie. I — do nóg upadam.

Wypreżył się zbyty tak — obywatel świata i przyjaciel panów Kossakowskich, usta oddał, wyszedł wreszcie powoli, a szambelan za nim drzwi mocno zatrasnął.

— No — zawołał łowczy — ledwieśmy z wozu zleźli, jeszcze nie rozprostowali a już nam spokoju nie dają.... Co nas tu czeka....

— O! nie na godyśiny przybyli, to pewna... odparł szambelan — ale do tego być należy przygotowanym.

Westchnęli oba. Maciek szczęściem wniósł kurzący się bigos. Na stoliczku grubą zasłanym serwetką, stała faszka z wódką i kawał chleba leżał... poszli oba do tego skromnego posiłku... na pół smutni, pół weseli — szambelan zamyślony, łowczy jakby drwiący — i cicho gwarząc jeść poczęli.... Bigos im smakował... i byłoby nie nie przeszkodziło do spożycia go, gdy przed dworkiem zabrzęczało, zahuczało, ozwały się głosy dziwne i krzyki. Łowczy nie ruszył się, żywszy szambelan poskoczył do okna.

Przed samym gankiem dworku w poszóstym powozie, który bryczkę chciał wyminąć, konie się splątały.... Z bomby, koloru cynamonowego, wyglądała

głowa kobieca przestraszona. Przez okno tuż i druga. Słudzy uwijali się około uprząży.

— Jak Boga kocham! — krzyknął szambelan — toż to eksksiężna, pani szambelanowa Porowska... moja stara znajoma. Ale mniejszaby o nią, cóż za śliczne dziewczę wygląda obok niej... czarnobrewa... cudowna.

— O! już! już! — zawołał łowczy, nie podnosząc się od bigosu — już twarzyczkę najrzałeś, bałamucie... Nie byłbyś ty szambelanem JKMości... Dajże pokój! bigos ci wystygnie... daj pokój....

Nie słuchając nic, wyleciał szambelan bez czapki i pobiegł do powozu.

Przymrużonemi oczkami zmierzyła go wystraszona szambelanowa — „boska Milusia“.

— A! pan... szambelan!

— Ja, pani dobrodziejko... bardzom szczęśliwy!

Patrzył tymczasem na ową czarnobrewę, która nie kim innym była, jak panną Justyną.

— Pan tu co robi! a! konie! mój szambelanie — te konie! ja się tak lękam....

— Nie ma nic, koń zastąpił.

— Czy pan posłem jesteś?

— Tak pani... a państwo?

— My w sąsiedztwie mieszkamy, przybyliśmy przez ciekawość... obiecano nam mieszkanie... posłałam do Ankwicza... Tu wszystko zajęte — mówiła szambelanowa. — Pan tu dawno?

— Od godziny.

Z głębi powozu wyglądała głowa w peruce bez kapelusza pięknego szambelana, który spoglądał ciekawie....

— Co to za szambelan... tego? — szeptał do żony.

— Mikorski....

— A! nie znam... tego....

Konie rozplatanio, gdy wtém przypadł posłaniec od Ankwicza, wskazując dom.... Była to kamieniczka właśnie obok dworku Borysewiczów... kazano zajeżdżać.

— Bardzom szczęśliwy! będziemy w sąsiedztwie,

jak widzę — zawołał Mikorski i spojrzał na pannę Justynę, która gdzieindziej patrzała. Piękna Emilia przez okno rozglądała się w przeznaczonym dla niej domu, który miał pięć okienek z frontu .. i dwa słupki w ganku a raczej balkonu pierwszego piętra, drewniane przy nim balaski wisiały połamane.

— A! jak to nędznie wygląda!

— Pani dobr., rozśmiał się Mikorski, na Grodno to jeszcze wielka parada .. jesteśmy tu wszyscy na popasie ... Coś nakształt tego, jak gdy się do miasteczka na pogrzeb i stypę przyjedzie .. trudno wymagać wiele.

Posłyszawszy o stypie szambelanowa nasępiła się, a Justyna baczniej obejrzała na Mikorskiego .. który się skłonił i długo jeszcze szukając jój oczów odszedł zwolna do dworku.

— Wiesz, rzekł wchodząc do łowczego .. mamy dwie ładne sąsiadki, starszą panią szambelanową odstepując tobie, młodszej czarnobrewie ja będę bił czołem ...

— Szambelanowe należą do szambelanów, rzekł Krasnodębski — ale ja ci obie oddaję — bo mnie dziś baby nie w głowie! A tylko cię przestrzegam w jedném, że przez te nieszczęsne kobiety będą nas miękczyli i gęby nam zawiązywali. Po co je tu licho niesie! Nie miejsce tu dla nich. Myśmy tu bitwę stoczyć przybyli .. a w obozie baby niepotrzebne. Wszystkobym to, do kroćset, wymiół i wyświecił ... Czarnobrewy i jasnogrzywy i stare i młode .. Mikorski spuścił głowę smutnie ...

— Nie bój się — rzekł — klnę ci się — że żadna Venus sumienia mi nie nadwęży ... bądź spokojny ... Ale — znowu — kapucynem nie jestem i na piękną twarz niewypowiedzianie patrzeć lubię ... Tyle naszej pociechy .. tyle naszego życia .. co nam te oczy poświęca!

I siadł podparłszy się w oknie, wpatrując się już w kamienicę, do której szambelaństwo się wprowadzali. Błyszczący karykl pana ministra Ankwicza stał już przed domem, bo grzeczny galant sam przybył na przyjęcie pięknej pani, która tak żywo na prośby jego

odpowiedziała stawiając się natychmiast w Grodnie... Pierwsze pytanie jej było...

— Czy się Łazarewiczowa już rozpakowała? ani jednej nie mam sukni!

Nazajutrz po otwarciu sejmu — po burzliwej sesji, na której nie dopuszczono Bielińskiego do przysięgi, rano, zaledwie się obudził szambelan Mikorski i ku śpiącemu jeszcze łowczemu, podparty na łokciu spoglądał, zdając się wahać, czy ma mu sen przerwać, czy dać wypoczywać dłużej — zaszeleściło coś w pierwej pokój, od którego drzwi były zamknięte..... Nie był to ruch chłopców i służby, widocznie chodził ktoś niecierpliwie z końca w koniec izby... nie zważając, iż śpiącym przeszkodzić może do spoczynku... Już miał się odezwać szambelan, gdy drzwi się otworzyły i w nich stanął młody, piękny mężczyzna, na którego twarzy widać było oburzenie i niepokój..... Ponieważ okno było przysłonięte, zrazu nie mógł dostrzedz, co się na łózkach działo... Mikorski już wstawał, łowczy się budził i przecierał oczy.

— Dzień dobry — zawołał wchodzący — albo raczej dzień nie dobry... wstawajcie, panowie towarzysze.

— Która godzina? — zapytał łowczy.

— Siódma.

— A! to czasu dużo!

— Kto wie, czy starczy go na kilka słów — rzekł szybko gość. Mam wiadomość pewną, że nas aresztują. ać bę

Mikorski się rozśmiał.

— Kochany podwojewodzicu — za prędko! to nie może być!

— Słowo daję — Sievers chce zaraz w początku steroryzować nas i nastraszyć, abyśmy grozę znali.

— Nie może być! Nie może być! — odezwali się razem Krasnodębski i Mikorski — Strachy na Lachy!

— Dwa słowa tylko — zawołał spiesźnie Karski — przyjedzie tu za chwilę Kimbar i Ciemniewski, naradzić się potrzeba.

— Ilu nas? — zapytał Mikorski.

— Miarkując z wczorajszej sesyi, na półtorasta prawie... znajdziemy się we dwudziestu...

Milczeniem odpowiadano — łowczy westchnął.

— Ha! rzekł — za mało, aby co zrobić, ale dosyć, aby przeszkadzać.

Odziwiali się prędko gospodarze, gdy mały, z wygoloną głową, czupurny, wpadł poseł upitski Kimbar.

— Czołem panowie bracia!... Wielu was tu?

— Samoczwart z waćpanem jesteście — odezwał się Karski.

— Ciemnińskiego tylko co nie widać...

Na te słowa i Ciemniński się wtoczył.

— A d s u m.

Zebrałi się w sypialni w gromadkę...

— Co mamy poczynąć? spytał Kimbar... mów Ciemniński.... co wypadło z rady — widzieliście resztę?

— Idę od Szydłowskiego... stękaliśmy tam od piątej rano...

— Cóżście wystękali? zapytał łowczy...

— Zaprawdę, nie wiele — wzdychając począł ten, któremu głos dano. Gromadła nasza mała.... Bóg święty wie, czy i ta dotrwa do końca... Cóż czynić przed ludźmi, światem, Bogiem i przyszłością — protestować! Nie, nie zostało nam nic więcej — Król!! A mój Boże! Cóż on może... Maż on wolę? Wież on dziś, co jutro pocznie? Patryotą był na sejmie ostatnim... a zdrajcą stanie się na tym z czystym sumieniem, bo nie wie sam, co baby i długi z niego uczynią. Da się nawrócić do tronu na kwadrans, a zdrajca go odwróci wnet, gdy zechce. Będzie płakał i powie, że jest nieszczęśliwy. O królu mówić nie ma co... Gorsza od niego zgraja ta zatraceniów płatnych...

Co my ważymy przeciw nim z rozpaczą naszą, z cnotą, która się wydaje śmieszną, z krzykiem, który nazwą jakobińskim... z bólem, który mianują szaleństwem?... Myśmy stracone placówki — ale dostać trzeba i ostrzelać się...

— Ale cóż? jakie hasło? — przerwał Krasnodębski...

— Hasło rozpacz... odparł Ciemniowski — nie dopuścić! Stać murem, krzyżeć, łajać, błotem, sromem rzucać im w oczy, wywołać wstyd... rwać, niszczyć dzieło przedajności i zdrady...

— Dokażemyż czego? spytał Mikorski...

— Tak — dokażemy jedynęj rzeczy wielkiej, świat wiedzieć będzie, że było dwudziestu uczciwych ludzi między posłami, których wybierały karabiny moskiewskie, których oni mieli za szelmów... Damy świadectwo prawdzie... Zapiszemy manifest do ksiąg nie grodu i trybunału, bo tam nas Sievers nie puści, ale do ksiąg sprawiedliwości bożej.

Mikorski przyklasnął...

Wtém chłopiec przestraszony wszedł do izby a za nim Borysewicz...

— Panowie... oficer z żołnierzami... w nogi, kto w Boga wierzy!

Nie zastanawiając się długo, co czynić, Karski skończył nie do drzwi, za którymi już słychać było szcęk broni.... ale do okna, chwycił je oburącz i szyby a ramy poleciały... wybił je całe, skoczył do ogrodu i zniknął. Nikt nie poszedł za jego przykładem. Kimbar, Ciemniowski, Krasnodębski, Mikorski stali jak osłupieni, gdy młody, bardzo przystojny, z uśmiechem na ustach, mocno ściśnięty w pasie oficer, przykładając rękę do kapelusza, zjawił się tuż w progu. Za nim szło czterech żołdaków z karabinami. Oficer trzymał papier w ręku. Znać dane mu były rozkazy, aby się jak najwzględniej obszedł z panami posłami, i wybrano takiego, któryby umiał to spełnić z pewną przyzwoitością.

Podszedł trochę skłopotany ku Mikorskiemu, który naprzód wystąpił.

— Bardzo mi przykro, rzekł... że tak niemiłą misją spełnić mi kazano — panowie darują — jestem żołnierz, znam tylko rozkazy moich przełożonych...

— Ale pańscy przełożeni nie są naszymi — przerwał Mikorski.

Oficer wskazał na żołnierzy.

— Czy panowie mają siłę, którąby naprzeciw karabinom postawić mogli?

— Ale prawo....

— Niestety — ja nie znam prawa, odparł oficer.

— Jesteśmy więc aresztowani...? zapytał Ciemniewski.

— Bynajmniej! zawołał oficer. Mam polecenie proszenia panów i dopilnowania tego, abyście na posiedzenie dzisiejsze nie przychodzili.... C'est tout! Jeżeli panowie zechcą odbyć spacer na Horodnicę do botanicznego ogrodu... lub użyć gdzieindziej wiosennego powietrza, ja i moi żołnierze służymy im jako straż honorowa....

— Co za honor! rozśmiał się Krasnodębski....

Mikorski wskazał krzeselko oficerowi... ten jednak nim usiadł, żołnierzy swych rozstawił. Jednego z nabitym karabinem wyprawił pod wybite okno, drugiemu kazał zostać we drzwiach, dwom wreszcie przechadzać się około dworku.

W sieniach przez drzwi otwarte widać było bałdych i przełgłych Borysewiczów oboje, Paraskę, dziewczynę, obu wyrostków panów posłów i kilkoro gawiedzi zwabionej ciekawém tém widowiskiem.... Żołnierze natychmiast plac oczyścili — nie zostało żywej duszy....

Czterej posłowie stali w milczeniu — patrząc po sobie....

— Otóż to nauka — rzekł po polsku Krasnodębski spokojnym głosem człowieka, który się wszystkiego spodziewał, że potrzeba wstawać rano.

Ale Karskiemu czmychnąć się udało.

Oficer usiadł i zdjął kaszkiet z głowy. Nikt już na niego nie zważał.

— Jużciż wiekuiście nas tak trzymać nie będą — odezwał się Krasnodębski prawie wesoło — tymczasem trzeba myśleć, aby życie salwować, aleśmy pod strażą.

Podszedł do oficera.

— Mam panu kilka zapytań uczynić — rzekł, kłaniając się.

Oficer oświadczył gotowość do odpowiedzi.

— Ponieważ jesteśmy pod komendą pańską — narzód, nam ja się prawo umywać?

— Zupełne.

— I ubrać?

— Jak się panu podoba.

— To dobrze — ozwał się z powagą Krasnodębski, a posłać po kawę?

— Byłeś sam pan iść nie chciał — a nawet jeśli tylko do kafenhauzu i w towarzystwie żołnierza, zgadzam się i na to.

— Pan jesteś nadzwyczaj miły i greczny, zawołał Krasnodębski, myślę więc, że będąc u nas w goście, napijesz się i kawy z nami.

— Nie, odparł śmiejąc się oficer.

— Dla czego?

— Kawa mogłaby być zatruta. O życie jednego żołnierza nie idzie — odezwał się żartobliwie oficer, ale panowie moglibyście uciec na sesyą.

Zaczęto się śmiać. Obstąpili wszyscy oficera — który zachował swój dobry humor, choć widocznie się zmuszał do niego.

Ciemniewski wrzał. . . . I to sejm? i takiego sejmu takie wolne głosy mają mieć jakąkolwiek wagę! zawołał . . . nie zważając na świadka. Prawdziwie ołociaby należało i jenerała, co tu go przysłał, i jego. . . . Możeż być co dla nas pomyślniejszego nad taką przemoc jawną? ale to na nasz młyn woda!

Iani milczeli.

Mikorski w sypialnym pokoju spieszył się ubierać.

— To nie może być, rzekł Kimbar, to nie potrwa. Karski uciekł, dostanie się do zamku i na salę, odezwie się do sejmujących . . . upomną się o nas. Sievers będzie zmuszonym nas wypuścić.

Z kolei Krasnodębski się ubierał. Mikorski wyszedł i zadumany siedł pod oknem. Okno wychodziło ku domowi, w którym stanęła szambelanowa. Postrzegł tam ruch niezwykajny.

Ze wszystkich na piętrze szybek pootwieranych wyglądały ciekawe głowy wywabione tym widokiem. . . . wojskowej straży. . . . Spostrzegł Mikorski piękną czarnobrewę, która z załamanemi stała rękami i głową zlekka go powitała. . . . Nieznacznie się jej odklonił. . . . W drugim oknie stał szambelan blady — nie śmiejąc widocznie zbyt blisko przystąpić, aby go żołnierz nie

zobaczył, wyciągał śmiesznie szyję i coraz to ją cofał przestraszony... Ale po chwilce ciekawość przemagała, głowa się ukazywała nagle, oczy obłąkane — zbiegły po dworku... i — zaledwie żołnierz się odwrócił, znikala...

W innem jeszcze widać było piękną szambelaną, niecierpliwą i gniewną... Zdawała się mówić do kogoś, ruszała rękami... i widocznie była poruszona niezmiernie... Naostatek na przemiany z nią pokazywał się rotmistrz Zubr, którego zabrała z sobą, — i miała ciągle na oku... ten śmiejąc się przypatrywał żołnierzom i dworkowi... Dwie służące blade pokazywały się niekiedy z małego okienka u wschodów...

Przyniesiono kawę — w milczeniu siedli ci panowie pić, gdy około okien dworku przechodzący ukazał się pan radzca Boskamp. Niezmiernie zręcznie udał, że go zdziwiła ta przytomność żołnierzy... zatrzymał się, zawahał niby i wszedł szybkim krokiem. — Żołnierz mu wniksja nie tamował... Otworzył drzwi...

— Przepraszam — rzekł od progu oczyma obejmując towarzystwo siedzące przy kawie... coś nadzwyczajnego... Panowie pozwolą! Może jakie nieporozumienie, a ja im moim wpływem posłużyć mogę...

Wszyscy milczeli — Boskamp się bardzo czule przywitał ze znajomym widocznie zblizka oficerem moskiewskim...

— Nie jest to żadne nieporozumienie — odezwał się oficer — mam rozkaz tylko nie dopuścić, aby panowie szli na sesyą.

Boskamp udał zdziwionego znowu, ręce spuścił, załamał i głową długo potrząsał. Twarz miał pełną współczucia i miłosierdzia... zdawał się zgryziony, jak gdyby to nieszczęście jego samego spotkało...

Zwrócił się do Mikorskiego.

— Onegdaj imienia tylko sobie pana szambelana nie mogłem przypomnieć — wszak p. Mikorski?

— Tak jest — odparł sucho zapytany.

— Miałem szczęście go oglądać na pokojach u N. pana... Ale w jakże smutnych spotykamy się okolicznościach!!..

Nikt mu nie odpowiadał — mówił dalej...

— Prawdziwie bolesną przeżywamy chwilę... a zwiększa trudność położenia niezmiernie piękny i szlachetny, lecz wielce nieogłębny patryotyzm. — A i któżby krajowi służyć nie chciał... ale dziś pono... chcąc mu ulżyć jedynym jest środkiem — nie drażnić!

Posłowie spojrzeli po sobie — on mówił dalej.

— Mam szczęście znać J. Ex. barona Sieversa... Jest to w całym znaczeniu człowiek cnoty patryarchalnej, delikatny, ugrzeczniony, wchodzący w położenie... gotów...

Wtém Ciemniowski się śmiać zaczął, a Boskamp zarumieniony wstrzymał...

— Daję panom słowo, że tak jest — ale podrażniony staje się człowiekiem żelaznym...

— Więc cóż za rada? szydersko spytał Mikorski. Co za rada?

— Jedna i jedyna — nie mamy sił, aby się oprzeć, miejmy rozum, by przyjąć, co nam narzucają losy... Nec Hercules contra plures. — A! mój Boże! słodko dołożył Boskamp... któżby życia nie dał dla kraju... ale cóż mu ono przyniesie... Ja, choć pochodzeniem obcy, ale mam honor liczyć się za obywatela téj Rzeczypospolitej, otrzymawszy indygenat na przeszłym sejmie... wziąłem nawet nazwisko polskie — Lasopolskiego, które mi N. P. sam raczył z mojego utworzyć.

Ponuro patrzano na mówiącego.

— Mój panie — odezwał się Krasnodębski — święta to prawda wszystko, co mówisz.... o jednej tylko rzeczy zapomniałeś, że są ludzie, co wolą umrzeć niż w gnoju wygodnym siedzieć po uszy.

Boskamp się zarumienił...

— A cóż panowie pomożecie sobie, rwiąc stę przeciw sile! dodał. Oto dziś grzeczny areszt nałożono, jutro zacząną wywozić...

— Niech wiozą na Sybir! zawołał Kimbar.

— Niech strzelają! krzyknął Ciemniowski.

— Alu co to pomoże? spytał Boskamp, gdy jednego z panów wywiozą a drugiego rozstrzelają?..

— Słuchaj pan — odezwał się Ciemniowski —

Pomoże! a ani pan, ani nikt z jemu podobnych nie pojmie tego, że męczeństwo jest płodne... że z krwi rosną mściciele. Historya trwa lat setki... to, co się wam wydaje końcem, jest ledwie początkiem.

Boskamp ramionami ruszył.

— Śliczne słowa! ale słowa! — rzekł — daremnieby walczyć z niemi! ale mnie się serce ściska... a kraj na tém ucierpi... Któ wie? — dodał — cały zabrany być może...

— Dobrze — byle go jeden zabrał — rzekł Krasnodębski — i byle go nie Prusak zabrał... niech do diabła cesarz austriacki całą zagarnie Rzeczpospolitą, niech imperatcrowsa ją trzyma... ale niech nas nie ćwiertuje...

Wszyscy umilkli...

— E! przerwał Ciemniewski... póki Pan Bóg na niebie, ja nie desperuję...

Odwrócił się Boskamp...

— Sytuacyi politycznej, panowie, nie chcecie pojmować.

— Bo myśmy hreczkosieje nie politycy! — rzekł Krasnodębski — my rozbój nazywamy rozbojem, złodziejstwo złodziejstwem... oszukaństwo szalbierstwem. Co pan chcesz! Tak nas głupimi Pan Bóg stworzył, że się już polityki nie nauczymy — nigdy!

— Tak — to prawda, rzekł uśmiechając się Boskamp, skłonił się przytomnym do koła, oficerowi podał rękę, spojrzął na zagarek i — wyszedł.

Przez kilka chwil panowało milczenie... Mikorski poszedł do okna. Mignęła mu twarz panny Justyny... i znikła. Po chwili ukazała się znowu z krzyżem w ręku, podniosła go do góry i drugą wskazała nań... Potém jakby obawiając się być postrzeżoną — uciekła.

Pomimo największych zabiegów Sieversa i przytocznej jego rady zaraz od pierwszych dni sejmowych rosły trudności i z ziemi, można powiedzieć, niepochwyciona, tajemnicza, objawiała się opozycja. — Kto był jej sprężyną?

Przebiegły Sievers nie mógł odgadnąć.

Dwudziestukilku ludzi, których ani kupić anistraszyć nie było podobna, walczyło z dyplomacją i wojskiem Sieversa.

Stary mąż stanu nie pojmował, aby ta garstka słaba sama sobą stała, szukał pod nią kogoś i czegoś... a znaleźć nie mógł. Gniewał się na króla, łajał podstępnych Kossakowskich, podejrywał tych, co od niego brali pieniądze, otoczenie króla posądzał. Ryxowi odgrażał się stryczkiem, Tyszkiewiczowi egzekucją porysował do dóbr — i nie szło lepiej.

Początki sejmu były wielce trudne a Sievers — nie rozumiał już nic. Miał marszałka, jakiego chciał, miał większość, jakiej sobie życzył, arbitrów wypędził z sali, miasto ostawił wojskiem do koła... groził wszystkim nawet ulubieńcom, a na sejmie wrzało i gotowało się straszliwie...

Przyszło do tego, że nikomu nie wierzył, oprócz swoich generałów a i ci wszyscy niemal głowy dla Polek potracili i dawali się bałamucić okrutnie, jawnie... niebezpiecznie...

Nie wiedziano, co począć...

Miasto, wszystkie do niego wiodące drogi, przewóz na rzece, rogatki ostawione były żołnierzem, a co dzień zjawiała się jakaś postać nowa, nieznajoma, przesuwająca się tajemniczo po mieście i — nikła...

Sieversowi donoszono wszystko, Boskamp służył mu jak pies, a Friese, sekretarz królewski, zdradzał pana i kogo tylko mógł zdradzać — mimo to Sievers przekonywał się, że nic nie wiedział. Gruntu mu pod nogami brakło, stąpał na pozór po kamieniach, obracały się pod stopami jego w trzęsawiska... Stary dyplomata był zły...

Posądzał, że go Igelström, siedzący w Warszawie, zdradzał, że mu Bühler stołki przystawiał, ale największe miał podejrzenie na Kossakowskich, którzy wprost kumali się w Petersburgu z Zubowem, Markowem, Altestim i kompanią.

Król tak samo nie miał człowieka, komuby się mógł zwierzyć — i — płakał...

Wszyscy w ogóle byli niezadowolnieni. Opozy-

cya głośno wołała o pomstę do Boga, Mikorski nielitościwie szydził z partyzantów moskiewskich, a Krasnodębski śmiał się. Po kilku pierwszych posiedzeniach Sievers przekonał się, że daleko trudniej przyjdzie dokonać tego, niż sądził i — boleśnie skarżył się na nierozum Polaków. Spadało to na Bielińskiego, marszałka sejmu, na Ankwicza, tajną sprężynę, na Pułaskiego, który się rwał do wszystkiego a nic nie mógł, na nieudolnego a pysznego Sułkowskiego, na wszystkich, co pieniądze brali a nie mogli złamać oporu...

To też pierwsze dni zatrute były tém niepowodzeniem... Sievers, który tak mądrze obrachował wszystko, nie mógł przebaczyć tym, co mu jego rachuby pomieśzali.

Tymczasem pięknych pań przybywało coraz więcej — bale się rozpocząć miały, rachowano na szaf, na uniesienie, na wpływ czarnych i niebieskich oczu... dla których nagotowane były instrukcje i brylanty...

Jednego wieczora majowego, po sesji krótszej niż zwykle... u Bielińskiego był mały obiadek dla wybranych... — Bieliński, marszałek sejmowy, nie miał już naówczas przy duszy złamanego szeląga i to go Sieversowi czyniło drogocennym. Gotów był na wszystko, bo jeść, pić a nadewszystko grać lubił. Nie wielkich z'olności, miał tę dobrą stronę, iż robił, co mu kazano, nie objawiając nigdy swojego zdania, dawał się lajać i popychać... nudziło go to, ale mówił sobie, że przecież takie życie świetne czémś trzeba było okupić. Sievers burczał go co dnia, w Izbie prawiono mu najboleśniejże prawdy, w ulicy przezywano go od słów ostatnich, Bieliński ziewał i śmiał się. Wszystko mu to było jedno.

Maluje to człowieka, że Sievers zmuszony go utrzymywać swoim kosztem na pańskićj stopie, nie dawał mu do rąk grosza, Boskampowi płacił 500 dukatów miesięcznie a on marszałkowi dostarczał, co było potrzeba. Bieliński i z tego śmiał się.

Znużeni wrócili milczący do spóźnionego obiadu Bieliński, Ankwicz, biskup Masalski i Miączyński... Było to szczupłe gronko ludzi, które jedna szlachetna

pasyjka łączyła — wszyscy oni zapamiętałymi byli graczami.

Biskup swoje, kapitulne i komisji edukacyjnej pieniądze nieraz przegrywał... Wieczór kosztował go czasem kilka tysięcy dukatów... Zapominał przy kartach o modlitwie, o jadłach, napoju, o poszanowaniu imienia, z którego aż do zbytku był dumnym.

Kniaziowie Massalscy według niego... byli bodaj najbliższymi pretendencjami do tronu rosyjskiego... Zdawało mu się, że cesarzowa co najmniej była dlań jakąś kuzynką... Ale gdy grał... i gdy się do gry zapalił, i woźnicyby od stolika zielonego nie odepchnął. W twarzy i postawie biskupa malowała się ta duma i namiętność. Cerę miał zgniłego jabłka, rysy nieprzyjemne, wejrzenie rozumne, nauki wiele — ambicji i zarozumienia jeszcze więcej. Ośmnastego wieku wpływ czynił go obojętnym na tę suknię duchowną, którą nosił... Kapłanem się nie czuł... Był to magnat w fioletach... A ponieważ liczył się za szefa pułku imienia Massalskich, u łaski biskupiej nosił feldcech złoty jeneralski. Wielki znawca i miłośnik sztuki... niegdyś wielbiciel płci pięknej, dziś był zgrzybiałym przed czasem i niezdolnym, chorowitym szczątkiem człowieka.

Miał tysiące powodów do zgryzoty: długi swe, niepowodzenie w grze, opór kapituły, na ostatek sprawę synowicy swój, którą wydał za księcia de Ligne, a ten trzpiot właśnie się z nią rozwodził, dowodząc publicznie, iż był — nieszczęśliwym w małżeństwie do takiego stopnia... że z jęomością żyć nie mógł.

Gdy Bieliński, wiodąc z sobą księdza biskupa, któremu drogę wskazywał, zjawił się przed kamienicą, którą w mieście zajmował, a z nim Ankiewicz i Miączynski... Boskamp pił — gospodarza w progu ich przywitał.

Wszyscy byli znużeni i milczący... Biskup rzucał się na fotel, podparł na rękę i niemal drżemiącym się zdawał... Bieliński krzątał się udając gospodarza, Miączynski poszukał kanapy i na niej spoczął, Ankiewicz jeden po kilkogodzinny krzyk w izbie i krzątaniu się miał się przechadzać.

Żelazna to była natura, której nic złamać nie mogło — całonocna hulanka, gra, która ostatnią mogła wziąć koszulę, klótnia, co żołci dobywała strumienie .. bezsenność, znużenie nie mogły go wyczerpać. Zdrzémnął się chwilę, obmył — napił i wracał do sił pierwszych. . . Mógł grać dwadzieścia cztery godziny nie wstając od stolika . . . pić dwa dni bez ustanku, — a gdy przyszło się bić lub strzelać, albo zajrzeć w oczy niebezpieczeństwu, szedł nie zmrużywszy powiek .. jak na dobre śniadanie.

Wszystkiego użył, nadużył, wszystkiem się znużył — w nic nie wierzył — reszta mu była obojętna. . .

Bieliński kazawszy obiad przyspieszyć — wszedł poprawiając peruki. Między nim a Ankwiczem ta była tylko różnica, że Ankwicz miał znakomite talenta, był wymowny i śmiały. Bieliński robił, co mu podszepnięto, prochuby był nie wynalazł i złamany był już rozpustą tak, że mu życie w smak nie szło. . .

Miączyński gracz jak oni, szczęśliwszy od nich — sarkastyczny był i cyniczny, ale szumne słowo pokrywało w nim pospolitego człowieka. . .

— Byleby ten Sievers obiadu nam lub zabawy nie przerwał, odezwał się ziewając nerwowo marszałek. . . Nieustannie czegoś wymaga i pokoju nie daje. . .

Massalski rzekł ponuro. . .

— Cięższego ambasadora nie znałem nad tego, a pamiętam ich dosyć. Ja bo zawsze wolę żołnierza. . Z Repninem, ze Stackelbergiem można było sobie radę dać i nasze panie ich za nos wodziły, a to ostygła — ryba. . .

— Ha! ha — mruknął chodząc po pokoju Ankwicz — do tego niestrawna i cuchnąca. . .

— Ciekawa rzecz, jak sobie radę da . . . wtrącił biskup. Uważaliście, że już (tu zniżył głos) na Kosakowskich patrzy koso?

— Trochę zapóźno się obejrzał — mruknął Ankwicz. . .

Biskup ręką zrobił ruch — jakby kulaka komuś dawał.

— A niech się jedzą! dodał po cichu, pocieszna farsa. . . .

Zamilkli, Bieliński dał znać, że do stołu proszono i poprowadził biskupa, który, przyszedłszy na miejsce z chciwością smakosza począł się przyglądać nalanej zupie i przyrządom stołowym. Jadł bez pamięci na to, co mu miało zaszkodzić. Wszyscy też byli zgłodzeni i Boskamp, który się przysiadł do stołu, jeden tylko nie zdawał się mieć apetytu. Jakiś czas trwało milczenie — brzęk tylko talerzy i łyżek słychać było.

— Markiza przyjechała! rzekł skończywszy zupę Ankiewicz.

— Jaka? podnosząc oczy czerwone jak u królika — biskup.

— Lullie. . . .

— Śliczna jak djabeł! zawołał Bieliński — skusiłaby anachoretę. Niechże tu z nią kto rywalizuje! Może się ubrać w gazę bez sznurówki i wystąpić jak Ewa przed Adamem.

Biskup podniósł oczy — pokiwał głową i sucho rzekł:

— Zapominasz się, marszałku. . . .

— Przepraszam . . . ale w. ekscel. . . . w. książęca mość, poprawił się, jesteś znakomitym znawcą sztuki, malowania . . . czemużbyś żywój piękności ocenić nie miał? . . .

— Za lat kilka taka będzie jak i drugie, rzekł Massalski, daj już pokój.

Boskamp, wielki także znawca piękności, który był wynalazł najsłynniejszą w owych czasach generałową Wittową — uśmiechnął się.

— Nie umywała się markiza do generałowej.

— Patrzenie . . . pyszałka — zawołał Ankiewicz — chwali się swém dziełem.

— Albo nie mam czém, odparł Boskamp. Lullie to oranżeryjny kwiatek, kruchy i wątły . . . a moja pani, to bujny owoc Wschodu — który nie tak rychło przekwitnie i burze przetrzyma!

— Takie piękności — rzekł Ankiewicz — jaśnieją, prawda, świetnie, ale krótko — tylko co nie widać a będzie stara baba.

— Oho! do tego daleko, dodał Boskap.

Biskup mocno był zajęty jedzeniem. Po chwili zwrócił rozmowę.

— Kto wygrał wczoraj?

— Gdzie? zapytał Bieliński ożywiając się.

— U Pułaskiego, bo nie dotrzymałem do końca, zgrali mnie.

— Sułkowski... wtrącił Boskamp.

— Jemu to potrzebne — rzekł z przekąsem Massalski. Czy słyszeliście, jakiego paradnego figla uciał królowi pruskiemu, pomścił się za Polskę. Pożyczył u niego na dobra kilka kroć sto tysięcy talarów, a tam już na nich było tyle długu, że Brandenburczyk poszedł z kwitkiem.

— Autant de pris sur l'ennemi! — dodał śmiejąc się Ankiewicz. Słowo państwu daję, mam mu to za zasługę. Ja, gdybym mógł od cesarzowej pożyczyć milion, z czystym sumieniem bym to uczynił.

— Tylko, mruknął Massalski, że imperatorowa nie pożycza nikomu. Obejrzeli się i zamilkli ostrożnie... Obiad szedł szybko, danie po daniu, Massalski jadł i pił żarłocznie.

Nalewano burgundskie, przyniesiono szampana, który w modę wchodził... kielichy się wypróżniały szybko...

— Konsyliarzu — zawołał Bieliński, — bez starego węgryna nie ma obiadu...

— Przyjdzie i staruszek — rzekł Boskamp...

— Ale słuchaj, gospodarzu — wtrącił biskup. Czas drogi, nas tu zamęczają tę pańszczyznę sejmową, każ przygotować stoliki. Każda chwila droga... kto będzie trzymał bank...

Nikt się nie zgłaszał. — Podparty na łokciach Miączyński siedział zamyślony, oczy wszystkich ku niemu się zwróciły.

— Juścić Miączyński! rzekł Ankiewicz.

— Nie wzdragam się — odparł zagadnięty — ale na gotówkę — nie inaczej, jak na gotówkę.

Biskup odchylił fiolety i począł się po kieszeniach macać... Naostatek dobył ogromnej, zbrukannej sakwy zielonej jedwabnej, i podniósłszy ją do góry, pokazał

zdala Miączyńskiemu... pobrząkując... Przez siatkę widać było dukaty błyszczące... Miączyński się uśmiechnął.

— Będę je miał — rzekł sucho.

Jeszcze ręka z sakwą do góry była wyciągnięta, gdy w przedpokoju dał się słyszeć głos schrypty, piśkliwy, gniewny, dopominający się wnijscia — poruszyli się wszyscy.

— Byle nie posłaniec od Sieversa! ręce składając zawołał Bieliński.

Drzwi się otworzyły i wszedł słusznego wzrostu nie młody mężczyzna, na którego widok zamilkli wszyscy. Był to rodzaj upioru.

Ubrany w odzież kosztowną a zazarzaną i podartą, we wstędze św. Andrzeja i Orła Białego, peruce na bakier, z twarzą purpurową, oczyma zblakłemi, wargami obwisłemi, miną cynicznie pogardliwą, wszedł opierając się na lasce, powoli, z postawą czło ieka, który ma prawo wnijsć wszędzie. Z wyrazu twarzy domyśleć się było można, iż był po obiedzie i obfitych libacyach.

Ręką drugą w bok się wzięwszy, stał i patrzył, nikt go jakoś nie witał. Biskup obejrzał się i szybko sakwę schował do kieszeni, jakby się obawiał, aby mu ję nie odebrał. Bieliński był zmieszany widocznie.

— A pana podskarbiego... Niechże książę siada... może wina kieliszek.

— Służba Wmości, panie marszałku, głosem schryptym rzekł wchodzący — czy się nie zna na ludziach, czy nowicyusze — nie chcieli mnie puścić pod pozorem obiadu. — Przecież asanstwa nie odjem.

Milczeli wszyscy...

— Zkąd książę?

— A zkadżo? od ambasadora — z przekazem odparł Poniński — raczył mnie na obiad zaprosić. Stary dziad... kucharza ma dobrego, lepszego niż sam jest politykiem...

Nikt nie odpowiadał.

Książę siadł na krześle, które mu podano.

— Głupi wasanstwa sejm — począł mówić —

nie umywał się do delegacyjnego... nie dacie sobie rady z nimi. Bieliński ty... nie do tego...

Stuknął laską.

— Cóż ambasador? — spytał Ankwicz, chcąc odwrócić rozmowę...

— Musi drzemać po obiedzie — albo czułe listy do córek pisze. Nie wiem. To wiem, że na waszmościów wszystkich zły — i ma rację... Wy także, jak służba Bielińskiego nowicyusze jesteście. Tu trzeba było takiego wypróbowanego człowieka jak ja... który już był i jakby królem i jakby pod szubienicą... na wozie i pod wozem.. Jabym tu był sejmowi pokazał... A wy!! wy! dzieciaki! Bieliński! tobie kadryla tańczyć... Ankwicz... tobie w Kopenhadze posłować do Dunek i spodniczek... albo Pułaski... toż osioł na wielki kamień.

Ankwicz jeden śmiał się.

— Mości książę, rzekł, jesteście nowicyusze, to prawda, ale gdy trzeba szorować do czysta... ścierki brudnej nie używają...

— Was dopięć o bruczą! odparł Poniński, aleście nie bardzo czyści téż... a jak was jak mnie zafolują, rzucą precz na śmiecie... Myślicie, że was inny los spotka? Nie! Gdy cytryna wyciśnięta, won z nią za okno...

Ucichł na chwilę...

— Przedemną wy wszyscy studenci! dodał — a kto was nauczył tego, co robicie? Kto to skomponował? To, co robicie dziś, czysto tylko kiepskie, z pozwoleniem, naśladowanie tego, co ja zrobiłem wczoraj, i za com o mało nie wisiał... Ślicznie, nie ma co mówić, wyszedłem, nagrodzili mnie tak... że mi grosza przy duszy nie zostało...

Massalski ofuknął.

— A któż to temu winien? alboście nie puścili milionów! Z was prawdziwa beczka Danaid...

— A wy to lepsi! zawołał Poniński — Ej! księżulku, przyganiał kocioł garnkowi...

— Ja się nie skarzę...

— Ja téż... ja tylko gadam... Przecież my, szelmy, nie możemy żyć jak urzciwi ludzie... Należy

się nam coś za to... a coby'm ja wskórał, żeby'm majątek miał, coby mi go skonfiskowali?? E! żyło się — to i dosyć — dajcie wina...

Boskamp skinął na służącego, który poszedł z butelką burgunda.

Podskarbi się zaczerwieniał i obruszał.

— Sami pijecie węgryzna, a mnie, jak lokaja — kiepską lurą będziecie częstowali. — Co to jest!

— Omyłka! zawołał Bieliński.

— Piękna mi omyłka... alem ja do tego jeszcze nie doszedł, aby mnie jak posłańca lada czém u progu zbywać...

Zmieszali się wszyscy... Poniński kazał sobie dać kieliszek większy i podniósł go do góry...

— Zdrowie waszmość panów! zawołał, życząc im takiego szczęścia, jakie mnie spotkało. Vivat! vivat!

I szkło cisnął o ziemię, śmiejąc się...

Mileczenie panowało w pokoju. Biskup niecierpliwie chwycił za poręcz od krzesła i począł wstawać, kwaśny mruczając... nie patrząc na podskarbiego, który go oczyma mierzył. Wyciągnął się w krzesło, ręce w kieszenie powkładał i przyglądał się towarzystwu. Szczególniej go drażnił biskup.

— Księżę biskupie — zawołał ku odchodzącemu, he... w elbe-zwelbe partyjkę?

Zwrócił się gniewnie dumny książę.

— A, słowo daję, grywaliśmy z sobą... pamiętasz, po całych nocach... i coś moich dukatów nabrał... co ja twoich, djabeł chyba policzy, obrachowując duchowne fundusze, które w twój kieszeni utonęły.

Biskup uszedł do drugiego pokoju, a podskarbi za nim jeszcze wołał:

— Biskupie — kochanie — bez gniewu! dalipan, nie masz się z czém dać... obaśmy równo warci... ani na gram jeden drugiego nie przeważa.

Ale już wszyscy się do drugiego pokoju powynosili, Boskamp tylko został.

Zbliżył się do podskarbiego.

— M. książę, niepotrzebnie tyle żółci wylewasz, do czego się to zdało ludzi sobie narażać.

— A oni mnie do czego? Przyjaciół z nich mieć nie będę, co nadokuczam, to moje.

Niech się wściekają.

W drugim pokoju zasiadano do gry, gdy ksiązę służącemu wyrwawszy z ręki butelkę z winem, postawił ją przy sobie na stoliku, nalał kieliszek i zabierał się ją spokojnie dokończyć — jakby u siebie był w domu.

Tam się gra już ro poczyniała, ale zaszła nowa przeszkoda. Dwie ogromne figury, jedna w fioletach, druga w mundurze wojska rosyjskiego, weszły impetycznie do pokoju. Był to biskup i hetman Kossakowski.... W zbiorze twarzy i typów, jakie sejm ten przedstawiał, nie były mniej wyraziste nad inne. W obu widać było organizacją bujną, naturę uposażoną hojnie. Biskup czoło miał mędrca, oczy badacza, dół twarzy tylko nie odpowiadał górnej jej części.... Usta były zapadłe, zaciśnięte, mściwe i namiętne, a gra ich tak panowała obliczu całemu, iż gasiła to, co świeciło na piękném czole.

Hetman otyły, barczysty, miał oblicze pańskie i dumne, nielitościwe. Coś katowskiego zeń patrzyło.

Oba postrzegłszy Podińskiego — obeszli go, dążąc do drugiego pokoju, gdzie szum natychmiast ustał. Bieliński, który już siedział u kart, porwał się, a Kossakowscy lekkim głową skinieniem pozdrowiwszy przytomnych, na co Massalski ruszeniem ramion odpowiedział, wzięli marszałka na konferencją do jego sypialni. Do powrotu Bielińskiego gra została powstrzymana, wiadano, że Kossakowscy nie zabawią długo. Jakoż nie wchodząc nawet napowrót tam — gdzie grano natychmiast się wynieśli. Bieliński powrócił i siadł blady.

Ankwicz się pochylił ku niemu.

— Czego oni chcieli?

— Mnie się zdaje, że oni sami tego nie wiedzą — odparł Bieliński. Sievers łaje ich, a oni wszyscy mnie — kogoż ja mam łajać?

— Wiesz, to pytanie ciekawe, rozśmiał się Ankwicz, bo zwykle urzędowe łajanie jest jak ta gra, w której

się otrzymanego klapsa zaraz oddaje sasiadowi. Mo-
żesz łajać Boskampę...

— Djabła tam... on lepiej niż ja u Sieversa
stoi... na mnie się krzywi wszystko...

I nagle zawołał. — Kat bierz sejm. — Sto du-
katów na dwójkę!

Głos ten rozbudził jakby zdrzemanego Ponińskiego,
który się sam został w pierwszej izbie..., dopił wina
i na kiju się opierając powlókł do stolika gry... Sta-
nął... patrzył... Potém z ziemi zdjął kartę... i rękę
wpuścił do kieszeni w kamizelce... Dobył z niej pięć
dukatów... Oryma długo, długo żegnał się z niemi,
odjął jednego... a cztery z kartą położył na stole.

Miączyński, który ciągnął, spojrzał kwaśno. Zmie-
rzyli się oczyma...

Za drugim pociąganiem dwójka, na którą posta-
wił — przegrała.

Poniński stał i jak osłupiały patrzył.

W twarzy mięsły mu drgały wszystkie... wi-
dać było budzącą się namiętność niepohamowaną.
Obok niego siedział biskup.

Schylił mu się do ucha. — Księżę biskupie — ja-
keś pocziw... pożyczyć pięć dukatów — pies jestem,
jeśli więcej poproszę... pożycz pięć...

Niecierpliwie, gniewnie, jak żebrakowi książę po-
sunął żądane dukaty, a sam z krzesłem hałaśliwie się
odwrócił od niego.

Drżącą ręką chwycił dukaty Poniński... na pierwszą
jaką natrafił kartę, postawił je... Widzieć było po
graczach, jak im ten natręt dokuczał... Miączyński
jednak ciągnął... karta wygrała... Podskarbi zała-
mał ją... wygrała raz jeszcze... Miał już dwadzie-
ścia dukatów, oczy mu się paliły... Nie zdjął ich —
kartę tylko odmienił... Wygrała raz jeszcze, popa-
trzyli na niego wszyscy... Zawahał się chwilę...
Podsunał kartę i szedł dalej... Szczęście mu sprzy-
jało dziwnie... Śmiał się i trzymał...

Doszedł tak do dwóchset czerwonych złotych, które
nareszcie ubił i zagarnął Miączyński. Podskarbi pa-
trzał jakiś czas na stół... pokiwał głową i wrócił do

utelki . . . której już nie było. Kazał sobie dać nową, siadł na kanapie i usnął.

Gra tymczasem szła dalej zapamiętałe. Massalskiego zielony worek leżał bez mała próżny na stole, Ankiewicz wygrywał, Bieliński już się zgrał do grosza i poszedł budzić Boskampa, aby mu pożyczył. Wczesny ranek majowy już się robić zaczynał. Na wypogodzonem niebie nikły gwiazdy. Od wschodu rumienił się widnokrąg i ptaszki w ogrodzie zaczynały świergotać. Ankiewicz poszedł okna od ulicy otworzyć, aby wpuścić trochę świeżego powietrza. Pokoje — w których grali — były na dole od ulicy, ale w miasteczku pusto jeszcze i cicho.

Dzień szybko rosł a gra nie ustawała, świece stały się niepotrzebne, pogaszono je. Bieliński kawy przynieść kazał. Ze zbladłemi twarzami siedzieli graczem znużeni u stolika. Miączyński wygrany, rad był już grę porzucić, lecz biskup się gniewał, bo posłał kartkę po pieniądze i chciał się odegrać. Ledwie, oczekując na powrót służącego, wyrobił sobie Miączyński trochę spoczynku.

Kawa orzeźwiła nieco graczy.

— Co się stało z Ponińskim? spytał Ankiewicz.

Chrapanie z drugiego pokoju odpowiedziało na pytanie.

Pod oknem ulica się ożywiła powoli, zaczęły wozy ciągnąć na targ, żydzi na pół odziani wybiegali, łapiąc je po drodze.

Kilku kozaków przesunęło się mimo dworku, zaglądając w okna otwarte.

Ankiewicz siadł, używając świeżego powietrza.

— Prawdę powiedziawszy! odezwał się poziewając, wszystkimby nam się sen należał.

Mignęło coś przed oknem i stanęło.

Wszyscy się zbliżyli wyrzec, bo widowisko było niezwykajne.

Drogą szedł wóz jednym koniem zaprzężony — wlokąc się powoli. Z okrytej płótnem budki widać było kobietę na pół naga, która przy piersi trzymała dziecko obnażone zupełnie. Czarną jej twarz z wargami wystającymi do koła las czarnych, rozrzuconych

włosów otaczał. Przy koniu szedł mężczyzna ogo-
lony, w płócienną odzież, bosy, szerokim pasem z
mosiężnymi kółkami podpasany. Dwóch chłopców w
koszulach, parobczak w słomianym kapeluszu z kijem
i dziewczyna z rozpuszczonym bujnym włosiem, ogro-
mnymi oczyma czarnymi, okryta kołdrą w pasy wle-
kli się ospale za niemi. Dziewczę mogło mieć lat pię-
tnaście, nie było piękne, ale ognistym spojrzeniem i
gibką postacią uderzyło Ankwicza. Wlepił w nią o-
czy chciwe. Dziewczyna też go postrzegła i zatrzy-
mała się, coś poszeptala do stariej, odgarnęła włosy, o-
tuliła kołdrą i, minę przybrawszy naiwnie zalotną —
zuchwale przybliżyła się do okna. Maleńką czarną
rękę wyciągnęła do Ankwicza a drugą poczęła mu
pokazywać, że wróżyć umie.

Wóz się zatrzymał, chłopcy jałmużny się doma-
gając, przybiegli też pod okno.

Śmiejąc się Ankwicz, piękną, białą swą dłoń wy-
ciągnął.

— Umiesz wróżyć — dziewczyno?

Z ruska — z cudzoziemska — bąknęła — kiwając
głową.

— No — jakżeż?

— I cóż tam widzisz na mojej dłoni?

Wpatrzyła się ciekawie dziewczyna.... Nagle
zaczęła głową trząść znacząco i krzyknęła odskakując

Ankwicz mimo odwagi i obojętności zmieształ się
nieco.

Nie domagając się nawet nagrody, dziewczyna
cofała się coraz dalej, czarne oczy z namarszczonemi
brwiami wlepiła w niego groźnie, straszno, potem za-
łamała dłonie.

— A! wiédźmo przekłeta, rzucając talara pod jéj
nogi — krzyknął Ankwicz — mówże, coś tam zoba-
czyła?

Dziewczyna podniosła talara ale głową trzęsła
a rękami okazywała coś strasznego bardzo. Zdawało
się, że jéj słów brakło. Ankwicz nalegał koniecznie.
Cyga nie stali. Stary się do niej przybliżył, coś mó-
wiąc żywo na ucho — z pod budy wyjrzała kobieta,
oczyma jéj dając rozkaz jakiś. Ona wymawiać się

zdawała. Wreszcie gdy Ankwicz aż wstał z krzesła i obu rękami oparłszy się na oknie — wołał: Wiedźmo jakaś — a gadajże!! dziewczyna odpasała czerwony pas swój, zarzuciła go sobie na szyję i końce w rękę do góry podniosła.

Ruch aż nadto wyraziście oznaczał — powieszenie.

Ankwicz śmiejąc się padł na krzesło.

— To się bestya pomściła za ciekawość moją.

I cyganie spiesźnie pociągnęli dalej.

Nikt oprócz ministra głupiego tego cygańskiego żartu nie widział.

— *Après tout* — rzekł w duchu Ankwicz, juściż do tego chyba przyjść nie może.

Straciliśmy z oczów panią szambelanową, która w Grodnie spodziewała się wielkich przyjemności i na tém się całkowicie zawiodła. Warszawskie jeszcze stósunki tak dalece ją blisko łączyły z Lexem i Łazarewiczową, że pierwszemu dwadzieścia kilka dukatów za koronki (tam jakieś mizerne strzępki mówiła) — a drugiej przeszło pięćdziesiąt za taftę na suknię dłużną była.

Spodziewała się więc być usłużoną dobrze i zajęchała do sklepów w błogiej nadziei, że potrzebne pięć czy sześć sukien mieć będzie w ciągu tygodnia. Łazarewiczowa przysięgała na wszystko, co miała najświętszego, iż szwaczki dzień i noc pracując wydolać nie mogły i że za dni dziesięć ledwie da dwie suknie. A cóż znaczyły dwie suknie? Lex gorzej mruczał, że się podjąć nie zdoła, aż rozpatrzy.

Wszystko się okazało niesłychanie drogie. Za piórko strusie białe, a pióra były najulubieńszą jej ozdobą — żądano pięć dukatów. Szambelanowa za głowę się chwyciła. Fryzyerów było dwóch, oba zajęci okrutnie. Angielskich perfum obiecywali przywieść dopiero...

Z pierwszej swjej wycieczki wróciła biedna z bólem głowy i rozpaczą. Szambelan też potrzebował odświeżyć garderobę — a do jego wytwornego gustu nie dobrać nie było można...

W dodatku dom był wilgotny i „aniołek“ dostał fluksyi... A gdy jeszcze zobaczyli przez okna tę scenę z żołnierzami, Karskiego skaczącego przez okno, żołdatów na warcie do nocy, gdy Ankwicz opowiadać począł, jakie nieprzyzwoite wrzaski wyrabiano w Izbie — jacy ludzie nie wiedzieć zkąd się znaleźli, aby te burdy codzien sobie poczynać jak w karczmie, — szambelanowa o mało się nie położyła...

Pocieszyło ją tylko, że jednak bale się gotowały, że Sievers kazał ją prosić, aby została i aby wpływu swego użyła na ukołysanie zburzonych żywiołów. — Ankwicz dodał, iż pannę Justynę powinna była z sobą wziąć koniecznie, aby liczbę pięknych osób pomnożyć, gdyż w rachunek była wciągnięta.

To znowu szambelanową zniecierpliwiło.

— Ale to nie jest do salonu panna, rzekła... to „osoba bez wychowania“ — ordynaryjna w najwyższym stopniu...

— To nic nie szkodzi — twarz przystojna... to dosyć.

— Co za przystojna! W Pan masz kaprysy.... Przypatrz się...

Ankwicz się upierał.

— Więc ci i to jeszcze powiem, dokończyła szambelanowa, że ja nie jestem jęj pewną....

— Jakto? w czym?

— Oto w tém, iż ją posądzam, że może mieć głowę przewróconą patryotyzmem. To do niej podobne. Wprawdzie nigdy mi nic nie mówiła, bobym ją skarciła przykładnie... ale gdy się tu ta awantura w dworku stała, obok... że tych warcholów bardzo słusznie żołnierzami obstawiono, wpadła do mnie z lamentem, jakby już nie wiem, co się stało... wyrzekając na Moskali. Ale m jęj wnet gętę zamknęła.

— No — widzi pani — litość, kobieca rzecz — rzekł Ankwicz, a Sievers postąpił sobie nieogłędnie. Sam tego żałował. W impecie pierwszym się nie zastanowił.

— A ja mówię, że słusznie i pięknie i sprawiedliwie — zawołała szambelanowa... Trzeba ich uczyć

rozumu, kiedy go nie mają. Oni nam tu sejm strują i zabawy i wszystko a ambasadora zniechęcą.

Ankwicz zmilczał jakoś.

Perspektywa zabaw uspokoiła Milusię, wszedł też jej małżonek, który Ankwicza czuł się w obowiązku dozierać, i rozmowa się przerwała.

Do innych kłopotów gospodyni przybyło i pilnowanie rotmistrza. Wprawdzie dał słowo honoru przy świadkach, że wódki do ust nie weźmie, ale zaraz pierwszego wieczora się solwował tém, że miodem kowieńskim się spił jak bela i siostrę złażał ze szczętem... a szambelana chciał wziąć za kark... co go takim nabiło strachem, iż dostał nerwową drżączkę, i trzeba mu było dawać kropel z jeleniego rogu...

Szambelanowi, który chciał się w zamku prezentować, także się nie powiodło, król go nie przyjął, raz i drugi — składając się tém, że czasu nie ma. Trzeciego czy czwartego dnia rotmistrza posadził pułkownik Kastaliński na obwach... Uprosiła siostra, aby go tam przez dni kilka przytrzymano — mogła więc trochę wolniej odetchnąć...

Szambelan na pikulinie grać nie mógł i to mu humor psuło... nie miał na to miejsca spokojnego. — Już się horyzont jednakże zaczął być wyjaśniać, gdy nowy kłopot wcale niespodzianie się zjawił. Jednego ranka nieznajomy średnich lat mężczyzna zgłosił się do szambelaństwa, dopytując o pannę Justynę... Był to rodzony jej, jak się okazało, brat, którego od lat dziesięciu nie widziała — gdyż służył — mówiono, wojskowo za granicą. W istocie, choć munduru nie nosił już, ale wyglądał wojskowo. Człowiek był przyzwyczajony, jednakże — „nie naszego świata,“ jak mówiła szambelanowa.... Coś surowego, chmurnego miał w twarzy... o sobie mało mówił — bo widać, nie miał się z czém tak dalece chwalić — pełen był jakichś tajemnic. Spytany, po co przyjechał, mówił, że chciał siostrę zobaczyć... co nie było (zawsze zdaniem szambelanowej) żadną racją. Nie podobał się jej całkiem.

— Taki ordynaryjny jak i siostra.... Ażeby nie chciał zostać u nas, i wisieć jak jeszcze ona..., Trudno znów na karku trzymać całą rodzinę...

Szambelan, nie zdecydowany w tém jak w innych rzeczach, szedł ślepo za zdaniem żony — mówiąc — a pewnie — tego...

Tymczasem trudno było mu do domu bronić przystępu... Na obiady nie wpraszał się, lecz u siostry godzinami przesiadywał.

— Ciekawam, co też oni z sobą tak bardzo rozprawiać mogą! mówiła „boska Milusia...“ Słuchała nawet podedrzwiami, ale szeptali cicho. Zdało jej się to podejrzanem. Oczywiście, kto nie ma nic do tajemnia ani na sumieniu, głośno mówić może. Kto to wie jeszcze, jaki człowiek. Może jaki niebezpieczny... Nie zachęcam go też wcale do zbliżenia się ku domowi.

Sama pani była nad wyraz zimna, — szambelan lodowaty i napuszczony.... obchodził go w koło i strzegł się rozmowy. Zawadzał mu i z tego powodu, że teraz w tém Grodnie, gdzie do pokątnych umizgów czasu aresztu rotmistrza nadarzyć się mogło tyle zrzeczności... brat ten stał ciągle na przeszkodzie. Wydawał mu się strasznym bardzo...

Ani szambelanowa, ani jej mąż nie mogli dojść, jak też on długo rabawi... A co gorzej, na drugi dzień ujrzano go z szambelanem Mikorskim i Krasnodębskim w tym dworku buntowniczym, siedzącego poufale jak w domu. Zkąd on ich znał? To było nadzwyczaj podejrzanem.

Piękna pani Emilia nie mogła tego wymódl na sobie, ażeby siostry nie spytała.

— A zkądże to brat panienki ma już koneksye z tymi panami, którzy te buntury poczynali!

— Mówił mi, że są jego przyjaciółmi od dawna.

— Widać, stósunkowy człowiek — odpowiedziała z przekąsem pani — ale niech go pauna przestrzeże, że z takimi ludźmi wdawanie się — cień rzuca... I jeszcze nam na dom naprowadzi podejrzenia, kiedy bywa i tu i tu.

— A, pani dobrodziejko — przerwała uśmiechając się Justyna — już też domu państwa nikt pewnie nie posądzi... o żadne buntownicze myśli...

Mój też brat zapewne tu nie zabawi długo...

— Dokądże jedzie?

— Nie wiem jeszcze — tego mi nie mówił.

— To dziwna rzecz — wtrąciła szambelanowa — bo państwo z sobą tyle mówicie...

— Tyleśmy téż lat się z sobą nie widywali... Pomimo wstrętu do tego — intruza — jak go nazywała, następnego dnia od niechcenia kazała go na obiad prosić.

— Niechże się nam da lepiej poznać... Na obiad w istocie przybył pan porucznik...

Ubiór i obejście się jego, mimo pewnej sztywności, zdradzały, iż w salonach nie był obcym; obracał się swobodnie i — jakby wśród sobie równych, sztywno zauważała szambelanowa.

Wszczęła się rozmowa — zdumiała mocno pani — dowiadując się, że niemal całą znał Europę, bo nawet na saskim dworze bywał. To jęj trochę zaimponowało. Mówiono po polsku, okazało się z kilku słów, że i po francuzku umiał.

— Gdzież się mógł tak wyedukować? pomyślała.

Szambelan był bardzo zaciekawiony — lecz... obszedłszy go kilka razy na rozmowę się nie ważył. Uśmiechał się i głową kiwał.

Pani Emilia zapuściła sondę, chcąc wybadać człowieka... tu się dopiero okazało, iż był niesłychanie zręczny, mówił niby wszystko a z tego nic wycisnąć nie było podobna. To było niezmiernie podejrzanem. Nieprzyjemném zaś i grubiańskiem z jego strony znajdowano, że nie okazał żadnej admiracyi dla wdzięków szambelanowej, żadnej oznaki, iż przecie na nim zrobił wrażenie. Nic — ale to nic.

Boska Milusia nawykłą była do hołdów.... Gdy pan porucznik odszedł, nie mogła się wstrzymać, aby przed mężem nie wybuchnąć na tego jakobina.

Szambelan usłyszawszy nazwisko mu nadane — przeraził się. Nie wiedział on dokładnie, kto i co zaczęli jakobini, ale wiedział, że to coś było takiego, co niosło z sobą, takim jak on, spokojnym ludziom śmierć, pożogę i zniszczenie. Wyrzeczenie tego imienia... napełniało go trwogą. Był za tém, żeby się go pozbyć co rychlej.

Wieczorem nie wytrzymała p. Emilia — i — od-

prawiwszy wprzody męża, który na czatach zazdrośnych został za drzwiami — opowiedziała o poruczniku, jak należało, Ankwiczowi. On sobie go ołówkiem zanotował, aby kazać mieć na niego oko. Policya w Grodnie była doskonałą. Nie zapomniała szepnąć, że u Mikorskiego i Krasnodębskiego przesiadywał. To dawało do myślenia.

Drugiego potem dnia przybył pan minister uśmiechnięty i doniósł, że strachy co do porucznika były próżne. Znał go doskonale Boskamp, wiedziano o nim, miano go za żołnierza dobrego, który, jak się zdawało, szukał służby w wojsku rosyjskiem — bo coś o tém komuś mówił.

Uspokoila się szambelanowa.

Siostra, panna Justyna ciekawą téż była tego brata, który tak długo przepadł bez wieści. Dwoje ich rodzeństwa było tylko na szerokim świecie — sierót dwoje.

Po latach dziesięciu oboje oni dla siebie byli nowemi istotami, potrzebowali się poznać, zbliżyć, wyspowiadać.

Z obawą niejaką rozpoczynali tę znajomość, która i coś strasznego a niepowetowanego odkryć im mogła.

Justyna opowiedziała bratu swój pobyt u Wizytek, przyjęcie w domu szambelaństwa... ale się nie poskarżyła na swój los, nie zadrasnęła słówkiem tych, na których łasce była.

— O ile ja widzę, rzekł brat — nie wielkie to szczęście ta opieka nad tobą, i gdyby się coś innego trafiło — nie namawiałbym cię, abyś tu została. Krótkiego czasu dosyć, aby dom poznać. Jejmość stara — elegantka, on sam jakby go nie było, dumy wiele, serca mało.

Na to panna Justyna nic nie odpowiedziała.

— Pokrewieństwa się wstydzą... Dom dla moskiewskich przyjaciół otwarty, widzę — i sercem im sprzyjają...

Skinieniem głowy potwierdziła to panna Justyna. Brat wstał mocno wzruszony.

— Spodziewam się — dodał, że ty przynajmniej

inne zachowałaś uczucia — i że na ciebie nie wpłynęło to... co cię otacza...

Zarumieniła się siostra i dopiero z żywością zaprotestowała...

— Przypomnij sobie — rzekła — los ojca naszego... czyż możesz mnie posądzić, abym... z serca wyrugowała to uczucie, którego on padł ofiarą?..

Porucznik uściśkał ją.

— Przepraszam cię — rzekł — dzięki Bogu, rozumiemy się...

Jakiś czas zdawał się namyślać — potem począł wypytywać o wiele rzeczy będących w związku z sejmem, o których Justyna przy stole i z ust szambelanowej słyszeć mogła. Dowiadywał się o najdrobniejsze szczegóły...

— Przyznaj mi się — wieczorem zapytała go siostra — tyś tu nie dla mnie jednej przyjechał... i nie dla... rozrywki.

Bystro spojrzała mu w oczy.

— Jak ci się zdaje? — uśmiechnął się brat. Domyślaj się, czego chcesz... Justysiu — mówić nie mogę... Do czynienia mam wiele w istocie...

Tegoż dnia zapytał o klasztor Dominikanów i nie wrócił aż bardzo późno... Na nieszczęście wypuszczono właśnie z obwachu rotmistrza i od wieczora miał w nim niewidzialnego szpiega za sobą pan porucznik. — Siostra go o tem przestrzegła, na następny więc dzień niebezpieczeństwo zostało usunięte z pomocą miodu i rotmistrz ani się opatrzył jak mu znikł z oczów i nie wiedzieć, gdzie się podział... Wrócił do domu Żubr, śpiewając na całe gardło... drzwiami trzaskając, a szambelanowi, który wyjrzał, zagroził, że mu kark skręci... co spowodowało zamknięcie się na klucz... I znowu powtórzyła się ta sama historia tylekroć nadaremnie przebyta, groźba siostry, łajanie, nazajutrz zaklęcia i przyrzeczenia najuroczystsze... wieczorem miód i piosenka...

Szambelan wyraził swe przekonanie, że należałoby może kochanego szwagra do Wierzejszek na furce odprawić.

To zdanie niezawiste, śmiało, z wielką trudnością

przyszło mu wypowiedzieć, dodał, że jak boska Milusia — sobie chce.

Rozmyśliwszy się szambelanowa, chociaż mężowska radę przyjęła obojętnie, z zasady nie pozwalając mu rządzić sobą — napisała tegoż dnia do ekonoma do Wierzeiszek, aby na rotmistrza miał pilne oko, a po południu poleciła mu jechać na wieś i zdala się gospodarstwu ekonoma przypatrywać. Tym sposobem go się pozbyła, mając nadzieję, że rotmistrz, który od dawna wzdychał do objęcia rządów w majątku, zachowa się trzeźwo i statecznie w widokach przyszłości.

Gdy rotmistrz pakować się zaczął do odjazdu, szambelan nie dał po sobie poznać, że to on był na ten raz doradcą żony... ale po wyjeździe przyszedł do „boskiej Milusi“, stanął przed nią, uśmiechnął się i rzekł lakonicznie.

— A co, rybeńko? a co?

— Jak to? co? spytała szambelanowa, którą chwilami głupota męża niecierpliwiła, co?

— Ja mówię — a co moja rada! aha!

— Jaka? która? komużeś co radził?

— A — względem... tego pana brata!

Żona ruszyła ramionami.

— Ale nie bądźże... z pozwoleniem, dudkiem... ja dawno wprzód to postanowiłam...

— A no! to dobrze — rzekł szambelan, całując ją w rękę — nie gniewaj się...

I na tém się skończyło.

Pomimo najusiłniejszych starań Sieversa szło opornie bardzo, czas upływał. Z największą w świecie zabiegliwością udało się ledwie delegacją do traktatu z Rosyą wyznaczyć. Na sejmie jednak codziennymowne, gorzkie, niekiedy straszne protestacye i groźby słyszać było. Na twarzach wszystkich popleczników Sieversa znać było wstyd, upokorzenie, złamanie. Pluto im w oczy codziennie. Nie pomagało to, że udawali obojętnych. Bawiono się a raczej szalenie bawić się chciało — ale pod tym pożyczanym szaleństwem czuć było niepokój i zgryzotę.

Na zamku, gdzie król rezydował, nie lepiej było jak na Horodnicy, gdzie królował Sievers. Niekiedy ambasador przestawał bywać u króla i nie widywał go po dni kilka, to znowu zjawiał się by mu grozić, by go prosić, by przez panią Krakowską, siostrę króla nastawać na usępstwa dobrowolne. Król, jak nigdy poważnym był i milczącym. Mówił to publicznie, po-
wtarzał prywatnie:

— Cesarzowa listem własnoręcznym żądała, abym przystąpił do konfederacji targowickiej, pisałem się na nią z warunkiem całości Rzeczypospolitej — od téj nie ustąpię.

Kręcący się około króla Littlepage, Anglik, dowcipniś, podejrzana wielce figura, faworyt i poufały zamkowy, zapewniał po cichu Sieversa, że król, choć się zarzeka, traktat podpisze.

— Wezmę go jego długami i głodem! — mówił Sievers. Ale chwilami był niespokojny.

Nie wiedzieć zkad pokazały się na zamku pieniądze. — De Caché, rezydent austriacki uczęszczał do króla... podejrzywano Austryę. Szlachta się głośno odzywała, że dla króla złoży pieniądze byle podziału nie podpisywał.

Sievers chodził chmuray, zostawały mu działa i żołnierze i przemoc — ultima ratio, ale się ich użyć wzdragał i wstydził. Wolałby był iść podziemnymi drogami niż jawnym gwałtem.

Sejm obiecywał się przeciągnąć do nieskończoności, dnie upływały na próżnych naradach... Niektóre z posiedzeń, czasem najmniej skutecznych, trwały do późnej nocy. Czekając ich końca, Sievers czasem na zamku przesiadywał u pani Krakowskiej, tuż prawie przy sali sejmowej. Co chwila przynoszono mu raporta... i za każdym z nich twarz się jego bardziej chmurzyła.

Winił najbardziej króla, któremu dochody odjął i Tyszkiewicza, na którego dobra sekwestr nałożył. — Wszyscy zresztą byli mu podejrzaniem. Czasem na Horodnicy, do której z zamku był kawał drogi ogromny, siedział wyczekując wieści o posiedzeniu, a gdy mu ją przynoszono łajał i niecierpliwił się.

Jednego wieczora król wyszedł z sesyi blady i drżący, zimny pot ocierał z czoła chwiejąc się na nogach, przeszedł do siostry, u której znalazł Mniszchową. Dwie kobiety siedziały same, milczące. Pani Krakowska kładła pasyans, Mniszchowa dryzlowała, obie miały twarze smutne.

Gwar i wybuchy głosów dochodziły niekiedy do mieszkania pani Krakowskiej.

Bieganie po korytarzach i w schodach, urywane wykrzyki... dawały kobietom domyslać się, co się tam w sali dziać musiało. Gdy król wszedł blady, a papiery mu w progu z rąk wypadły, rzuciła się Mniszchowa, podała mu rękę i zaprowadziła go do krzesła. Słabym głosem prosił o filiżankę bulionu.

Nie śmiano go o nic pytać, król nie miał ochoty odpowiadać. Siedział pogrążony w myślach i milczący, zestarzał od rana... Pani Krakowska wiedziała najlepiej, że w takim razie najskuteczniejszém było lekarstwem umysł królewski, łatwo się dający przerzucić z jednej strony w drugą, choćby najodleglejszą — zająć rzeczą zupełnie obcą.

Myślała właśnie pani Krakowska, czem króla oderwać od smutnych przypomnień sejmowych, gdy zapytał słabym głosem:

— Był Sievers? ..

— Przed paru godzinami...

— Pewnie w złym humorze?

— Nie w najlepszym...

— Ciężki jest nad wyraz dla mnie — dodał król — przeżyłem ich już wielu, Repnina..., Salderna, Stackelberga, Bułhakowa... żaden mi nie był tak trudnym i nieznosnym.

Westchnął.

— W tamtych się coś ludzkiego odezwało... ten jest jak machina... Repnin był brutal ale miał serce chwilami... Na Stackelberga ktoś mógł wpłynąć.

Wtém weszła pani Mniszchowa, która sama z rąk kamerdynera wzięła filiżankę i podała ją wujowi.

— Państwo mówią o Sieversie.... szepnęła — lecz — lecz zdaje mi się, że i na niego trochę podziałać można...

— Jakim sposobem? spytał król, chciałem dla córek kosztowne posłać prezenta... Wybrałem najpiękniejsze z kamieni, które mi wrócono, bo ich ofiary dla Rzeczypospolitej nie dopuszczono... Wiecie, co mi Friese powiedział? Że się rozgniewał formalnie i zrobił tę uwagę, że prezentów nie powinien czynić, kiedy moich długów nie mam czém płacić.

— Grubianin, odparła Mniszchowa.... ale....
il a une corde sensible.

Król głowę podniósł i oddając filiżankę zapytał:
— Na miłość Bożą, odsłońcie mi tę tajemnicę.... Kto? co?

Mniszchowa się uśmiechnęła figlarnie.

— Lubi bardzo muzykę i śpiew, kiedy z pięknych ust wychodzi...

Król osłupiał na chwilę.

— Ale nie! Dla kobiet jest zupełnie obojętnym. Mniszchowa się uśmiechała.

— Czy N. Pan jesteś tego pewnym?

— No, to mów, proszę, jeśli sądzisz, że się mylę...

— Rozpływa się nad anielskim głosem szambelankowej Camelli...

Królowi twarz na chwilę się rozjaśniła...

— Wiem, że ją chwalił — ale dla tego... pozostanie dla niej tak twardym i nieugiętym jak był...

— Któż to wie? kobiety wiele mogą!

— Gdy chcą i umieją — dodał król cicho.. Na nieszcześnie Camelli się oddalił od dworu, a szambelankowa gniewa się na mnie, że jej nie dał tyle, ile chciała na podróż dla połączenia się z nim.... Nie mam u niej łaski...

— Któżby się był domyślał, że nam trzeba będzie łaski hr. Camelli!

— I kawalera hr. Martini! jej brata, dodała z półśmiechem Mniszchowa...

Zamyślił się król głęboko...

— Tak — rzekł jakby wpół do siebie — tak... ogłębym ją pozyskać, ale chce... chce, zdaje mi się, siąc dukatów! Dawniej była — to dla mnie sumka c nie znacząca, a dziś!

. Ruszył ramionami.

— Któż ma dziś tysiąc dukatów! dodał śmiejąc się. . .

Obie panie ramionami ruszyły milczące. . .

— A te tysiąc dukatów, dołożył król, bardzoby stracone być mogły — bo Camelli jest chytrą jak Włoszka, a ja, choć mi moja najukochańsza siostrzenica ręczy, nie mogę uwierzyć, ażeby Sievers dał się obalamucić. Stary jest. . . . To nie — mówił król smutnie — my starzy jesteśmy najłatwiejsi do zbałamucenia . . . ale zimny . . . jak lód.

Nigdy nie miał serca — zmysły stępały, czémże go wziąć?

— A jednak dla hrabiny Camelli rzuca Sievers wszystko, słucha ją godzinami, dla niej towarzystwo całe „negliżuje“, z nią mówi, jęj w oczy patrzy, a my kobiety znamy się trochę . . . na tém.

Król zdał się być nareszcie przekonanym.

Spojrzał na zegarek, dochodziła północ. Wstał nagle . . . i — Chère soeur, pani Krakowskiej dobrej nocy życzył. Mniszchowa towarzyszyła mu do drzwi, a tu czekało dwóch paziów i dwóch lokajów, którzy go do jego pokojów przeprowadzili.

Po warszawskim zamku jakże biednie wyglądały te pokoje, wprawdzie odświeżone niedawno, ale nagie, zaledwie najkonieczniejszym opatrzone sprzętem i zięjące pustką a smutkiem. Milcząc, przeszedł parę tych salek, w których rzędami stały krzesła, jakby do miejsc poprzybijane.

Na progu sypialni czekał go stary Ryx, starosta piaseczyński, niespokojnemi mierzając oczyma. Był to najwierniejszy sługa, dla którego pan żadnych nie miał tajemnic, człowiek, co się ciałem i duszą poświęcił dla ukochanego męczennika. Słaby król był w prywatném życiu najmiłszym z ludzi, a Ryx życieby był dał za niego. Usiłowano go nieraz przekupić, nie rozumiał on się na polityce, nie wdawał się w nią, ale tam — gdzie szło o króla, miał instynkt macierzyński. Żył w nim. Teraz niedawno straciwszy żonę, jeszcze bólem domowym czulszym się stał dla pana — którego tortury pojmował. Człowiek był nie młody — postaci zamysłonej i poważnej, twarz miał zmarszczka-

mi okrytą. Zaledwie się król ukazał, ujął go pod rękę i poprowadził do przygotowanego fotelu przed stołem, na którym paliły się dwie świece. Zręcznie bardzo zdjął suknię z króla i narzucił nań lekki szlafrok. Stanisław August padł w krzesło i podparł się na rękę. Nie zobaczył nieco opodal stojącej figury, która w kątku papiery w rękę trzymając, oczekiwała się zdawała. Ryx szepnęła.

— Pan Friese. Król się odwrócił.

Z tą łatwością, jaką życie na tronie mu nadało, posępną twarz król zaraz zmienił w łagodną i uśmiechniętą, bo wiedział, że Friese pójdzie z raportem do ambasadora nawet o wyrazie jego twarzy.

Friese był to stróż, szpieg, zdrajca urzędowy, dodany mu przez ambasadę. Przez jego ręce szła korespondencya zwykła, z której wyciągi wprzód dostawał Sievers niż sam król oryginały. Był to Niemiec w całym znaczeniu wyrazu, podszyty konsyliarzem petersburskim, bo miał już i ten tytuł i pensyą i obietnicę indygenatu w Rosyi. Udawał wielką czułość dla króla, król mu niemniej dobrze odegraném zaufaniem płacił.

— Mój drogi Fryziu! cóż masz znowu? nie daszże mi spocząć?

— Kresy przywiozły listy.

— Czytałeś je?

— Tak jest, najj. panie.

— Nie ma, spodziewam się, nic pocieszającego.

— A zkadżeby to przyjść mogło! odparł Friese.

— Widziałeś dziś ambasadora?

Friese się nieco zająknął.

— A tak, przysyłał po mnie. Bardzo — bardzo cwałny.

— Kiedyż jest inaczej! westchnął król.

— Ma on także nie łatwą z sejmem sprawę, — dodał Friese zuchwale. Czysta komedya! daremnie obie piersi zrywają. Do czego się to zdało!

Ruszył ramionami.

— Kochany konsyliarzu — rzekł król, jakby rozowę odwracał — po północy już... prozę cię, daj mi spocząć.

Friese spojrzał na stojącego Ryxa, do ucha się pochylił i szepnął.

— N. panie — trzeba ten opór zahamować! Robię co mogę, ale Sievers jest rozdrażniony. Lękam się... ostateczności.

— Ale cóż ja mogę? szepnął król.

— Sievers utrzymuje, że wiele.

— Dobranoc... wyciągając rękę odezwał się Stanisław — dobranoc...

Friese widocznie nie zadowolniony z odpawy, schylił się ceremonialnie do ręki króla, uklonił i wyszedł. Ryx za nim oczyma powiodł i ramionami ruszył nieznacznie.

Żywo odwrócił król głowę ku drzwiom i kiwnął na Ryxa.

— Podaj mi szkatułkę z klejnotami! zawołał — proszę cię.

— Jakto — teraz?

— Zaraz — proszę cię — odparł król, tę, którą odesłano z Warszawy — wiesz...

Starosta piaseczyński wyszedł szybko do drugiego pokoju i wrócił niosąc dębową skrzyneczkę na dwa zamki zamkniętą, którą przed królem na stole postawił.

Dobył pęk kluczyków, odemknął i stanął z boku. Oczy Stanisława Augusta padły na wnętrze szkatułki. Były to klejnoty na sejmie czteroletnim na wojsko ofiarowane, które Targowica zabrała a Sievers mu je powrócił. Z nich już raz król chciał ofiarę złożyć córkom ambasadora, którą odrzucono ze wzgardą. Wnętrze przedstawiało widok niepozorny, pozawijane w kawałki papieru, leżały zmięszane w niej, kamienie kosztowne nieoprawne, naszyjniki staroświeckie, pierścienie, kolczyki... Z jakim smutkiem popatrzał król na te szczątki przypominające mu lepsze czasy. Ryx też spojrzał chmurny założywszy ręce na piersi. Ubogiemu panu zostało tylko to jeszcze.

Gończakowo król szukać zaczął i przerzucać, kilka kamieni wypadło na ziemię, które Ryx podnosić musiał...

Król dobył pierścień z wielkim smaragdem pięknego blasku, włożył go na palec i przypatrzył mu

się przy świecach, może mu co przypominał. Rzucił go po chwili i szukał dalej. Znalazł naszyjnik ametystowy i odsuwając szkatułkę, położył go na stole... Zamknął wieko, zwrócił się do Ryxa.

— Mój Ryx, rzekł — ja znowu do twojej muszę się uciec pomocy.

— A. N. panie, — odparł, załamując ręce s arosta. WKMość wiesz...

— Powiem ci... Któżby się był spodziewał (zniżył głos), mówią mi, wiem z najlepszego źródła, że Sievers się zajął szambelanową Camelli. Ująć ją potrzeba, ażeby go dla mnie pozyskała. Czego ten człowiek chce odemnie. Całą winę zrzuca na mnie. Ja — ty wiesz — co ja mogę.

I załamał ręce.

— Zobacz panią Camelli, mów z nią, tyle potrafisz... oddaj jej ten mały podarek...

Ryx głową potrząsał.

— Najchętniej, ale to na nic się nie przyda... trzeba, abyś ją sam N. pan widział. Będzie się obawiać pośrednika, gotowa odmówić, rozgłosić.

— Ale gdzież ja ją widzieć mogę?

— Będzie prosiła o audyencyą... to moja rzecz, ja to zrobię.

— Ale czas! oni to mnie na tortury biorą... Zmówili się wszyscy, aby mi życia... Wszyscy — Sievers... patryoci... Targowica, Kossakowscy... Moskale i moi ziomkowie — jam winien wszystkiemu... na mnie biją... Niech choć Sievers złagodnieje...

— Jeżeli Camelli ma wpływ na niego — o czém ja wątpię — rzekł Ryx. — Cóż szkodzi spróbować. Nie jeden, dwa naszyjniki daćby jej można... byle się to na co przydało.

— Spróbujemy...

Poszeptali coś jeszcze... Król się zadumał... Zegar wybił pierwszą... Ryx szybko frankę zapuścił...

Nie wiem, jak się to stało — ale nazajutrz hr. Camelli prosiła o audyencyą u króla... Zaproszono ją do gabinetu. Była to piękna, bogatych form, biała,

silna, pewna siebie Włoszka, której natura dała głos słowiczy... i ujmujący wyraz twarzy...

Wprawdzie rysy te mówiły mało... ale te były tak wdzięcznie świeże, tak rozkosznie zaróżowione życiem obfitęm... tak z niej tryskała młodość, w oczach śmiała się taka ochota użycia świata... iż czyniła wrażenie. Łatwo było pojąć, że gdy sympatyczny głos się jęj odezwał, w martwych nawet starca piersiach drgały dawno nie brzmiające już struny.

Król przyjął ją z pełnym uprzejmości uśmiechem...

— Jakżem szczęśliwy, że mnie szambelanowa chciała odwiedzić...

— N. panie, porywczo przerwała Camelli, jestem nie gościem ale biedną proszącą...

— Pan! ja nie wiem — odezwał się król, mnie się zdaje, że role się zmieniają.

Spojrzał w jęj czarne oczy... Śmiały się szydersko trochę...

— Droga hrabino — rzekł król po cichu — na-przód z góry zapewniam, że otrzymasz, o cobyś kol-wiek prosiła... to rzecz skończona... Ale pani wiesz, jakim ja to jestem królem i ile mogę...

Włoszka zamilkła.

— Nawzajem uczynić coś pani dla mnie... Nachylił się do jęj ucha... — Sievers się lubuje w jęj śpiewie, szaleje za nim i za panią.

Śmiejąc się hrabina, głową potrząsnęła.

— Ale tak jest, tak jest — dodał król — proszę nic nie przeczyć... Szanuję tego czcigodnego starca... ale, moja hrabino, staraj się wpłynąć na niego... on mnie wini za wszystkich i wszystko... Niech nie będzie tak surowym, tak nieubłagany dla mnie...

To mówiąc król szybko poszedł do stolika, wziął z niego stojące już na nim pudełko i wcisnął je w ręce hrabiny, która się mocno zarumieniła. Strój jęj błyskotek pełen dowodził, że jak Włoszka lubiła ca-cka... cała była niemi obwieszona, na wszystkich palcach błyszczały pierścionki... Nie mógł król trafniej dobrać podarku.

Wzdrygnęła się nieco...

— Ale proszę, proszę, na pamiątką to przyjąć

odemnie. Mam do tego prawo... Nie zapomnij pani!
I ścisnął jej pulchne, białe ręce.

— A! N. panie... moja prośba...

— Daję pani słowo... spełnię ją... cokolwiek-
bądź...

Wtém koniuszy Kicki zastukał do pokoju, oznaj-
mując generała Rautenfelda od Sieversa... Oczyma dał
król znak hrabinie, aby jego dar ukryła, co téż nad-
zwyczaj zgrabnie dokonanym zostało...

Włoszka była tak zręczną, że gdy generał już
wchodził, powtórzyła jeszcze polecając pamięci króla
prośbę swoją...

Stanisław August przyrzekał, chociaż nie wiedział
wcale, o co chodziło...

Wchodzący generał z wyszukaną grzecznością wi-
tał już króla, który śpiesznie szedł ku niemu, starając
się nie pozostać dłużnym...

Kicki ustąpić musiał, pozostali sam na sam. Hra-
bina Camelli wymykała się z zamku niepostrzeżona,
gdy w korytarzu jakby przypadkiem spotkała ją mar-
szałkowa Mniszchowa.

Dumna siostrzenica królewska nigdy wprzód nie
była w stosunkach zbyt poufłych z panią hr. Camelli,
siostrą hrabiego Martini, obadwa te hrabstwa uważa-
jąc za bardzo podejrzane a panią mając za zręczną
awanturniczkę, ale dziś powitała ją niezmiernie czule.

— *Chère comtesse!* zawołała. Pani Kra-
kowska ma żal do was...

— Do mnie?...

— *Mais, si* — wieki, jak nie byłaś u niej.

— A! prawda! winnam, ale w Grodnie nikt nie
jest panem swojego czasu. Pani to wie najlepiej.

— Prawda! ale raz będąc w zamku, wstąp-że na
chwilkę...

Drzwi były tuż... odmowa niepodobną. Hrabina
Camelli zawahała się i zwróciła w lewo.

O ile król był zalotnym i uprzejmym ze wszyst-
kimi, o tyle prymas i pani Krakowska dumą i ozie-
błością zrażali. Szczególniej ostatnia nosiła swą do-
stojność a raczej dostojności swe z przesadzoną uro-
czystością. Urodzona z Czartoryjskiej, siostra króla —

żona hetmana, pani Krakowska miała się za najdo-
stojniejszą z niewiast w Polsce. Prymas po królu stał
najwyżej, — ona w niedostatku królowej miała się za
coś przynajmniej jej równego. W ruchach, w mowie,
w obejściu dawała to czuć, że każdy się powinien był
czuć szczęśliwym, któremu raczyła rzucić słowo z wy-
sokości tych obłoków, w których wiecznie królować się
zdawała.

Miłość i poszanowanie brata utrzymywały ją na
tych wyżynach. Wpływ miała nań chwilowy, a wy-
obrażała sobie go największym. Bywały chwile, w któ-
rych do siebie wzywała sekretarzy i pozwalala sobie
czytać depesze wprzód jeszcze, nim je królowi oddano.
Kobiety unikały jej. Ale dziś, dziś, gdy i króla
gwiazda za chmurą była — z wielkiej dumy pani Kra-
kowskiej został tylko nie przebity smutek i milczące
jakieś zwątpienie. Gdy do salonu weszły panie, nie
było pani Krakowskiej, Mniszchowa pobięła po nią,
i nim się w zwierciadle czas miała przejrzeć hr. Ca-
melli, poważna pani weszła z przymiloną twarzą.

Przywitanie było uprzejme, skarżyła się siostra
króla, że ją piękna pani zaniedbywała, że nawet jej
tak uwielbianego powszechnie głosu słyszeć nie ma
zręczności.

Wymawiała się Camelli, jak umiała i mogła.

— Bo to ty jedna — kochana hrabino — mówiła
matrona wygodnie rozkładając się na kanapie — ty
jedna w tym nieszczęsnym Grodnie ludziom przynosisz
zapomnienie i pociechę. Ty jedna. Łagodź-że serca,
jedną ludzi, moja droga, gdy cię Bóg taką obdarzył
siłą. . . .

W rozmowę wnięszala się Mniszchowa. . . . Znać
było, że Camelli męczy się i siedzi jak na torturach.
Biednej Włoszce krew biła do głowy, myśląc, że już
wie całe miasto o tym, iż Sievers tak łaskawym na nią
patrzy okiem. Wbijało ją to trochę w dumę a razem
zawstydzalo.

Pani Krakowska nie wahała się też zaraz rzucić
słowa za królem i prosić szambelanowej, aby swym
wpływem wymogła więcej dlań wyrozumiałości na
Sieversie.

Napróżno wymawiała się piękna Camelli.

— Ale, kochana hrabino — dodała gospodyni — powinnaś tćm być dumną — wiele możesz uczynić dobrego. My ci zazdrościmy wszystkie. . . .

Po kwadransie rozmowy Włoszka wyszła z twarzą pałającą a w sercu może całć inne wyniosła z zamku uczucie jak to, którćm natchnąć ją chciano.

Wychodząc nie patrzała na nikogo, unikała wejrzeń . . . gniewając się na siebie i na wszystkich. . . .

Nastćpnego dnia był bal na Horodnicy. Korzystano z niedzieli. Posłowie wypoczywali . . . a Sievers dawał obiad dla mćżczyzn — wybranego grona — po którćm dla pań nastąpić miała tak upragniona zabawa. Ogród, otaczający ekonomią, miał być oświecony. . . . Mnóstwo młodych, żwawych oficerów rosyjskich obiecywało ożywiać towarzystwo. Zapowiadano fajerwerk. Od rana piesi i konni posłańcy biegali do magazynów Łazarewiczowćj i Lexa . . . do dwóch jedynych fryzyerów, do sklepów, w którćch blondyn i gazy zabrakło. Karetami przywożono suknie, aby się nie pomięły. . . .

Na Horodnicy pół rotę żołnierzy pomagało robić przygotowania. Spodziewano się wystćpu nadzwyczajnego. Bal ten — był rodzajem *captationis benevolentiae* do podpisu pierwszego podziałowego traktatu z n. imperatorową.

Nigdzie może przygotowania do tego wieczora straszniejszych nie przybrały rozmiarów, jak w kamienicy, którą zajmowała „boska Milusia. . . .“ Mnóstwo rzeczy brakło jćj do stroju.

Pierwsze wystąpienia były tak szczęśliwe, tyle młodzieży roićło się około szambelanowćj, że sukces ten nabawiał ją niesłychaną obawą, ażeby po nim rozczarowanie nie nastąpiło. Szambelanowćj na łzy się zbierało. Włosy nie były tak utrefione, jak chciała. Płćć tego dnia jakoś chciała być śniadą, mimo „supsonu“ bielidła i rózu . . . oczy nie miały blasku. . . . Słowem, czuła się w najwyższym stopniu nieszczęśliwą.

Łazarewiczowa poradziła jćj suknię lekką, wrzucik

złoty... pod którą musiała włożyć drugą cielistego koloru, aby ukryć gorset, bez którego kształty zbyt zaokrąglone obywać się nie mogły... Ale ta białość stroju czyniła ją jakoś ciężką. W czarnej sukni byłaby smuklejszą, cóż, gdy w czarnej byłaby starszą.

Naprawdę mąż, który zawsze przy ubraniu był pomocnym, mówił ciągle:

— Ale czegoż? ślicznie.

Zmagał się na admiracye — nie nie ważyło jego słowo. Z powodu niezgrabstwa panien garderobowych szambelan był niezmiernie użyteczny, on sam ją sznurował, on jej kładł trzewiki... zdmuchiwał puder i nasypywał, gdzie go brakło. Mówiono, że niektóre falbanki prasował, z czego się służące śmiały, być może jednak, że to było rzuconą nań potwarzą.

Najwięcej złego humoru dodało to, iż Ankiewicz wymógł, uprosił, w imieniu Sieversa żądał koniecznie, z powodu małej ilości prawdziwie pięknych pań, ażeby szambelanowa wzięła z sobą na bal Justynę.

Walczyła przeciwko temu długo boska Milusia, dojadając Ankiewiczowi, że chyba już się zakochał, zadurzył w tej ordynaryjnej dziewczynie. Minister śmiał się, lecz stał przy swoim.

— Jeśli panią u drzwi witając Sievers zapyta kwaśno, czemu jej pani nie wzięła? to co będzie?

Na pierwsze słowo o balu, panna Justyna zakrzyknęła sama, że za nic w świecie nie pojedzie, że nie chce i nie może.

Ucieszona tym oporem szambelanowa, dała o nim znać Ankiewiczowi, który odpisał, że to rzecz jest pani Emilii wymódz posłuszeństwo. Gniewna, kwaśna szambelanowa sama się już gotową była prawie wyrzec balu, siedzieć w domu, dostać spazmów, zażywać krople, bić służące i pędzać męża, gdy niespodziana zaszła zmiana, niepojęta zupełnie dla szambelanowej, która jej wiele dała do myślenia.

Po pierwszym dosyć kąśnym wezwaniu, aby na bal jechała, Justyna oparłszy się temu stanowczo, pobiegła cała zburzona i pomięszana do swojego pokoiku. Znalazła tu na sobie oczekującego brata, który po-

strzegłszy zmianę na jej twarzy, począł dopytywać co się stało.

Na myśl, że jego siostrę spotkać mogło jakieś upokorzenie, złe obejście, nieprzyjemność — krwaw w nim zakipiała. Uspokajając go, Justyna mu wyznała o co chodziło.

— Ja, na bal! do ambasadora! zawołała, łamiąc ręce — ja!

Porucznik stał zamyślony.

— Wiesz co, rzekł — gdybyś nie była takim dzieckiem... gorączkowym... ja bym ci coś powiedział... ale... od ciebie takich ofiar wymagać się nie godzi.

— Jakich ofiar? zapytała Justyna — ja cię nie rozumiem.

Porucznik poszedł zobaczyć, czy kto nie podsłuchuje poddrzwiami — nikogo nie było, bo Milusia pędzała całą służbę po sklepach, a szambelan straż pełnił przy niej.

— Kto kocha kraj, rzekł porucznik — powinien i najcięższe dlań czynić ofiary. Ja ci to tylko powiem, że aby móżd tu przybyć do Grodna bezkarnie, gram rolę starającego się o służbę rosyjską. Pół dnia piję z oficerami. Coś się dowiem... i wstrząsnął się nie dokończywszy.

— Mój drogi, zawołała Justyna, odemnie wymagać trudno, ażebym ja także poszła z oficerami.

— Tańcować! wrzucił śmiejąc się porucznik. Właśnie tego możnaby po tobie wymagać. Wiesz, dla czego? Bobyś z nich dobyła więcej niż ja, bo jesteś piękna, młoda, i gdybyś chciała, mogłabyś niejednemu zawrócić głowę, niejednego nawrócić.

Justyna oczy sobie zakryła, porucznik zimno mówił dalej.

— Być może, iż ja za wiele domagam się od ciebie i drugih... ale my, my jesteśmy w takim położeniu, że dla ratunku kraju nie liczymy się, nie możemy ważyć z ofiarami. Trzeba dać wszystko.

— Jaktó! nawet... miłość prawdy — przerwało dziewczę — nawet kłamać i oszukiwać!!

— Nawet zdradzać... jak oni nas zdradzają, na-

wet... nie ma granicy! zawołał porucznik. Myśmy bezsilni — dla nas dobre wszystko.

— Okropne mówisz rzeczy... słabym odezwała się głosem Justyna — od tego ostatek można.

— Myśmy też poszaleli — rzekł smutnie porucznik — rozpacz nami włada.

Posłuchaj mnie — ja cię przekonam przykładem. Potrzebujemy dowiedzieć się tajemnicy, od której zawisł los kraju — tę tajemnicę może tylko dobyć kobieta, któraby jak Judyth biblijna poszła do obozu Holofernesa.... Kobieta więcej ceni swą cnotę, niż zbawienie kraju... odmawia... i my ginieśmy. Co powiesz o téj kobiecie?

Justyna wstrząsła się i zakryła sobie oczy rękami i zaczęła jak obłąkana biegać po pokoju. — Nie mów mi tego! zakrzyczała, nie powinienes mi mówić takich rzeczy!... Burzę mi wrzucasz do duszy. Bracie — milcz....

— Ja wiem, co czynię — rzekł spokojnie porucznik — wiem, komu to mówię — tyś zacna, czysta, święta, nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo, choćbyś tę rolę wziąć była zmuszoną. Nie namawiałbym innej, boby mogła pójść na zgubę. Ciebie już dosyć znam, by się nie lękać. Powiem ci, że nie tylko mógłbym cię namawiać, ale żądam od ciebie, abyś mi była pomocą.

Nagle zatrzymał się.

— Nie — tu ściany mają uszy... weź, Justyno, okrycie, pójdziemy na przechadzkę, wiem, że jesteś córką twojego ojca i że ci zwierzyć się mogę. Ja cię potrzebuję.... Chodźmy....

Przestraszona, drżąca Justyna nie odpowiedziała nic, zażądała tylko pójść do szambelanowej, aby ją prosić o pozwolenie na przechadzkę; wróciła po chwili z kwaśno udzielonym urlopem, podała rękę bratu i wyszli.

Porucznik poprowadził ją umyślnie, z wielką znajomością miejscowości, już przez te dni nabytą, tam, gdzie jak najmniej ludzi spotykać mogli. Zaledwie odeszli na stronę, ku Niemnowi się kierując, gdy porucznik mówić zaczął pospiesznie:

— Jam tu nie przyjechał dla ciebie tylko, ani dla rozrywki... ja jestem wysłany.... Ty wiesz a przynajmniej wiedzieć powinnaś, że po Targowicy co było gorącego i pocziwego w kraju, uszło z niego i ustąpiło pracować dlań za granicami jego. Małachowski, Potoccy, Kołłataj, znasz ty te imiona?

— Z tego, że przeciw nim u nas nieustannie sarkano, rzekła Justyna... miałam Gazetę Narodową ukradkiem.... Zresztą było mi miarą cnoty to, co moja nieszczęśliwa pani za występki ogłaszała. To kobieta płocha... i bez zastanowienia.

— Gorzej, bo zepsuta — rzekł porucznik — ale to na ten raz szczęście prawie, że ty jesteś w jej domu... W tym domu nikt się nie strzeże, przychodzą tacy jak Ankwicz ludzie, mówią otwarcie. Tu się o wszystkiém najlepiej dowiedzieć można.

Ale na to potrzeba nie mojej skromnej i szczerzej Justysi, spuszczałej oczy bojaźliwie, zatykałej uszy, uciekałej z pokoju — na to trzeba kobiety, coby im głowy zawracała... coby tych rozpustników kusiła — i dobyła z nich wszystko... dobała tajemnic a w potrzebie umiała pokierować niemi.

Justyna stanęła nagle.

— Bracie — rzekła boleśnie — a! toby było nad siły moje! mnie do tego Bóg nie stworzył. Ja kłamać nie umiem.

— Nawet dla zbawienia ojczyzny? dodał brat.

— Niestety — jęknęła Justyna oczy spuszczałej w ziemię — nie jestem ja Judytą... jam biedną, bojaźliwą istotą... której ły orężem całym. Każ mi dać się zabić dla kraju!... a! myślę, że pójdę, nie drgnąwszy, nie zmrużywszy oka... ale się splamić.

— Heroizmem! alećby to heroizm był przecie, zawołał porucznik.... No — dosyć — rzekł po chwili — nie rozumiemy się, nie mówmy o tem.

Szli jakiś czas w milczeniu.... Justynie w oczach ły się kręciły.

— Chciałeś mi mówić, z czem tu przybyłeś?... szepnęła z cicha.

— Tego się domyślisz łatwo... przybyłem tu wysłany.... Wiele rzeczy dowiedzieć mi się potrzeba,

rachowałem na to, że ty jesteś w tym domu, do którego moskiewscy partyzanci uczęszczają... ale przez ciebie ja nie zrobię nic.... Mój Boże, dodał, coby cię to kosztowało obalamucić Ankwicza....

— Cóż on znaczy? spytała Justyna.

— On! ale to główna ich sprężyna, najzdolniejszy między nimi i najprzewrotniejszy. Człowiek, który się oku kobiecemu i żadnej pokusie nie oprze. Bieliński jest potulnym, Sułkowski także, to narzędzia. Pułaski... inni, ludzie bez zdolności, jeden Ankwicz ma niepocziwą energią i szydząc z opinii, umie ją kierować... Któż wie? możnaby go nawet zyskać. Kto wie?

Milcząca Justyna podniosła nagle oczy zaczerwienione i płonące.

— Straszna twoja miłość ojczyzny, zawołała, rodzoną siostrę gotów jej jesteś dać na ofiarę.

— Nie — odparł porucznik gwałtownie, — bo ją znam i wiem, że dla niej nie ma w tem niebezpieczeństwa.

— Znasz mnie! ty, gdy ja sama nie mogę powiedzieć, bym znała siebie... Ten człowiek, którego mi opisujesz, ja go widziałam, ma urok wielki, ma w sobie węża kusiciela, słodycz i jad... To człowiek straszny.

Rozśmiał się porucznik.

— Właśnie ten urokby stracił, gdybyś się tylko zbliżyła do niego; zgniły jest, zepsuty, odrażający, ale maskę kładnie... która na pierwszy rzut oka ludzi...

Wstrząsnęła się Justyna... Szli chwilę milczący, porucznik jakby opanowany myślą począł mówić znówu.

— Nie mogę ci narzucać roli, do której taki wstręt czujesz... to darmo... ale mnie boli, iż się przemódz nie chcesz i zwyciężyć. Cóż strasznego na bal pojechać, — uśmiechnąć się...

— Znaszże ty co obrzydliwszego nad tę stypę? nad te zabawy? — przerwała Justyna gwałtownie — coś coby nas bardziej upokarzało?...

— A tak! — westchnął porucznik. — Gazeta Lej-

dejska napisała już o sejmie, że Polacy są jedynym narodem na świecie, którzy tańcząc kraj stracili.

— Śmieje się z nas świat cały! — dodała Justyna. . . .

— A nie byłoby to godnym Polki — stać się Judytą i . . . wniknąć między nich, aby im wnieść z sobą zagładę? — zapytał porucznik.

Justyna przerwała mu, rękę kładąc na jego ramieniu. . . .

— Nie mów tego, rzekła — abyś nie żałował. . . Powróćmy do domu. . .

Rozmowa przerywana ciągnęła się jeszcze, aż póki nie wrócili do kamienicy. U drzwi jej brat pożegnał Justynę.

— Droga moja — odezwał się — zapomnij o tém, cośmy mówili. Uniosłem się niepotrzebnie, teraz mi żal samemu. . .

I odszedł. Justyna weszła na górę do swego pokoiku i padła na krzeselku, zamyśliła się głęboko, długo, jak na pół senna spędziła godzinę na rozmyślaniu. . . Wstała potem nagle i poszła do zwierciadła. . . Zdawała się pierwszy raz z taką uwagą i ciekawością przypatrywać własnej twarzy. . . badać ją. . . Łzy w końcu zakręciły się w czarnych jej oczach i wróciła na krzesło. . .

Tak nieprzytomną i zapominającą o tém, że cały dom był na jej odpowiedzialności, zastał ją jeszcze szambelan, który korzystał z jakiegoś zręczności, aby się zbliżyć do tej, — którą w duszy lakonicznie nazywał „Śliczności“ — z uśmiechem zalotnym nie mówiąc przysunął się na palcach ku niej.

— Co pan każe? co pan każe? spiesznie odezwała się przestraszona nieco Justyna.

Szambelan ręce na piersiach wymownie złożył, oczy podniósł ku niebu i — westchnął.

— Wstydziłbyś się pan — spojrzawszy nań z pogardą ofuknęła Justyna — cóż to za miny? . . Jeśli to żarty, ja ich nie lubię; jeśli zaloty, przyznam się, że nie wiem, coby na to powiedziała pani szambelanova. . .

Jak zimną wodą oblała go tém piękna panna,

ręce opuścił, wziął się w boki, zakręcił i rzekł krótko...

— Do pani!

Poczem gniewnie dosyć spojrzawszy, powoli wyszedł. Justyna zaraz za nim udała się do szambelanowej.

Tylko co był wyszedł Ankwicz, siedziała kwaśna. Jak tylko zobaczyła Justynę, poczęła patrząc w inną stronę...

— Proszę nie dziwaczyć... Życzą sobie, abyś panna była na balu... po co te udawania... co za ceregiele... Tak czy nie? Wiem, że to kaprys...

— Żaden kaprys — ja balów nie lubię — odpowiedziała Justyna, nie nawykłam do nich. Nie życzę sobie być... ale jeżeli pani każesz...

— Ja w tych rzeczach nie rozkazuję... ja waćpanny tyranizować nie chcę... Ja waćpanny wcale ani nakłaniam, ani zapraszam... Pomimo że rzadko panienka wychodzi i ukazywać się raczy, widać jednak oczkami umie łowić jak na wędkę... A tak! tak! proszę głową nie kręcić. Cóż to znaczy, że Ankwicz tak gwałtownie chcę pannę Justynę widzieć na balu?..

— Ale... ja...

— Ale, proszę mi tego nie mówić — odezwała się szambelanowa z przekąsem... To nie jest bez kozery. Nie zna jej, a tak gorąco bierze jej stronę. Umiął się podobać — winszuję... Minister przecie — choć największy w świecie bałamut. Wiem, bo się kochał we mnie, ale znając go, dałam mu odkosza...

Piękna Emilia zwykła była tak się nie przed jedynym mężem spowiadać tylko... Justyna zmilczała.

— Tęj konkiety pannie nie zazdroszczę... ale wolna wola... Więc cóż z balem?

— Pani mnie sama od niego odstręcza... rzekła Justyna, a ja i tak nie mam ochoty...

— Ja dałam słowo Ankwiczowi, że pannę namówię.

— Ale cóż znowu z tym panem, którego ja prawie nie znam! przerwała Justyna...

— A on pannę zna! wpadła w oczko! szydersko się śmiejąc kończyła szambelanowa — tak! tak!... Nie rozkazuję, ale życzę jechać...

Spojrzała na nią, Justyna zdawała się namyślać.

— Jedzie panna?

— Spełnię wolę pani.

Piękna Emilia zarumieniła się mocno... głowę tylko dała znak i odchodząc już do drzwi rzuciła jeszcze....

— Niechże panna myśli o toalecie!

Bal być miał nazajutrz.... Justyna ze służącą pracowała noc całą.... Rano nadszedł porucznik i — znajdując suknie i gałganki rozrzucone po pokoju, zdziwił się nieco.... Justyna z jakąś twarzą niezwykłego wyrazu, podrażniona, rozgorączkowana, wyszła go powitać i powiedziała mu na wstępie:

— Jadę na bal....

Porucznikowi serce się ścisnęło, poczuł, że miał to sobie do wyrzucenia.... Nie odpowiedział nic.

— Stanowczo? zapytał po krótkim milczeniu i namyśle.

— Tak jest....

Justyna wzięła robotę jakąś w rękę, twarz miała jakby rozognioną.

— Pan Ankwicz, rzekła dziwnie zmienionym głosem, uczynił mi ten honor czy ten wstyd, iż na panią nalegał koniecznie, aby mnie wzięła z sobą. Podwójnym rozkazom muszę być posłuszną.

Oczywista dała do zrozumienia bratu, że jego rozkaz wchodził też w rachunek. Porucznik blady był i pomięszany. Gdy się przyszło rozstać, bo Justynę tego dnia powoływano co chwila — brat pocałował ją w rękę i cicho rzekł — Przebacz mi... to było z mojej strony szaleństwo.

— Nauczyłeś mnie to nazywać heroizmem! smutno odpowiedziała siostra.

Ubranie pańny Justyny było bardzo skromne, nie zbyt nawet modne, a jednak w białej sukience, pasowych wstęgach i przyczesanych trochę bujnych włosach — z kwiatkiem na głowie — było jęj bardzo pięknie. Nie była to wprawdzie pociągająca, wyzywająca, zalotna dziewczeczka, jakie się może najłatwiej podobają, ale coś uroczonego, poważnego, obudzającego żywe zajęcie, miała w rysach i wyrazie twarzy, raczej smutnej

niż ożywionej. Musiało to odbijać wśród innych, narzucających się, niespokojnych i nie wiele dbających, czém ku sobie znęca i pociągna. Gdy panna Justyna weszła, aby towarzyszyć szambelanowej, ta spojrzała na nią z ciekawością, od stóp do głowy zmierzyła každy szczegół, zdając się rozbierać; nie powiedziała nic, ale się nachmurzyła.

— W. panna chcesz mnie swoją udaną prostotą ubioru uczynić śmieszną? nie prawdaż? odezwiała się, uznając znakomity gust jój... ale na bal nonsensem jest chcieć się ubrać skromnie. Lepiej nie iść.

— Więc mogę zostać? spytała Justyna.

— O! nie! nie!... pojedziesz waćpanna zbierać hołdy!... Od tego nie odstępuję.

Szambelanowa przy białej sukni na tle cielistém miała koronki, wstęgi, podpięcia, brylanty, pióra... wszystko, czém się tylko przystroić mogła. Była niezaprzeczenie piękną, jak Bachantka melancholiczna, której się życie uprzykrzyło — całą swą przeszłość nosiła wypisaną na twarzy... Myliłby się, kto by to znużenie i wyżycie za odstręczające uważał, dla wielkiej liczby dawało jój to drastyczny wdzięk, na chwilę upajający. Szambelan, który towarzyszył żonie w stroju balowym, był jednym z najpiękniejszych mężczyzn, jakich się po świecie spotyka. Wiedział on o tém i starał się swój wdzięk podnieść strojem, który instynktowo sobie dobierać umiał. Nigdy natura nie zdobyła się na paradniejszego figla, jak na świat wydając ten ideał, który z dala zdawał się ożywiony blaskiem poezyi, ogrzany uczuciem, opromieniony rozumem, a był w istocie prześliczną woskową figurą. Póki milczał, kochać się w nim było można.

Poezyą, rozum, uczucie wszystko to miał na twarzy, okazywał na zewnątrz a wewnątrz było próżne uzupełnienie. Niebieskie oczy patrzyły roztropnie na pozor, usta uśmiechały się dowcipnie, stawał z wielkim wdziękiem dobierając pozycyi... chodził, kłaniał się doskonale... ale tylko w tej niemiej roli był znośnym. — Mówił téż w ogóle mało, jak w emy, a być bardzo może, iż dawane mu nauki i nakaz milczenia przy-

czyniały się do uczynienia go tak wstrzemięźliwym w mowie.

Gdy zajechali na Horodnicę, wielka już liczba gości była zgromadzona w salonach pierwszego piętra. Okna stały otworem na ogród w części już zawczasu iluminowany, mnóstwo wojskowych kręciło się przy drzwiach, przy których oprócz tego stała straż honorowa w mundurach paradnych.

Na wschody prowadzili damy adjutanci i oficerowie.

Choć niskie trochę, salony rzęśisto oświecone, ozdobione mnóstwem kwiatów, które nasyłano lubiacemu je Sieversowi, wyglądały bardzo wesoło i świeżo... Obok mundurów rosyjskich widać było piękne polskie stroje i wykwintne francuzkie. W pierwszym salonie ku środkowi, w wińcu postrojonych dam, na pół obnażonych, brylantami połyskujących, stał Sievers... skromnie ubrany z gwiazdą u fraka. Na pierwszy rzut oka poznać w nim było można, że rodem ani Rosyaninem, ani Słowianinem nie był. Rosyanin byłby na tém stanowisku wysoko podnosił głowę, starał się wielkość swą, znaczenie okazać plastycznie, byłby głośno mówił i rozkazywał. Sievers miał minę skromną, zimną, wzrok nieśmiały i ukośny. Przybierał postawę małą, aby się tém większym wydawać. Uśmieшек dobrotliwy, fałszywy, sztuczny poruszał mu usta. Widać było, że myśli jego o sto mil były od gości, sali i zabawy. Spoglądał w koło niby od niechcienia, ale wzrok obejmował wszystko i na kogo padł, studził... Nie mówił nic a kazał się domyślać najgorszych następstw.

Barczyści generałowie jak Rautenfeld przy nim wydawali się machinami, któremi jego skinienie kierowało. Szepnął słówko i rozbiegali się na wsze strony.

Pomiędzy oficerami odznaczał się książę Cecyanów, piękny mężczyzna, typ wschodni, usta rumiane, duże, pałające oczy... coś jakby dopiero rozbudzonego i spragnionego życia... Oczyrna połykał kobiety... śmiały mu się usta bez powodu do śmiechu, nie mógł wytrzymać, żeby co chwila coś komuś

się nie zwierzył. Zdawał się ledwie móżdż ustać na miejscu.

Kobiety wchodziły jedne za drugimi, jedne piękniejsze od drugih, twarze rozpromienione. Śmiejące się do Rosyan, do Niemców, do wszystkich... do ścian nawet... Sievers wprowadzał panie, do każdej przemówił coś z wyszukaną grzecznością, nudził się, ale spełniał obowiązki gospodarza. Z drugiego pokoju widać było zastęp dostojniejszych gości, przypatrujący się kwitnącemu wieńcowi kobiet.

Tu stał Moszyński, jeden z najpoufalszych, najwierniejszych doradców Sieversa, twarz brzydka a rozumna... ręce w kieszeniach, zadumana głowa... oczy umyślnie odwrócone od ludzi...

Bieliński blady i pokorny, tchórzliwie patrzący ku Sieversowi, Sułkowski wyglądający na pana i męża stanu, choć nie mógł się nazwać jednym ani drugim, Miączyński, Plater, Kossakowscy. Kilku posłów stało ugrupowanych dalej nieco, którym Jozefowicz i Podhorski przewodzili.

Pomiędzy paniami Ożarowska, hr. Camelli, baronówna Heiking, panna Narbutt, hr. Potocka odznaczały się wdziękami, lecz roiło się twarzami nieznajomymi, pociągającymi pięknością swoją i wyzywającym wyrazem.

Pomiędzy wojskowymi a cywilnymi, niemal osobną stanowiąc grupę, stali dyplomaci, którym tylko nuncyusza Saluzzo brakło do kompletu.

Tu stał odosobniony Buchholz, do którego mało kto chciał się zbliżyć prócz Sieversa, niepozorna figura, niczem się nie odznaczająca prócz widomego złego humoru.

Patrzył po ścianach, wachał kwiaty, oglądał sprzęty... nie wiedział, co robić z sobą. Ludzie przechodzący mijali go jak zapowietrzonego, nie chcąc się skompromitować ukłonem.

Czepiał się z rozpaczcy mało widocznego Holendra, rezydenta Kriegenheima, który flegmatycznym był widzem, bo mu to wszystko, co się tu działo, mało było zrozumiałe a ze wszystkiém obojętne.

Szwedzki minister Toll, piękny, słusznego wzrostu

blondyn, z postawą wojskową, zaczepiał damy, które na niego uprzejmie spoglądały. Innęj natenczas już misyi politycznej nie miał.

Anglik Gardiner z powagą właściwą swojemu narodowi patrzył na pozor obojętnie, niby nie widział nic — a postrzegał wszystko. Można było sądzić z jego powierzchowności, że ten cały występ wydawał mu się straszną nędzotą...

Gdy szambelanowa weszła... Sievers nie omieszkął wprowadzić jej do pań, kiwnął głową pięknemu mężowi jej i uśmiechem przywitał pannę Justynę, do której, jak gdyby na nią czatował, zbliżył się zaraz Ankwicz. Korzystał z tego, że ją widział już, aby nie potrzebować być prezentowanym na nowo. — Wszyscy razem zginęli w tym tłumie.

Zdawano się oczekiwać na kogoś. Kiedy niekiedy oczy zwracały się ku drzwiom, szeptano, oglądano się. Wtém na wschodach zaszumiało jak fale wodne, w salonie głowy zaczęły się kołysać — coś zwiastowało przybycie ważnej osoby. Dalej stojący wspinali się na palcach. Z łałkonu ktoś przybiegł do Sieversa zwiastując mu coś na ucho, i ambasador wolnym krokiem od niechcenia począł iść ku drzwiom.

Tu już się rozstępowały tłumy... Cisza zapanowała... zatrzymano oddech.

W ramach drzwi ukazała się... postać urocza i dziwna.

Kobieta w muslinowej sukience, która bardzo mało co osłaniała, cudnie piękna, dumna jak bóstwo, które z niebios raczy zstępować między śmiertelników... Śliczną ale niemiłego wyrazu, klasycznych rysów twarzyczkę.... zdobiło dwoje czarnych oczu ostrych, sztyletujących, niemal groźnych.

We włosach ufryzowanych z wielką sztuką wili się łańcuch diamentowy, kilka razy opasujący głowę. Na wygorsowanej szyi i piersi alabastrowej świeciły brylanty ze szmaragdami... Ogromne spięcie utrzymywało suknię po grecku udrapowaną na ramieniu, na rękach także brylantowe naramienniki i bransolety. Pas sadzony brylantami i na bosych małych nóżkach pierścienie i koturny dopełniały stroju. Jak pagody

indyjskiej bóstwo wyglądała w tym strumieniu gwiazd. Było to wspaniałe i śmieszne... więcej komedyi niż dystynkeyi a zuchwałością największą.

— Markiza Lullie! Markiza! zaczęli w uniesieniu szeptać wszyscy...

Szła od drzwi taka pewna siebie i tryumfu... takim krokiem pani i królowej, jak gdyby czyniła łaskę, że się pokazać raczyła oczom śmiertelników.

Bez tych brylantów byłaby piękną — ale nie ku niej nie pociągało... miłaby być nie potrafiła, nawet gdyby chciała.

Wiało chłodem od téj laleczki — która na kobietach czyniła wrażenie impertynencji. — Wszystkie z oburzeniem odstępowały od niej, ani strojem, ani wdziękiem nie mogąc z nią walczyć. Zgasiła wszystkie — teatralnym wystąpieniem... Mężczyźni słupeli...

Ks. Cecianów szeptał sąsiadowi na ucho, że dałby życie, gdyby mu się dozwoliła w nogę pocałować. Głowy się zawracały... upajała biednych.

Ankwicz, który stał po za szambelanową i panną Justyną, odezwał się do niej:

— Cóż pani mówi o markizie?

— Wygląda jak z tysiąca nocy... odparła Justyna, ale jak my przy niej?

— Żadna z pań nie straciła na porównaniu, rzekł Ankwicz — a pani szczególnie, bo pani również zachwycasz prostotą, jak ona zbytkiem. I to jest różnica między dwiema, że ona zdaje się nie wierzyć w swe wdzięki, tak je strojąc przesadnie, gdy pani zdajesz się im ufać...

— Mylisz się pan, zimno odpowiedziała Justyna — dla mnie wrażenie jest zupełnie obojętne...

— Nie byłabyś pani kobietą.

— Nie należę do tego świata kobiet, które hrabia znasz... jestem mu obcą.

Szambelanowa słysząc szepty, odwróciła się, spojrzała na Ankwicza i pogroziła mu znacząco wachlarzem. Zbliżył się do niej.

Wtém wojskowa muzyka rozpoczęła poloneza Ogińskiego i Sievera podawszy rękę księżnie Radzi-

wiłłowój rozpoczął bal. Za nim szedł hetman Kossakowski z jenerałową Muchanów, jenerał Dunin z panią Ożarowską, Bieliński z jakąś damą rosyjską orderową i... cały szereg pań i panów. Emilia dostała się jakimś sapiącemu dygnitarzowi w polskim stroju, którego dłoń spotniała dała się jej czuć przez rękawiczkę. Justynę prowadził Ankwicz... Świecącą Lullie wziął Toll, minister szwedzki, który do niej nisko schylać się musiał, — a ona ledwie raczyła oczy podnieść ku niemu...

Taki był balu początek... Noc zapaliła gwiazdy na niebie a iluminacją w ogrodzie... I było wesoło. aż wielu się płakać chciało...

A z za parkanów tłum ludu patrzył osłupiały... i nie rozumiał... nic...

Gdzie niegdzie z piersi wyrwało się westchnienie.

W chwili, gdy pierwsze powozy zajeżdżały na Horodnicę... małą furtką od tyłu na dziedziniec dominikański wiodącą wchodził porucznik, obejrzawszy się wprzód, czy go kto nie szpieguje i nie widzi — zatrzasnął ją za sobą i wprost pobił do klasztoru.

We drzwiach jego widać było stojącego księdza w habicie białym, który zdawał się czekać na niego. Była godzina zmierzchu. Ksiądz kaszlnął jakby na znak, porucznik żywo się przybliżył ku niemu.

— Wszak w porę przychodzę, rzekł po cichu porucznik.

— Czekaliśmy, odparł ks. Patrycy Sobek, oglądając się w okół. Nigdy dosyć ostrożnym być nie można. Chodźmy...

Ksiądz poprzeczkał przychodnia korytarzem i po cichu przemykając się korytarzami, dostali się do drzwi biblioteki, do których zapukano. Otworzyły się natychmiast. Salka była z kilku oknami, ale już o tej godzinie cała w mroku, tak że kilka osób w niej znajdujących się zaledwie zbliżywszy się rozpoznać mogły. Ściany zalegały półki pełne książek, folianty u dołu, drobna gawiedź u góry.

W środku na stole dwa globusy i ogromna spoczywała księga. Pomimo że towarzystwo z kilku się osób składało, cicho było bardzo, szeptano, głos zniżając. Osoby przytomne, jak ze strojów widać było, należały do stanu cywilnego, większość miała skromny ubiór polski. Gdy we drzwiach ukazał się ks. Patrycy, wiodący porucznika, posunęli się wszyscy ku niemu. Niektórzy, jak znajomi, ściskali za ręce brata panny Justyny, drugich mu przedstawiano.

I teraz jeszcze mówiono półgłosem.

Zbliżając się, poznał przybyły już znajomego Mikorskiego, Krasnodębskiego i Ciemniewskiego; przedstawiono mu Kimbara, Szydłowskiego, Karskiego i kilku innych. Jakiś czas panowało milczenie.

— Niech panowie mówią śmiało, nawet zbytecznie głosu hamować nie ma potrzeby, odezwał się ks. Sobek... dla tego to wybrałem bibliotekę, bo tu nawet po korytarzu nikt nie chodzi i zupełne jest bezpieczeństwo.

— Mów, panie poruczniku, rzekł Mikorski, palimy się z ciekawości, ale musieliśmy i miejsce i czas wybrać baczenie, bo tu każdego z nas Boskamp jucha szpieguje i bez anioła stróża nie da mu stąpić. Musieliśmy po jednemu, każdy innemi wkładać się drzwiami i z tą samą ostrożnością nazad się wypadnie wynosić...

— Dziś mniej, dodał ks. Sobek — na Horodnicy *gaudium magnum*, cały piękny świat tam pije i hula, skorzystajmyż i my, a utraktuj nas pan dobre mi nowinami.

— Złych nie przynoszę, odparł Soleki — ale cierpliwości potrzeba. Za granicą nasi pra ują, piszą, opinią publiczną Europy przygotowują... a no tego wszystkiego mało. Samym nam o sobie myśleć trzeba.

— Pewnie, dodał Kimbar, — święte słowa! Nie pomoże nik., byle nie przeszkadzali. Kwitujemy ich z reszty.

— Wątpię też, by mieli czas bardzo przeszkadzać, odezwał się porucznik — we Francyi gore, każdy swego dachu bronić musi, aby mu się też nie zajął... Między Austryą a mocarstwami, co nas rozszarpują

już dziś zgody nie ma. Austryą oszukano... jak przepowiedział Kaunitz, żałuje ona choć za późno. Rosya odrwała wszystkich a ją odrwił Prusak...

Nazbierało się dosyć żołci. Imperatorowa zła na króla pruskiego, że jej część pastwy odbiera, Austrya dąsa się na oboje... niezgoda w obozie naszych łupieżców.

— Cóż sądzicie? co robić mamy?

Porucznik chwilę milczał.

— A wasze jakie zdanie? zapytał.

— Cóż my! my posłowie możemy, odparł Mikorski — gęby drzeć, łajać, wściekać się bezsilnie. Protestujemy i protestować nie przestaniemy do ostatka. Ale my jesteśmy garstką małą — reszta, jak podpisała plenipotencją delegacyi, tak podpisze co delegacya odetnie nam najżyźniejsze, najpiękniejsze, najdroższe sercu kraje. Zobaczcie, policzcie, ilu nas tu jest a ilu na Horodnicy — będziecie mieli ile tych, co stoją w obronie całości, i tych, co z sumieniem kapitulowali...

Cóż nasz łzawy protest pomoże?

— My, dodał Krasnodębski — my i życie damy gdy trzeba...

— O, mój Boże! dodał Ciemniewski — małać to ofiara dla matki.

Chwila milczenia i z ciszy a mroku odezwał się jakby jeden głos ponuro, rozważnie, stanowczo, bez wrzasku i uniesienia:

— Wszyscy życie damy.

Porucznik słuchał.

— Toć obowiązek, rzekł — nie ma słowa... daje życie żołnierz, cóż dopiero ten, co stał za tysiące ludzi, bo z ich przyszedł mandatem, i na tysiące rzuci hańbę, gdy odwagi mu brak... — tak! lecz czyż ten sejm to ostatnie słowo?

Na to zapytanie odpowiedzi nie było.

— Zatem — co dalej? spytał Karski.

— Cóż znaczą podziały przymusowe i granice narzucone jak pęta — mówił porucznik... Jesteśmy przecie jak byliśmy Polakami i po za kordonami... Rzeczpospolitą wymazano z karty Europy, ale nie z

serce naszych. — Chcieć nam trzeba wolnymi być — a będziemy nimi...

Westehnięć kilka słychać było w mroku, ksiądz Sobek ręce podniósł do góry...

— Obliczmy się ile nas być może, stańmy szeregiem, może się i kordon przerwie od niego... niejmy odwagę, a nadewszystko cierpliwość i wytrwanie. Niech się ruszy, co żyje... Stargamy więzy!

— Panie poruczniku — przerwał Krasnodębki. My to wszystko uznajemy i wiemy i myśleliśmy ot — słowo w słowo toż samo... Ale to z kazalnicy albo z trybuny byłoby dobre... dla nas nie starczy... nam powiedzcie nie, co robić — ale jak? kto da inicjatywę? kto pocznie?

Z wielką ciekawością i natężeniem czekano odpowiedzi. Porucznik odezwał się cicho:

— Poczęte już to dzieło odkupienia.

Skupiono się koło niego.

— Jam tu przybył od tych, co się około tego krzątają — aby opinią wybadać... Wszakżeśmy w kółku gdzie i przysięgi nie trzeba?

— Ale z nas ochotnie przysięże każdy, że tajemnicy dochowa.

Podnieśli ręce do góry, ksiądz także i wszyscy się odezwali — Przysięgamy!

W sali robiło się coraz ciemniej — kupka zgromadzonych ścisła się co chwila więcej... i trzymała we środku. Właśnie przysięga dobrowolna była dokonana, gdy — w jednej ze ścian bibliotecznych dało się słyszeć skrzypnięcie jakby ciche, i z górnej półki kilka książek spadło na ziemię. Stukot ten przeraził zgromadzonych niewypowiedzianie.

Nie rozmyśliwszy się jedni rzucili ku wielkim drzwiom biblioteki na klucz przez ks. Sobkę zamkniętym, drudzy do okien, inni, jakby najwyższe groziło niebezpieczeństwo, chwycili się do szabel.

Ks. Patrycy, najśmielszy może z nich, podbiegł ku temu miejscu, gdzie książki spadły i postrzegł zdziwiony, że w ścianie biblioteki były ukryte drzwiczki, o których wcale nie wiedział. Otwierały się razem z półkami książek i znać nagle a niezręcznie poruszone,

były powodem, że kilka tomów z górnej półki spadło. Drzwiczki stały zaledwie cokolwiek na zawiasach zardzewiałych otwarte, tak że tylko tajemnicę zdradziły.

Niemi wchodziło się do muzeum narzędzi fizycznych a z drugiej też strony znaku ich nie było... Ksiądz Patrycy otwarłszy całkiem drzwi, wbiegł do muzeum, w którym ciemniej było jeszcze niż w bibliotece. Nikogo tu nie znalazł. Wchodowe drzwi, które zaraz spróbował, stały zawarte i na wrzeciądze spuszczone. Po ciemnych kątach szukając, nie namacał nikogo, powrócił do biblioteki przelektły, pot ocierając z czoła. Tu cokolwiek było spokojniej. Porucznik już był opatrzył drzwi i mógł zaręczyć, że podsłuchać ich przez nie było niepodobieństwem. Ktoś się widocznie korzystając z ciemności próbował podkraść, ale mu się to nie udało. Nie mógł on nic więcej wiedzieć nad to, że tu kilka osób się zgromadziło. Uspokoił się tém i inni... ale ponure panowało milczenie, gdy ksiądz w rozpacz z załamanemi rękami powrócił.

Spowiadał się i zaprzysięgał, iż rzecz dlań była niepojętą... tłumacząc, że muzeum stało zamknięte, a tam nie było żywej duszy...

— W kącie się gdzie może zataił... szpieg, zawołał Krasnodębski, czyż nie macie stoczek — świecy — ogarka?

Dopiero sobie przypomniał Karski, że dla ciemnych wschodów w swém mieszkaniu, do którego często późno powracał, miał i stoczek i krzesiwo...

Nuż ognia krzesać — znalazł Ciemniwski parę drewnienek nasiarkowanych w papierku.

Z wielką biedą rozniecono ogień, zapalono stoczek, wziął go ksiądz i poszedł powtórnie do muzeum. Izba była do opatrzenia łatwa, żadnych komórek i zakątków, szafy, stoły, maszyny... Drzwi główne, gdyby je kto odmykał i zamknął, zdradziłyby go łoskotem. Rzecz się zdawała niepojętą.

— Gdybym w duchy wierzył, odezwał się szambelan Mikorski — myślałbym, że duch nam dał ostrożności przestrożę, tymczasem, choć się tajemnica zdradzić nie mogła, bo Pan Bóg strzegł... trzeba się nam rozchodzić — i to tak, ażeby żaden wprost nie siedł

do domu... abyśmy łasych na nas ostrowidzów oszukali.

Ks. Patrycy blady, pogrążony w smutku, łzy miał na oczach, chciał natychmiast iść do przeora a przynajmniej coś na to radzić, aby odkryć zdrajcę.

— W klasztorze nie ma żywej duszy, coby inaczej myślała i powinna... jakże się tu i którędy zdrada wśliznąć mogła?

O niczem już nie myślano tylko o tém, jak się rozejść — a każdy miał swoją myśl i swój system...

— Za pozwoleniem waszém — odezwał się Mikorski, z wielkiego popłochu pozawracało się nam w głowach — czegoż się u licha boimy? Wszak nas tu znają już jak łyse konie? Tajemnicą żadną dla nikogo, iż Polski rozdierać nie dajemy. Ja, JMPan łowczy Krasnodębski, pan podwojewodzie Karski, ba i drudzy nie mamy się tak dalece czego lękać... Gorszego się nic nie stanie nad to... co przeznaczono.

Dajmy sobie ręce i wyjdźmy wielką bramą, nie czyniąc z tego tajemnicy, to ich więcej zbałamuci, niż inne wykręty.

A porucznika jednego, o którego idzie, aby uszedł niewidziany, choćby przyszło przez mur przesadzić... toć się rzecie zrobi.

— Święta prawda! zawołał Krasnodębski — chodźmy, osłonimy naszym korpusem odwrót ichmościów. Kto z nami?

Kimbar i Ciemniwski przyłączyli się, ksiądz im otworzył.

— Dobranoc! odezwali się wesolo.

Druga kupka po naradzie poszła inną stroną, ciszej i ostrożniej. Został z zakonnikiem zamyślony porucznik.

— Co zrobicie ze mną?

— Nie lękajcie się... wyjdziecie niepostrzeżeni, szepnął dominikanin, ale wstrzymajmy się, dopóki tamci nie odejdą.

Smutni usiedli oba milcząc... przy kawałku stoiczka, który im Karski zostawił. Jeszcze raz obeszli do koła muzeum i bibliotekę.

Aby się przekonać, że pierwsi posłowie już wyszli,

ksiądz Sobek okno otworzył. Noc była gwiazdzista... cicha, piękna, jakby samo szczęście kołysała. W miasteczku cicho, jakby wymarło wszystko... a co wiatr powiał wśród tego milczenia od Horodnicy, to stłumione dźwięki muzyki przynosił.

W tych nocnych echach zabawy upojonych lekko-myślnych grzeszników było coś tak strasznego, taką ironią szatańską nacechowanego, że księdzu łyzy się w oczach zakręciły. Jęk boleści byłby mniej okropny, mniej serce rozdzierający.

Cichły te odgłosy, to znów jak z otchłani nagle wybuchały... i rozplywały się gdzieś w powietrzu. A w stronie ku Horodnicy zapalona iluminacja odbiła się jakby różową łuną pożarną na niebie.

— Chodź waćpan, rzekł ks. Sobek, wyjdziemy bezpiecznie. Poszli.

W progu, zamknawszy bibliotekę, zgaszono światło, ujął ks. Patrycy za rękę towarzysza i szedł z nim długo korytarzami.

Przez małe drzwiczki weszli do kościoła. Tu pannaowała noc... i spokój. Przed wielkim ołtarzem zwieszona paliła się lampa bladym światłem i migotała... a cień na posadzce drgał jak żywy. Gdźieniegdzie w ołtarzu błyszczała odrobina złota... Poszli oba ukłknąć na chwilę i pomodlić się.

Pomimo usiłowania, aby nie obudzić echa, każdy ich krok w pustym kościele rozlegał się dziwnie... Furtka z zakrystyi wychodziła wprost w ulicę. Ksiądz ostrożnie naprzód przez okno kraciaste wyjrzał, potem z cicha i ostrożnie klucz w zamku obrócił... drzwi się uchyliły i porucznik znalazł się sam jeden wśród miasta.

— Dobranoc... szepnął mu ksiądz.

Naprzód odskoczył od drzwi daleko, namyślił się potem, co zrobić z sobą. Nie chciało mu się powracać do domu.

— Pójdę na Horodnicę, rzekł w duchu — popatrzę z daleka na tę świętokradzką radość.

Miasteczkiem i drogą idąc, nie napotkał prawie nikogo, ciekawi tłumem otaczali ogród w Horodnicy, gdzie fajerwerk puszczać miano, reszta od dawna już

spała. Zbliżając się ku Tyzenhausowskim gmachom .. już coraz ludniej było.... Pijani żołnierze, wesołe dziewczęta, napelniali szyneczki nad drogą. Tu także rzępoliły kapele i lała się wódka. Bliżej jeszcze stały szeregami powozy, konie drżące z pospuszczanemi łbami, woźnice na kłodach i kamieniach, grający w karty przy latarniach od karet odczepionych. U bram ogrodu stały warty a za wartami jak wał ruchomy ciekawy tłum, poruszający się, śmiejący stłumionemi głosy.... Ztąd już przez otwarte okna na ekonomii widać było na jasnym tle salonów przesuwające się w tańcu pary i przechadzające osoby.... Muzyka grała ochoczo i głośno.... W innych pokojach podnoszono toasty.

Porucznik zbliżył się tak aż do samej straży.

Obok strzelca z pułku jekaterynosławskiego stał bez broni żołnierz z polskiego wojska, znać urlopowany, ale w mundurze. Szanując te resztki munduru rosyjska straż wpuściła go do ogrodu...

Porucznik i on spojrzeli na siebie.

Żołnierz oczy przetarł i nieznacznie się zbliżył...

— Pan porucznik, jak Bóg miły — zawołał... a tożbym się rychłej śmierci spodziewał, jak pana tu widzieć.

— A ty tu co robisz?... spytał Solski.

— Ja se urlopuję! odparł żołnierz z uśmiechem — a t... i gapię się... Ja niby to tutejszy... Ale niech pan do ogrodu wnijdzie.

— Kiedy nie wolno...

— Co ma być nie wolno — dwa złote żołnierzo-
wi, a puści.

Posłuchał tej rady porucznik i wsunął się do ogrodu... żołnierz poszedł za nim, prowadząc go i znikł w tłumie służby, która dwór otaczała...

Na salach, w których się bal ten odbywał, wszystko razem było zmieszane w najdziwniejszy sposób.. umizgi, zaloty, polityka, pijatyka, gra, przekupstwo i groźby.

Uśmiechy i posępne twarze, podsłuchy i rykotania pijane. Szepty miłosne i umowy o sesyę jutrzejszą... Sievers odbierał raporta, przestrogi, komplementa, dawał napomnienia, obietnice — częstował słodyczami i odwracał oczy gniewne...

O trzy kroki od niego Kossakowscy knuli spisek na ambasadora z Zabiełłą i Giełgudem.

Józefowicz kłaniał się lokajom, aby sobie łaski dworu zaskarbić...

Piękna Lullie raczyła tańcować gawota a widzowie oniemieli z zachwycenia. Był to gawot taki, jaki na dworze nieboszczyka Ludwika XVI. tańczowano, bo markiza była emigrantką, legitymistką, a przynajmniej grała rolę wygnanej wielkiej pani... i mówiła o gilotynowanych przyjaciółkach z patetycznością największą.

Po gawocie Sievers się zbliżył jej winezować i zaczął z nią cichą rozmowę. Hr. Camelli mogłaby była zazdrościć, tak czule przemówił do niej miły staruszek, tak był dla niej rzewny i słodki...

Przechadzał się z nią po salonie... ale tu mimo otwartych okien tłum i światło sprawiały, że gorąco było nie do wytrzymania. Spróbowano przejść do drugiego salonu, gdzie kupkami rozmawiali posłowie i senatorowie... w trzecim była gra i kupy złota leżały na dwóch stolikach.

Z założonemi w tył rękami od dwóch godzin stał tu w brudnym swym fraku księżę podskarbi i patrzył w stół nie spuszczając z niego oka... Z ust mu płynęła ślina i nie czuł... deptano po nogach, nie wiedział o tém, potracano go, nie ustępował... Grał w myśli... Minął Sievers ten salon... Za nim był gabinet... Prosił markizę, aby tu spoczęła; rzuciła się bogini na kanapę. Bosą nóżkę z brylantowemi pierścieniami w złotym koturnie podniosła nieco jakby do pocałowania... Lecz Sievers, jak się zda e, nie miał najmniejszej ochoty czuć w tej chwili tej wcielonej Afrodyty...

Mówili cicho po francusku... Sievers'a głos był miodowej słodyczy, miękki, miły... wciskający się do ucha jak szmer wiosennego wietrzyku. Sam staru-

szek miał postawę filozofa, który boleje nad nieszczęściami rodzaju ludzkiego.

— *Chère marquise*, mówił do niej, pani, co jesteś wszechmogącą... czybyś nie mogła technąć na tych ludzi duchem rozsądku i pomiarkowania? Al co za dziwny naród! taka mieszanina cnót i wad... takie amalgame tego, co świat ma najszlachetniejszego i najbrzydszego...

Złożył ręce...

— Co ja tu cierpię!!

Można było sądzić, że istotnie ten łagodny starszek męczeńską zdobywa koronę...

— Pani przynajmniej, *chère marquise*, powinnaś wpływać na króla... Król się jój nie potrafi oprzeć...

Tu zniżył głos...

— I niech mi pani wierzy, oprócz protekcyi dworu mojego dla pani, za którą ręczyć jój mogę, zyszczesz pani wiele dla familii Bourbonów.

— A! ten biedny król, odezwała się Lullie... ten biedny król! jak mi go żal...

— Panibyś miała słuszość użalać się nad jego losem — odezwał się Sievers z westchnieniem — gdyby nie sam był winien wszystkich nieszczęść swoich... Co za niekonsekwencya w postępowaniu!... Gdyby się był trzymał wiernie Rosyi... jakże całkiem inaczej złożyłoby się wszystko...

— Lecz o cóż idzie? szepnęła prostując się markiza i patrząc w oczy staremu, jakby siły ich na téj niepalnej materyi chciała próbować — o co idzie?

— Niech sejm będzie zresztą wrzawliwy, jak chce — rzekł cicho Sievers — my to pojmujemy, że oni wszyscy w obec kraju muszą odegrać tę komedię smutną oporu i patryotyzmu... Dla mnie to nudne, prawda, ale ostatecznie... gdy będzie potrzeba... posłę generała Rautenfelda i dwa bataliony żołnierzy a wszystko skończy... Ale niechże mi król z podpi-sem traktatu się nie droży. Littlepage zaręcza, że go podpisze, inni jak Dziekoński, który jest go bliskim — powiada, że się zaklina, iż rękę da sobie obciąć...

Markiza potrzebowała główką.

— Jak pani sądzisz. . . .

Długo z wachlarzem bawiła się piękność — patrzała na malowane na nim obrazki, nie mówiła nic, podniosła główkę potem i z uśmiechem zalotnym szepnęła cicho:

— Nous lui ferons signer ça!

Sievers chwycił ją za rączkę. . . .

— Staraj się pani o to . . . przygotuj go . . . powiedz mu . . . że swe położenie pogorszy długim oporem. . . . Cesarzowa chce tego . . . a jej wola spełnić się musi. . . .

Markiza wstała z kanapki i zaczęła poprawiać swą muślinową sukienkę fałdzistą, nie dobrze osłaniającą kształty tak piękne, iż patrząc na nie, wierzyć w nie się nie chciało.

— O! traktat z Rosyą — odezwała się — ten wreszcie nie ma wątpliwości, że i Izba i król podpiszą — mais l'autre. . . .

Zrobiła minkę nastraszoną.

— A! wiem to! wiem! Wszyscy oni mówią — niech cesarzowa całą bierze Rzeczpospolitą — niech nas zagarnie. . . . byleśmy nie poszli pod panowanie tego, który nas zdradził. . . . Tu wstręt jest nad wyraz wszelki.

Do tego traktatu . . . ha! użyję siły. . . .

Prusy nas zmusiły . . . niechętnie oddajemy im ten kraj. . . . Gdańsk i Toruń w ich rękach!! Ale konieczności polityczne. . . . Umieli nas podejść i zmusić. . . . Stało się!

— Al ja ię na polityce nie rozumiem — odpowiedziała kobieta . . . to tylko słyszę, wiem, widzę, że stokroć prędzej traktat z Rosyą stanie . . . niż tamten drugi . . . i król. . . .

— Mów mu pani zawczasu, że temu się oprzeć nie podobna. . . . Imperatorowa podpisała traktat. . . . Nie dopuści wziąć więcej . . . ale to, do czego się zobowiązała. . . .

Daj mu pani uczuć, że walka jest daremną. . . . Działaj pani na słaby umysł jego. . . . Staraj się natężyć panią Krakowską. . . . Ja wiele, wiele liczę na panią i — wiele chcę jej być wdzięcznym, bo by mi

było nadzwyczaj miło uzyskać dla niej u dworu wszystko...

Tu staruszek szeptać zaczął, Lullie³ słuchała nie wzdragając się wcale, czasami główkę zwróciła ku niemu, usta się jej uśmiechnęły... Zdaje się, że doskonała zgoda nastąpiła, gdy dano znać, że w chwili spoczynku uproszono hrabinę Camelli, aby śpiewała...

W czasie pochodu przez salony do towarzystwa markizy przyłączył się książę Sułkowski i Bieliński — prowadzili ją w tryumfie... Tancerze odpoczywali, piękna Camelli stała już u fortepianu niespokojnie się oglądając na drzwi, któremi miał wniknąć Sievers. Otaczało ją także wielkie grono wielbicieli, którym piękna Włoszka hojnie rozrzucała wejrzenia... Brat jej hr. Morelli... trzymając w ręku gitarę, zabierał się znać także do produkowania przed zgromadzeniem... Zaledwie się ukazał Sievers, którego małe oczki padły na hrabinę... gdy się ozwała wenecka Barcarolla... słowiczym nucona głosem... Śpiew był w istocie piękny... Burzliwym oklaskom nie było końca... Lecz po nim dopiero nastąpić miała nadzwyczajna niespodzianka. Hr. Morelli nauczył siostrę ruskiej melodyi... którą gdy zanuciła, oficerowie w uniesieniu o mało nie zrobili małej salonowej rewolucyi...

W czasie tych wszystkich scen... Ankwicz, o ile mu dozwalała przyzwoitość, nie wiele się troszcząc o skompromitowanie panny i siebie, z widoczną już z natarczywością przysiadł się do Justyny.

Szambelanowa zrazu trochę zniecierpliwiona zaczęła być gniewną, nie na Ankwicza — ale na swą towarzyszkę. Jej całą winę przypisywała, jej to bezwstydną zalotność bałamuciła starego rozpustnika... Ile razy odwróciła głowę ku Ankwiczowi, chmurzyła brwi i dawała mu poznać najwyższe swe nieukontentowanie. Mruczała ciągle — Bezwstydnym!! Szambelan, gdyby nie tak liczne zgromadzenie i potrzeba trzymania kapelusza pod pachą, byłby choć w powietrzu się pomścił nad ministrem.

Najdziwniejszém było to, że skromna, cicha, nieśmiała panna Justyna nagle znalazła się tu jakby nawykła, jak w swoim żywiole. Nic jej nie zdumiewało,

nie nie zachwiało jój powagi, przytomności, niemal lekceważenia tego, co ją otaczało.

Ankwicz, który miał pierwszy raz zręczność mówić z nią dłużej a sądził może, iż znajdzie w niej bojaźliwą istotę, również był zlumiony jak szambelanova.

Szlachcianeczka ta, co nigdy na balach nie bywała, świata nie widziała... śmieleszą była od samej szambelanowej, która przecie w białej sali u króla tańcowała. Osamotnioną, nieco piękną Emilią pocieszyło to tylko, że rozwite bujne jój wdzięki przywabiły do niej pułkownika Kastalińskiego. Z wojskową prawdziwie rezolucją pułkownik, który nie znał i jak żyje nie widział szambelana, przyszedł do niego i szepnął mu na ucho:

— Słuchajcie — mnie się bardzo podobała wasza żona, czy mnie jój zaprezentujecie? Jestem Iwan Petrowicz Kastaliński.

Szambelan nie miał nic pilniejszego nad spełnienie rozkazu i nie znając sam pułkownika, zaprezentował go ze zwykłą sobie trafnością jako Piotra Iwanowicz Gandolińskiego, co zresztą było mu wszystko jedno. Zaczął zaraz przysiadłszy się do pięknej Emilii prawić jój niesłychane komplementa. A że był po szampanie i człek serca otwartego, powiedział może dużo więcej po cichu, niż się za pierwszym razem godziło, z czego szambelanowa śmiała się do rozpuku, nie biorąc mu za złe tego zapału, gdyż miała za zasadę dla pasy, jaką jój ludzie okazywali, być nadzwyczaj pobłażającą. Pułkownik Kastaliński po półgodzinnej rozmowie, w której się wiele a wiele rzeczy udało wyrazić z otwartością wojskową, uznał za dobrą politykę wziąć męża pod rękę i zaprowadzić go do bufetu.

Żona tylko prosiła, ażeby go do picia nie zmuszał, gdyż to mu bardzo szkodzi. To jednak nie zapobiegło picciu szampana, ulubionego szambelanowi i to tak obfitemu, że w niespełna godzinę Kastaliński go pod rękę odprowadził, musiał mu dać krzesło i odąd co się działo na balu, po zciwy szambelan wcale już nie wiedział... Kręcili mu się długo i wirowały przed

nim postacie różne, a co go najbardziej męczyło, to że żony nie mógł zobaczyć. Widział tylko ciągle Kastałińskiego i tłum, który mu się ruszyć nie dawał... Chciał powstać z krzesła, nogi miał poprzywiewywane do niego i przyrosłe do posadzki... A że pomimo to było mu wesoło, sądził, że to się przecie jakoś kiedyś skończy musi.

Obok niego tuż siedział Ankwicz, który rozmowę z Justyną był zajęty...

Mówili z sobą ciągle...

Rozmowa ta rozpoczęła się ze wstrętem i pogardą — ale zręczny minister umiał ją tak prowadzić, że się wkrótce stała poufałą, że obudziła już tylko uczucie politowania dla niego...

Ankwicz mówił w ogóle o świecie i ludziach... o życiu.

— Do życia nie wiele przywiewuję wagi, powiedział w końcu. Księża mają słuszość, takie to wszystko zmienne, ruchome... niestałe, że trzeba chwycić chwile a rachub długich i na daleką metę nie składać...

— Więc całe życie składałoby się z przypadków bez ciągu?..

— Takim ono jest, piękna pani, odparł Ankwicz, a gdy los dozwoli spędzić taki wieczór u boku uroczej... jak ona istoty... więcej się domagać nie mamy prawa... Niech jutro, co chce, przyniesie.

— Ale to okropne! odezwiała się Justyna.

— Wszystko jest okropne na świecie, — dodał Ankwicz... i my nawet... chwilami anioły... a potem... zbrodniarze... *Ainsi va le monde!*

— Bardzo mi pana żal...

— Dziękuję pani! Ale proszę nie żałować mnie, a jeszcze kiedy nie odmówić mi znowu takiego szczęścia...

I znowu płynęła rozmowa bujając dziwnie, a Ankwicz jak przykuty nie ruszał się z miejsca...

Justyna w ciągu niej podniosła oczy na galeryę, na której była muzyka... i zbladła... w kątku stał ukryty brat jej i z założonemi na piersiach rękami patrzył na nią smutny...

Słowa na ustach jój zamarły...

Dzień wpadał oknami, poranek wiosenny w całej krasie śmiał się w ogrodzie, goście rozjeżdżać się zaczęli... Ankwicz odprowadzał Justynę, Kastaliński wziął pod rękę szambelanową, szambelana przez litość podniósł na skinienie pułkownika jakiś oficer i wyprostowanego, uśmiechającego się ale z niewygodną czawką poprowadził do pojazdu...

Szambelan dopiero nazajutrz w łóżku znowu się ze światem Bożym zobaczył, i to tak późno, że już godzinę wprzód pułkownik Kastaliński był na czekoladzie u „boskiej Milusi.“

A gdy przyszedł do niej blady i chory, dostał jeszcze najokropniejszą burę i zaręczenie, że gdyby się znowu coś podobnego trafiło, będzie zmuszoną go zostawić w domu, aby jój wstydu nie robił w dobrém towarzystwie.

Wszystko to poszło na rachunek tego grzecznego pułkownika, który odtąd na równi z Ankwiczem został jego nienawiści celem.

W dworku Borysewicza — choć pani majstrowa zrazu była niespokojna po pierwszym najściu rosyjskich żołnierzy i miała za złe mężowi, że takich sobie wybrał lokatorów, dla których i oni cierpieć będą musieli, później posłowie i gospodarstwo wzajem z siebie byli radzi. Krasnodębski był człowiek serdeczny, niezmordowany i nieustraszony w Izbie sejmowej, gotów na wszelkie ostateczności, któremi mu grożono i które łatwo go spotkać mogły. W domu był cichy, spokojny i łagodny jak baranek. Z Borysewiczem chętnie prowadził gawędę, rozgadał się czasem i z jejmością, nikomu się nie naprzykrzył a każdemu starał dogodzić. Smutny był tylko zawsze, a zwłaszcza, gdy znużony z posiedzenia powracał. On i Mikorski wiedząc, że dworek ma Boskamp na oku, nie zapraszali tu nigdy na narady nikogo, przychodzili na noc, wymykali się rano i pokoju nie zamścili.

Pierwsze dwa miesiące zapłacili z góry majstrowi,

w trzecim o folgę prosili — ale Borysewicz aż się ofuknął.

— A! czy to miue pilno! zapłacicie, gdy zechcecie, toć nic w szyję nie pędzi.... Mikorski czasem w wolnych godzinach siadywał w oknie w nadziei, że piękna pannę Justynę zobaczy, lecz rzadko koło okna przeszła, tak teraz była zajęta. Przez brata też, którego znał dawniej, nie mógł żadnych stósunków zawiązać, bo porucznik musiał się od niejakiego czasu ukrywać.

Skutkiem zbliżenia się Ankwicza do panny Justyny, która weszła w myśl brata i nie stroniła od niego, było na-przód to, że minister mówiąc o różnych rzeczach, wygadał się i z tém, że Sievers wiedział o wysłańcu do Grodna z Lipska wyprawionym przez Potockich i Kołłątaja, i że po Grodnie szukano tego emisaryusza, nie mogąc jeszcze dojść, ktoby był. Wiedziano tylko, iż się tu znajdował. Boskamp zaręczał, że ptaszka wyśledzi. — Młody Igelström wysłany umyślnie do Saxonii dowiedział się o wyprawieniu kogoś w Lipsku; nazwiska tylko nie doszedł, ale powierzchowność opisał dokładnie. Rysopis się doskonale zgadzał z powierzchownością porucznika.

Przestraszona panna Justyna natychmiast przestrzegła brata, a ten musiał się skryć, myśląc, jakby się przebrać i zamaskować nie do poznania. Drząc i z łzami w oczach mówiła o tém panna Justyna bratu, który dziękując jęj dodał razem:

— Widzisz, jak moja rada była skuteczną, a jak ty, sama o tém nie wiedząc, doskonałym jesteś szpiegiem! Któżby ci za twój uśmiech wyznaniem z pod serca się nie wywdzięczyl?

Justyna smutnie na niego spojrzała.

— Tak, rzekła, dla miłości twęj i dla miłości Polski spełniłam, coś kazał, ale brzydzę się od tęj chwili sama sobą. Chwilami w głowie mi się zawraca... i zdaje mi się, że oszaleję...

A! nie kobiecych to sił sprawa — bracie miły... Ankwicz — nie będę ci kryła — zdaje się, zajęty mną... prawi mi grzeczności, oświadcza się nieustannie. Nie mogę tego brać na seryo — znam go nadto

z opowiadań szambalanowój, a mimo przestróg, mimo wstrętu, jaki miałam do niego, to człowiek niebezpieczny... ja się go lękam.

Nie mam dlań szacunku — a budzi we mnie litość. Gdy go nie ma, czuję wstręt do niego... oburzam się. Usiądzie przy mnie, mówić zacznie — czaruje mnie, zapominam się... boję się, bym dlań nie powzięła słabości.

Na to szeszere wyznanie porucznik odpowiedzieć nie umiał, zrobiło mu się przykro niewymownie, czuł się winnym.

— Jeśli się tak czujesz słabą, rzekł — unikaj go — chociaż widzisz sama, jak wielkie oddać możesz przysługi. Ankwicz jest najzdolniejszy z nich wszystkich, wtajemniczony we wszystkie plany... przez niego wiedzieć możesz zawczasu, co się święci, i nasza garstka też przygotować się może do odparcia ataku.

Justyna nic nie odpowiedziała — poszła do okna ukryć łzy.

Pomimo podejrzenia, jakie otwarcie drzwi w bibliotece zrazu obudziło, ks. Sobek nazajutrz zaręczył, że w klasztorze żywój duszy podejrzanój nie było i że wiatr chyba poruszył owe pułki. Porucznik nie mając gdzie, schował się na jakiś czas do klasztoru. Siostra przychodziła zwykle do kościoła i wiływała się z nim w izdebce przy zakrystyi. Niemal codzień bywał Ankwicz i pułkownik Kastaliński, który stał się niemal domowym mimo nieukontentowania szambelana... Nieszczęśliwy mąż nie śmiał mu pokazać wstrętu i gniewu, jakie czuł; żona nakazywała mu być grzecznym, pułkownik go ścisnął, całował, poił, woził na rewie... i szambelan znosił swe nieszczęście prawie stoicznie... Raz tylko, będąc bardzo pijany, zaczął jakieś niezgrabne wymówki czynić Kastalińskiemu, który go z obu stron w twarz pocałował, perukę mu „zderanżował“, jak powiadał, wyściskał go i śmiał się z niego okrutnie przed żoną, za co szambelan dostał pokutę srogą jako za skompromitowanie jój. Trzy dni nie był dopuszczonym do pocałowania jój ręki, zgryzł się i dopiero czwartego dnia kazano mu się na klęczkach przeprosić, pocałować w nóżkę... a więc

takich głupich zazdrości nie okazywać — bo... bo będzie źle...

Jedynym sposobem, jaki galant pułkownik miał na szambelana, było pojenie go szampanem... Jejmość się z tego śmiała... Nie było dnia, ażeby przytomny poszedł do łóżka...

Przyjemny ten adorator... który urządzał przejażdżki do lasków, podwieczorki, obiady wiejskie — odciągnął nieco uwagę szambelanowej od Ankwicza. Tolerowała coraz bardziej zbliżenie się jego do Justyny... może nawet z pewną złośliwością wcale nie zwracała uwagi na jej postępowanie i następstwa.

— Że waćpan jesteś bałamut — mówiła do Ankwicza — o tém wiedziałam przecież od początku świata... ale że się ta dziewczyna tak bałamucić da... tegom się, przyznaję, nie spodziewała wcale... Przestrzegam tylko, że ma brata wojskowego, któremu bystro z oczów patrzy...

Zresztą... pełnoletnia... co mi do tego...

Ankwicz się zaklinał, że — chociaż mu w tém towarzystwie było nadzwyczaj miło... ale *en tout bien tout honneur*... żadna w tém grzeszna myśl nie powstała.

Szambelanowa gryzła koniec wachlarza...

Sejm się niepomieranie przeciągał.

Każdą czynność stanowczą siłą, gwałtem, podstępem wymódl na nim było potrzeba. Przekupieni jawnie posłowie, których Boskamp utrzymywał, których wozził, za których płacił, którzy u niego się stołowali i w biały dzień z Jozefowiczem i Podhorskim chodzili po rozkazy na Horodnicę — wnosili zwykle, co Sievers kazał: zrywała się burza, walczano, grożono, nasyłano żołnierzy — aż póki najbezprawniej w świecie nie otrzymano votum tak lub owak...

Król, istny męczennik, siedział na tronie i musiał słuchać, gdy mu Ciemniwski mówił w oczy — że całe panowanie jego było księgą z czarnych kart złożoną, że przelewał krew swych poddanych, że kraj zdradzał, że została mu jedna tylko złota do zapisania karta, gdyby się oparł podziałowi.

I król się opierał.

Wszyscy aż do Kossakowskich i Ankwicza krzy-
czeli w sejmie przeciwko przemocy Moskwy, wolno im
to było, ale służyło za argument, aby takiemu gwał-
tów, nie mogąc się oprzeć — uleść z pokorą.

— Raczej umrzeć! raczej się dać posiekać — ra-
czej iść w Sybir... wołała opozycja a król odpo-
wiała na to — Pięknie, cudownie, szlachetnie — ale
na co się to przydało? Co to pomoże? Oto impera-
torowa rozjątrzona, kraj nam odbierze cały!!

W tej ciągłej jednostajnie powtarzającej się walce,
przeplatanej balami, grą i intrygami... ciągnął się
sejm aż do traktatu z Prusami.

Opozycja, czując i ufając, iż Rosya tak bardzo
Prus popierać nie może i ich drapieżnych żądań —
wybuchnęła z nową, z niezwykłą sobie siłą. Całe
stronnictwo Kossakowskich, które było jawnie za po-
łączeniem Rzeczypospolitej z Rosyą, raczej niż podzia-
łem, sekretnie połączyło się z opozycją. Kossakowscy
milczeli, gdy Sievers dawał rozkazy, ale ich spełniać
nie myśleli. Mieli silne plecy w Petersburgu u Zu-
bowa i Markowa i w te ufali. Ambasador, który już
domyślał się, że ma nieprzyjaciela w Igelströmie, który
czuł nieprzyjaciół w Kossakowskich a nie mógł bar-
dzo ufać Zubowym — był w położeniu dosyć drażli-
wym. Szło mu tém bardziej o spełnienie rozkazów
imperatorowej, aby w niej znaleźć podporę.

Porucznik Sol ski, który miał polecenie śledzić i
donosić, co się stało w Grodnie — a przez posłów
z różnych części kraju tu przybyłych zawiązywać
przyszłą organizacją powstania — krył się jeszcze
ciągle w Grodnie na przemiany to w klasztorze Do-
minikanów, to w rozmaitych mieszkaniach, które mie-
niał co noc. Co kilka dni schodzili się z siostrą
przy kościele... Justyna prawie zawsze przynosiła
mu wiadomość jakąś ważną, a Sol ski, zajęty spiskiem,
nie uważał nawet, jak strasznie była zmieniona i roz-
gorączkowana... jak chwilami zdawała się niemal
nieprzytomną. W pierwszych dniach sierpnia wreszcie,
zszedłszy się w zakrystyi z nią, przeraził się wyrazem
jej twarzy, mową i zmianą, jaka w niej zaszła. Była
piękniejszą może niż dawniej, wstąpiło w nią życie

jakieś nowe. Śmiała się konwulsyjnie i łzy miała na oczach, rumieniała się i bladła.

Tego dnia słabo się jej zrobiło, gdy zaczęła opowiadać bratu o planie Sieversa dla zmuszenia sejmu do podpisu ostatniego traktatu. Pierwszy raz porucznik opamiętał się, postrzegł znękanie Justyny... i przerażony zaczął ją błagać, aby rzuciła wszystko — usunęła się, zapomniała... wycofała z téj sieci intryg — w którą sam popchnął ją niebacznie.

Justynie łzy rzuciły się z oczów. — Zapóźno... zapóźno! zawołała ściskając rękę brata i spuściwszy oczy uciekła.

Trzeciego dnia porucznik poszedł na umówione miejsce, nie spodziewając się jej widzieć, ale przyszła jak zwykle, weselsza nawet, choć wesołość ta była udana i wymuszona.

Nalegał znowu, ażeby porzuciła już wszystko... że wie dosyć, że więcej dowiedzieć się nie chce a siostra odpowiedziała mu z uśmiechem.

— Proszę cię — mnie to już bawi. Stałam się jakby nałogową pijaczką, potrzebuję tych plotek, żyję niemi — wciągnęłam się w to życie. — Czyż zresztą warto tak bardzo o przyszłość się troskać. Ja i tak nie miałam przed sobą żadnej... chyba, że starą klucznicą zostanę w Wierzejszkach. Dla czegoż mam znowu oszczędzać tak mało wartéj egzystencyi, gdy się na coś przydać może? Westchnęła smutnie — rozśmiała się i paplała bratu — jak Ankiewicz był w niéj zakochany śmiertelnie i jak na wszystko dla niéj był gotów, choćby na trzy dni miał uczciwym zostać!

— A! mówiła z uczuciem — jakaż to szkoda tego człowieka! Jaką głowę, jaki rozum mu Bóg dał — co za zdolności... jakie chwilami porywy szlachetne, jakie uczucia gorące! — Tylko statku, niestety — ani odrobiny!!

Westchnęła znowu a bratu te pochwały zdrajcy zaczynały być przykre.

— Nie mów mi tak o nim, zawołała — to mnie boli — nadto bo się zajmujesz nim.

— Tak — to prawda, rzekła — ja to sama wiem,

ale ma urok taki. Sama się boję nałogu, jaki powzięłam w ciągłym z nim obcowaniu.

I zamyśliła się ponuro a potem podniosła głowę, ruszyła ramionami i śmiejąc się chorobliwie dodała:

— Nauczył mnie mówić i czuć. Cóż tam to życie warto! Chwila weselsza zapomnienia płaci za resztę a razem cały ten sen życia trwa tak krótko.

I niespokojnego brata pożegnała z udaną wesołością. Nie on jeden tą zmianą w pannie Justynie był uderzony, postrzegli ją wszyscy domowi — szambelanowa szydziła i dopiekała — szambelan robił tylko miny znaczące... On także znajdował boską Milusię nadzwyczaj odmienioną dla siebie. Po całych dniach się śmieli z pułkownikiem przesiadując, a ile razy szambelan wszedł, odprawiano go pod różnemi pozorami. Przyszło do tego, że się zachciało pułkownikowi zobaczyć Wierzeiszki; obiecał konie rozstawić, aby w nocy można wrócić do Grodna. Szambelanowa przystała na projekt, ale się najdziwniej w świecie złożyło, szambelan zasnął i został się sam w Grodnie z panną Justyną.

Ta ani mówić do siebie mu nie dawała. Na obiad zjawił się Ankwicz i nieproszony został. Po obiedzie szambelan poszedł na drzemkę, potem grał na pikulinie a Ankwicz jak siedział tak siedział — i okazało się, że do późnej nocy dotrwał sam na sam z panną Justyną.

Szambelan podsłuchując podedrzwiami, rozmowę niezmiernie ożywioną i poufałą złapał — lecz tak dziwną jakby to namiętną, to szyderską, to kłótniową, iż nic a nic nie rozumiał z niej. Panna Justyna i Ankwicz chodzili ciągle po pokoju, stawali, mówili ciszej i głośniej... tak że nie zbyt domyślny podsłuchiawcz wątku połapać nie mógł. Obiecywał sobie tylko oskarżyć tych państwa przed żoną za tak przeciągnięte po-iedzenie.

Nie doczekał się wszakże szambelanowej aż po północy, gdy był usnął na kanapie... Odprawiła go zaraz, bo sama była okrutnie drogą zmęczona.

W gabinecie Sieversa — w południowej godzinie nie było nikogo oprócz ambasadora. Ogromne biuro zarzucone papierami, pełno kwiatów dokoła, zapuszczone firanki zielone, mrok miły i cisza. Pod domem tylko słychać było kroki przechadzającego się na warcie żołnierza. Na twarzy starego dyplomaty od czasu przybycia jego do Grodna znać było ślady natężenia umysłu, niepokoju i nieustannéj pracy. Zbladł i zestarzał się w téj walce, w ciągłym poskramianiu samego siebie, aby się w roli spokojnego i pewnego utrzymać. . . . Marszczki wystąpiły na czoło, bladeść okryła twarz, oczy połyskiwały wysileniem, to mrużyły się, jakby do snu mimowolnego.

Pisał do córek i zdawał im sprawę z tego ciężkiego zadania, którego się podjął, aby — dogodzić ambicyi, wyjednać coś dla rodziny, zasłynąć na świecie jako prawodawca i dyktować prawa królowi. Próżność głuszyła sumienie. Raz wszedłszy na tę drogę, trzeba było o niém zapomnieć, spełniać rozkazy, choćby wzbudzały obrzydzenie, i walać się w tém błocie. W listach do córek wyborczy aktor umiał tyle tylko powiedzieć, ile mu było potrzeba, aby w ich oczach wyrosnąć — lecz, spowiadając się przed sobą, czuł, że brnął głębiej, niż się z razu spodziewał. Z piórem w ręku siedział nad listem, gdy zapukano. Oficer z przedpokoju oznajmił mu Boskampa. . . . Sievers kazał go wprowadzić. Factotum ambasadora przychodził z rachunkiem.

Persona gratissima, Boskamp, chociaż trzymany zawsze w progu, choć się do niego mówiło z góry — był ulubieńcem Sieversa. . . . Nikt lepiej mu nie służył.

— Cóż mi pan przynosisz? zapytał Sievers.

— Ach! te nieszczęśliwe i nieskończone rachunki, zawołał Boskamp, dobywając plik papierów z bocznej kieszeni fraka. — Pieniędzy już nie mam, a w. eks-celencya wie, że bez tego u nas nic. . . .

— Jak to, ostatnie pięć tysięcy? spytał Sievers.

— Utonęły w kieszeniach naszych koadjutorów, rzekł Boskamp.

— Spodziewam się, żeś przynajmniej wstrzymał

się z wypłatą tysiąca dukatów marszałkowi konfederacyi litewskiej, bo ten mi bróździ. Zamiast służyć mnie służy Kossakowskim, a ci spisek knują i przeskadzają mi, w czém mogą.

— Marszałkowi wypłatę wstrzymałem — rzekł Boskamp.

— Ożarowski? spytał Sievers.

— Wypłacono, marszałkowi Bielińskiemu także... Ten waszą ekscelencyą sporo kosztuje, bo o ile wiem 2200 dukatów wziął przed rozpoczęciem sejmu, ja wydaję po 500 dukatów na kuchnię i utrzymanie domu, a do kieszeni mu nastarczyć nie można, tak się zgrywa.

— Ale, wszyscy się oni zgrywają, odparł Sievers — nie pojmuję gdzie się pieniądze podziewają i toną. Któż wygrany?

— Trochę Miączyński a resztę ci panowie, co wcale do sejmu nie należą i co tu na polowanie przybyli, a to im się znakomicie udaje. Ankiewicz i Miączyński odebrali po półtora tysiąca, ale pierwszy z nich już nie ma nic. Wasza ekscelencya nie dostrzega w nim zmiany?

— Jakięj?

— Jest tak zakochany w jakiejś ubogiej dziewczynie, że o wezystkiem zapomina i „negliżuje się“ strasznie. Warto, by mu dać napomnienie.

— A, te kobiety! te kobiety! — rzekł pocierając czoło Sievers, — one tu wprowadzie niewidoczną, ale tak straszną grają rolę... bez nich nicbyśmy podobno nie poradzili sobie. Ankiewicz, stary bałamut, to mu przejdzie. Sądzicie, że się żenić myśli?

— Bardzo wąż pię, odparł Boskamp — jakkolwiek ubogi jest bardzo dumnym, ma rodzinę... panna prosta szlachcianka i wcale nie z tej sfery towarzystwa. Skończy się to smutnie dla panny, bo Ankiewicz jest najniebezpieczniejszym z seduktorów a panna zajęta i niebaczna... Jeden dzień, wiem, spędził z nią sam na sam do późnej nocy... bo szambelana, w którego domu panna przebywa... liczyć nie można. To zero w peruce.

— Ale szambelanowa!

— A! tę pułkownik Kastaliński woził do jej majątku, czy ona jego .. bo to rzecz nierozjaśniona.

Zaczęli się śmiać. Sieversa śmiech suchy był i ironiczny.

— Na mieszkania dla posłów, na najęcie dla nich czternastu owozów, na stół i stancye same poszło parę tysięcy. I Boskamp papier położył na stole, na którym Sievers oczy zatrzymał długo.

— Widzę tu na liście, rzekł, starego tego rozbójnika, księcia podskarbiego Adama ... a on mi nieustannie dokucza o pieniądze. Wszak wziął swoje 500 dukatów?

— Tak, ale one nigdy dłużej u niego nie trwają nad dwadzieścia cztery godziny. Zaprasza gości... gra i nie uspokoi się, aż ostatni grosz przepije i puści w karty — rzekł Boskamp.

Spis posłów, na który zwrócił uwagę Sievers, był dosyć długi, przy każdym z nich stała cyfra od 100 do 200 dukatów wynosząca. Wyjątkowo czynniejsi brali po 500 i 600. To byli *honoratiores* zgromadzenia!! Sekretarze sejmku otrzymywali po 500, z otoczenia króla, oprócz Kickiego i Ryxa, mało kto nie był na regestrze.

Obok innych niestety — stał i król z pensją trzech tysięcy czerwonych złotych. To imię na czele było niejako smutną wymówką dla tych, co po nim następowały...

Sievers oczyma badał spis i wzdychał.

— Ale mi waćpan nie mówisz, kogo nareszcie użyjesz do najważniejszej sprawy ... kto przedstawi traktat pruski?

Boskamp chustką otarł pot z czoła, było w istocie gorąco bardzo a i sprawa nie łatwa.

— Masz waćpan człowieka? zapytał Sievers.

— Nikt się podjąć nie chciał — cicho odparł Boskamp. Trzeba widzieć usposobienie. Jest taka ohyda przeciw traktatowi pruskiemu, że ani ja ani p. Buchholz dotąd nie mogliśmy znaleźć nikogo, co by się na to chciał ważyć. Każdy mówi, że życia może być nie pewien...

— Przecież się nic nie stało temu, co traktat pierwszy przedstawił? spytał Sievers.

— A w. ekscel. nie widziszże różnicy! W sejmie się odgrają wprost, że temu, co traktat z Prusami poda do podpisu... łeb ukręca.

— Odgróзки próżne! rzekł Sievers spokojnie. Mówiłeś wpan z Józefowiczem?

— Tak — i dawałem mu — 500 dukatów, ale uciekł odemnie.

— A Stein?...

— On do tego nie zdatny.

— Dziewanowski!

— Nie chce...

Sievers jeszcze imion kilka wymienił, Boskamp ruszał ramionami lub zaręczał, że się nie podejmą.

Spis posłów płatnych leżący na biurku był wyczerpany... Ambasador się chmurzył.

— Ale przecież kogoś znaleźć potrzeba? musimy! Cóż Buchholz...

— Z Buchholzem nikt mówić nie chce. Ukamienowanoby tego, coby doń poszedł i z nim jawne zawiązał stósunki. Nawet ci, co z nim są dobrze, muszą udawać, że go nie znają... Buchholz ofiaruje pieniądze ale wyznaje, że sam nic zrobić nie potrafi...

Przeszedł się Sievers parę razy po pokoju, ręce pod frak założywszy, z głową spuszczoną.

— Mówiłeś wacpan z Podhorskim? — wtrącił nagle.

Boskamp, jakby złapany na uczynku, zarumienił się i żywo rzekł:

— A jakże! mówiłem z nim, i — chociaż odmówił, przyznaję się, że na jednym nim jeszcze pokładam nadzieję. Lecz trzeba, ażebyś w. eksclen. sam z nim o tem mówił. Zgrał się wczoraj...

— Wszak się nie mylę. Podhorski to ten blady, słuszny, ze zgąstniami oczyma, jakby śpiący mężczyzna, który zdaje się nic nie czuć i nic nie widzieć a zaledwie się poruszać. Zdolności żadnych...

— Najmniejszych, — rzekł Boskamp — zaledwie to, co mu się powie, powtórzyć potrafi.

— Ale to właśnie takiego nam potrzeba... Pro-

sze mi go wyszukać, a Buchholzowi powiedzieć, że opłacić musi sownie niepopularność swoją, swojego króla i narodu.

— Buchholz powiada, że już za to około 15 000 czerwonych złotych zapłacił — odezwał się Boskamp śmiejąc.

— To jeszcze mało — dodał ambasador — ani się Polakom dziwuję, między nami mówiąc.

Ja dziś nie wyjadę z domu, bo z królem widzieć się nie chcę, jestem z niego nie kontent, zamiast mi pomagać, trzyma się neutralnie, a z tego stanowiska do opozycji krok tylko... Chcę mu to dać uczuć.

Buskamp zmilczał a potem podszepnął.

— Przez Friezgo to będzie najskuteczniejsze... Frieze śmiało mówi wszystko...

— Weź konie moje — zawołał ambasador — nie ma chwili do stracenia, jedź, szukaj Podhorskigo, gdzie chcesz, i przywieź do mnie. Znajdziesz go pewnie, gdzie gra lub hulanka... A proszę cię, pospiesz... bo na jutro krok stanowczy przypada!

To mówiąc Sievers usiadł do pisania swego listu... gdy adjutant ukazał się we drzwiach i oznajmił Walewskiego, wojewodę sieradzkiego.

Walewski trzymał przeciwko konstytucji 3 maja należał do Targowicy, był to republikanin obłąkany jak wielu innych... ale mylił się — *bona fide*; Cesarzowa sama z Petersburga chciała go mieć marszałkiem sejmowym, lecz gdy się dowiedział o rozbiórce kraju — odmówił wręcz... Zagrożono mu konfiskatą dóbr.

— Bierście i dobra i życie... Kiedy ma kraj przepadać, niech wszystko diabli biorą!

Zmuszał go Sievers, prosił, obiecywał, nic nie pomogło. — Walewskiemu, uszanowawszy tę niezłomną jego choć zapóźną uczciwość, dozwolono wyjechać z Grodna. Oddalił się był i usunął zupełnie. Teraz go sprawa familijna ściągnęła na Litwę a ciekawość do sejmu.

Przychodził zobaczyć Sieversa.

Cała powierzchowność jego oznajmywała Polonusa typu tego, jaki saska u nas wyrobiła epoka... Ogro-

mny, ciężki, beczkowaty, z wąsem długim, w polskim stroju, z ręką za pasem u karabeli wtoczył się zwolna do gabinetu.

Sievers go zimno ale grzecznie powitał...

— Cóż tu pan wojewoda porabia? — spytał.

— Włóczę się — miejsca sobie znaleźć nie mogąc, odparł wzdychając Walewski.

Stali oba... Mimowoli oczy przybyłego padły na ten spis leżący na biurku, około którego stojące cyfry aż nadto były znaczące. Wojewoda się cofnął, czoło mu się zachmurzyło i westchnął...

Sievers dostrzegł i ruchu i jego przyczyny, nie miał powodu tać się zbyt, szyderski uśmiech przebiegł jego usta.

— Wiem, panie wojewodo, odezwał się, że na nas i przemoc naszą głośno się skarżycie... Ani Rzewuski, ani wy, ani nawet kanclerz Małachowski, coście byli przyjaciółmi Rosyi, nie szczędzicie nam dziś wyrzutów... Cierpiemy to... Imperatorowa pojmuje waszą boleść, jest wspaniałomyślną.

— Już ciż, odezwał się ponuro wojewoda, choć jęczeć niech nam będzie wolno!!

— Jęzczcież na własną winę — dodał Sievers... Wojewoda spojrzał nań zastygłym wzrokiem.

— A tak — rzekł — któż się do grzechu nie przyzna! Winniśmy!... aleście pracowali dobrze i długo, aby w nas grzech, zgniliznę, choroby, wszystko złe zaszczepić... Czytaliśmy dzieła tego Fryderyka, którego świat wielkim nazywa... wiemy z nich, że spisek był od wieku na Polskę, aby ją słabą, nikczemną, pogardzoną uczynić... Truto nas i otruto.

— Panie wojewodo! zawołał prostując się ambasador... to są wyrazy.

— Jesteśmy sami, panie ambasadorze, odpowiedział Walewski, oprócz Boga nikt nas nie słyszy... Ja klamać nie umiem i nie mogę, jestem za stary... Bać się nie boję, to wasza ekscelencya wiesz.

Wyrzucacie nam zepsucie! Uderzcie się w piersi. Któż nas psuł, gorszył, rozpajał i rozłajdaczał, jeśli nie wy? To był system, spisek — zadanie. Poiliście nas, aż upoiłi...

Westchnął i łzy mu się potoczyły z oczów.

— Padamy ofiarą grzechów naszych! dodał, ale Bóg osądzi sam, czy one się naszymi nazwać mogą, a jeśli jest sprawiedliwość...

Tu mu głosu zabrakło. Zmieszany Sievers ręką dawał znak milczenia, doznał nadzwyczaj przykrego uczucia.

— Płacicie dziś zaprzędanym, ale od dzieciństwa wdrażaliście ich do rozpusty... marnotrawstwa... i przedajności...

Nastąpiło milczenie, niespokojny Sievers się przechadzał z chmurą na czole...

— Pan tu długo myślisz zabawić? zapytał.

— Nie sędzę — odparł Walewski... Grodno w sobie nie pociągającego nie ma. Spocznę i ruszę dalej...

— Pan jesteś zirytowany, jak widzę — dodał Sievers starając się pohamować wzruszenie, w takim stanie ten widok naszych tergiwersacyi nieprzyjemnieby działał na pana wojewodę... Jabym mu życzył po przyjacielsku... jak najrychlej ztąd się oddalić.

Wojewoda, który łzy ocierał — rozśmiał się szydersko.

— Radę waszjej ekscelencyi — doskonale rozumiem, rzekł, byćby nawet mogło, że z troskliwości o bezpieczeństwo moje — dodałbyś mi straż honorową aż na Wołyn!...

— Zdaje mi się, że tego nie będzie potrzeba — rzekł ambasador sucho...

— Tak — bo ja jutro wyjadę — odezwał się Walewski.

— A dzisiejszy wieczór gdzie spędzić myślicie? zapytał Sievers. Jabym go prosił do siebie.

— Dziękuję pięknie — rzekł wstając i kłaniając się wojewoda — jestem drogą zmęczony i prawdopodobnie zostanę w gospodzie... I nie lękajcie się — bym tak gorzkimi wyrazami przemawiał do ziomków moich. Mam litość nad nimi! Po cóż dolewać żółci do tego kielicha, któryście im zgotowali...

— A! wychyla się tu kielichów czystego wina... do których żółć się nie miesza — bardzo wiele, ode-

zwał się Sievers nie bez aluzji złośliwej, bo wiedział, że pan wojewoda pić lubił.

— Mylicie się — szepnął Walewski — nie ma teraz dla nas kielicha bez téj kropli niewidzialnej... a ile w nie leż gorzkich pada — to Bóg policzy...

Lecz... po co o tém dłużej mówić mamy — dodał, gdy ja o czém inném dziś nie umiem i nie mogę. Złożywszy mu moją rewerencyą... (tu się nisko pokłonił) — odchodzę...

Sievers podał mu rękę odprowadzając do drzwi.

— A więc jutro...

— Nieodszownie — powtórzył wojewoda — do domu powrócę... starym kościom odpocząć...

I wytoczył się wojewoda jeszcze wzruszony tą krótką rozmową, która go zburzyła. Sievers chciał sięść do pisania listu do córki — ale mu ręka drżała... i w głowie czuł dziwny zamęt. Tych kilka słów odważnych padło mu w duszę jak kamień w wody jeziora, od którego cała marszczyła się i drżała powierzchnia. Pierwszy raz od dawna uczucie ludzkie jakieś, niby litość jakaś i zgryzota sumienia odezwały się w zastygłym starcu... Napróżno chciał przed sobą samym uczynić Walewskiego śmiesznym, jego mowę dziwaczną, jego rozumowania bezzasadnymi... Nie uspokoił się wprzody, aż sobie przypomniał, że dwie było moralności na świecie, które między sobą nie były w żadnym związku — moralność prywatnych ludzi do domowego i powszedniego użycia dla małuczkich i prostaczków i owa druga moralność polityków i dyplomatów, której cnotą jedyną — było powodzenie i zwycięztwo, a drogi do tego celu wiodły, bodaj przez manowce i trzęsawice... z tego się nikomu nie zdawało rachunku.

Tém się jeszcze pocieszał Sievers, że opracowywał nową konstytucyą dla Polski i w sumieniu zdawało mu się, że nieszczyćście milionów zapłaci swojej fabryki instytucjami... za które go pokolenia błogosławić będą...

Myślał tak siedząc z swoim piórem nad papierem, gdy zaturkotało... W chwilę potem wchodził Boskamp — wiodąc z sobą pana szambelana Adama

Podhorskiego, posła wołyńskiego... Przerazająca rzecz, ilu tam było w obu obozach szambelanów in partibus.

Sievers zaledwie się na przywitanie poruszył, wstał markotny, widać było, iż wolałby był sprawę tę — ten żar cudzemi zagrzebać rękami. Oczywiście dał znać Boskampowi, aby ustąpił. Konsyliarz coś zamruczał i wysunął się drugimi drzwiami.

Podhorski stał milczący. Ambasador wciągnął go aż we wgłębienie muru ku oknu.

— Panie szambelanie, rzekł — na pańskim rozumie polegam, że mi oddasz przysługę ostatnią, jakiej wymagam, dla mnie ważną, bo raz koniec tych nieszczęśliwych wrzasków przyspieszy. Wiem, że masz odwagę stoicką.

Podhorski potarł wąsa.

— O co idzie? spytał.

— Nie mówił panu Boskamp?

— Coś natrącił — ale, w rzeczy...

— Najprostsza w świecie czynność, należy traktat pruski przedstawić do podpisu.

Podhorski podniósł oczy.

— W izbie mnie na szablach rozniosą, rzekł — to niepodobieństwo.

— Przecieżbym w. pana nie naraził na to, odparł Sievers, — anibyśmy dopuścili, ażeby obrady tak się tragicznie miały zakończyć. Będiesz waćpan miał wojsko moje w odwodzie.

— Około sali... ale w sali...

— Oficerowie zastąpią arbitrow, których żywiej duszy nie dopuszczę.

— To się na nic nie przyda, poprzysiężono śmierć temu co traktat poda!

— Cóż waćpanu do tego, że te wartogłowy krzywoprzysięzcami zostaną — z uśmiechem mówił Sievers — Między tem, co oni mówią a co ja powiadam, jest ta wielka różnica, iż oni na wiatr rzucają słowa a moje się sprawdzają.

— Ale srom — rzekł Podhorski.

— Srom ich czeka, bo my postawimy na swoim. Znowu umilknął Podhorski zdając się namyslać.

Sievers się przybliżył do niego i ujął za guzik sukni.

— Jest to usługa, która nie wchodzi w nasz rachunek, rzekł po cichu — to sprawa Buchholza. Słuszną jest, ażeby te nieprzyjemności, jakie pana szambelana spotkać mogą, opłacił sownie. . . Zaręczam za ośmset dukatów *).

Skłonił się w milczeniu Podhorski.

— Krzyki będą, to nieuchronna rzecz, wrzawa, opór — ale ruchawszych postów, gdy zechcą bardzo dokazywać, aresztować i wywieźć każe. . . Bądź pan spokojny. . . Burzę potrzeba przetrwać umysłem stałym. Zasługa będzie wielka, wyzwolisz nas pan wszystkich z tego piekła sejmowego.

Stał szambelan jakby nie zdecydowany.

— Żadnych wymówek — począł poseł żywo — ja do wpana mam ufność, polegam na nim, proszę go o to. . . Nie możesz mi odmówić. Będę się starał w inny jeszcze sposób mu to wynagrodzić.

Szambelan się skłonił i zawahał.

— W. ekscelencyja każesz napisać projekt wniosku, który mam podać do laski. . . bo ja. . .

— To się rozumie, weźmiesz go pan z kancelaryi. Postaramy się o to, aby Józefowicz i inni gorąco go poparli. . .

A zatem rzecz skończona.

Sievers odetchnął znacząco, z za drzwi wyszedł Boskamp z papierami.

— Pan konsyliarz zapłaci szambelanowi dług mój natychmiast.

— Jedziemy razem do mnie, dołożył Boskamp.

Sievers na palcach liczbę ośm mu pokazał. — Skłonili się i wyszli.

— Alea jacta est! rzekł ambasador i po raz piąty siadł do listu.

*) Cyfra, jak wszystkie i jak wszystko niestety! — historyczna!

Dnia 27 sierpnia miano dokończyć czytanie protokółów z konferencyi z Buchholzem. — Umysły od wczoraj mocno były rozkołysane, opozycja milczała... ale na twarzach jęć znać było najmocniejsze postanowienie oporu ostatecznego.

Przed posiedzeniem galerye oczyszczono z obcych. Król blady siedział na swym tronie, mając przed sobą stół zarzucony papierami. Naprzeciw niego w znaczném oddaleniu marszałkowie, sekretarze i sejmowa kancelarya zajmowała stoliki. Ławy posłów były pełne, twarze posepne. Dawano sobie znaki zdaleka.

Cierpliwie dosłuchano czytania protokółów, gdy Podhorski, któremu kawał papieru wyglądał z za sukni, dosyć po cichu i nie śmiało odezwał się:

— Panie marszałku, proszę o głos.

— Poseł wołyński ma głos! odezwał się żywo, starając uprzedzić opozycją Bieliński.

Przewódczy oporu spojrzeli po sobie.

— Prześwietne... począł Podhorski, Najjaśniej-sze — chcę mówić... Tu się zająknął.

W Izbie słyhać było mruczenie...

Błada jak ściana twarz posła zbladła bardziej jeszcze...

Mówił coś, lecz dosłyszeć go było niepodobna — pochwycono tylko — Traktak z królem J. M... pruskim...

Domawiał tych wyrazów, gdy Izba niemal cała buchnęła... na ławach ruszyli się posłowie i powstawali, kilku wybiegło na środek... inni groźnie poczęli otaczać Podhorskiego.

— Nie ma zgody na traktak z Prusakiem! nie ma zgody...

— Zdrajca kraju kto śmie go podawać.

— Zdrajca! Zdrada...

Poseł Godaczewski porwał się do szabli.

— Rozsiekać!! krzyknął.

Król wstał na tronie, ale ani głosu króla... ani krzyczącego co sił Podhorskiego słyhać nie było... Wrzawa powstała, jakiej jeszcze ściany te nie słyszały...

Podhorskiemu zadrzały ręce. W chwili gdy przycichły głosy — odezwał się:

— Jeżeli i mówić nie wolno... odraczam wniosek...

Zaledwie dokończył, gdy Szydłowski zabrał głos, nie prosząc.

— Idzie o traktat z Prusakiem... domyślić się łatwo! Znajdzie się większość, co go przyjmie, ale niechże choć jeden zdrajca zginie, choć jeden z tych, co nas do zguby pchnęli, przypłaci życiem i hańbą. W obec Boga oświadczam, że kto się wniosek ten postawić ośmieli — pociągnę go przed sąd sejmowy jako zdrajcę ojczyzny!

Stawię moją głowę — albo moja albo jego niech padnie!

Taki był początek posiedzenia, którego roznamiętnienie przeraziło nawet najśmielszych... Podhorski zamilkł... Wystąpiła tłumnie opozycja... z groźbami... Co chwila... Zdrajca! latało w powietrzu...

Karski rozogniony stanął naprzeciw tronu... i począł gwałtownie bić na projekt traktatu z Prusami. Obrócił się do króla.

— W. kr. Mość! — zawołał — patrzysz na to spokojnie... niech kraj porwą na sztuki, byleby, jakęś W. kr. Mość rzekł kiedyś, zostało mu choć tyle ziemi, ile jej kapelusz nakryje, byś nad nią mógł panować...

Król blady jak trup, porwał się z tronu... Twarz zawsze łagodna, strasznój zemsty pragnieniem się wykrzywiła.

— Nigdy w życiu tych słów nie wyrzekł!.. — zawołał.

— Karski pod sąd! — krzyknął Miączyński — za obrazę majestatu...

— Pod sąd! — zaczęła wołać Izba — pod sąd sejmowy!

— Nie żądam sądu... przebaczam urazę i proszę za imp. Karskim — rzekł król głosem drżącym.

— Niech przeprosi! — odezwały się krzyki.

Karski uśmiechnął się i skłonił głowę... Śmiałym krokiem poszedł do tronu i zniżył się do ucałowania ręki pańskiej...

Chcąc odwrócić i uwagę i uczucia złagodzić, Szy-

dłowski odezwał się o ucałowanie ręki pańskiej dla wszystkich. Była to ceremonia, która wiele zajmowała czasu i najczęściej sesyą kończyła... Stało się i teraz tak, bo pilno było wszystkim gniew wydychać, narażać się, co począć dalej...

Sievers otrzymał raporta... a za niemi w ślad nadbiegł Buchholz ze skargą i przerażeniem.

— Syp waćpan pieniędzmi — rzekł mu Sievers, zimno go witając.

Zamknęli się jednak dla narady.

Buchholz wyszedł zamyślony i kwaśny. Za nim wzrok ambasadora chłodny i szyderski.

Obiecywano sobie poprawę na następniem posiedzeniu, na którym zorganizowana odsiecz miała przyjść w pomoc Podhorskiemu. Ale ta ledwie wśród groźnych okrzyków odezwać się śmiała. Gwałtowniej niż na poprzedzającej wołano sądu na Podhorskiego, któremu niemal w twarz plwano. Popchnięto Bielińskiego, znieważono sekretarzów, trwoga ogarnęła wszystkich. Winowajca stał jak pod pręgierzem, pół umarły, blady i niemy. Józefowicz, Mięczyński, tylna straż, która z rozkazu Sieversa w pomoc ciągnęła, została rozbita i zahukana.

Krasnodębski, Kimbar, Gosławski, Stoiński, Kar-ski i ich przyjaciele aż do ochrypnięcia wołali — zdrajca! i wskazując palcem Podhorskiego, domagali się sądu. Nie dano nic czytać, nic począć, pókiiby ów zuchwalec, co poszedł przeciwko wszystkim, nie został pod sąd oddany...

Nigdy opozycja nie doszła do takiej zapamiętałości rozpaczliwej — była to jej walka ostatnia, bój na ostre o śmierć lub życie, w którym przewidzieć mogła przegraną — ale chciała wyjść z sumieniem czystem, uczyniwszy tyle, na ile jej sił stało.

Gdy po tym wrzasku i znużeniu rozeszli się wreszcie a królowi w końcu mężstwa i głosu zabrakło... wszyscy z zamku chwiejąc się, niemi wracali do domów, pytając — co będzie?

Przekupieni milczeli. — Aż do téj chwili ufali w swą siłę, teraz zwątpili o nią. Sievers zimno zapytał — Co się stało? odpowiedziano mu lękając się

gniewu — przyjął to obojętnie. Buchholz latał jak szalony. Nikt gadać z nim nie chciał... Naglił na Sieversa, ten półgębkiem obiecywał.

I znowu nastąpiło posiedzenie jedno ze wzrastającą siłą oporu i śmiałością. Podhorskiego precz z izby wypchnięto sromotnie, siedział nie śmiejąc wynijść z ciemnej komórki, bo gawiedź byłaby nań w korytarzu się porwała. Zesromocoony, pogardzony, struchlały... I jeszcze raz skończyło się zwycięstwem opozycji. — Spodziewano się, że prośby pomogą... śmiało się z nich. Król — to litości prosił, to jak zabity milczał.

Naglony przez Buchholza Sievers słał noty, aorził Tyszkiewiczowi, gniewał się na króla, nie pomagało nic. Poseł pruski sypał pieniędzmi i rozpaczał, nikt, oprócz zatracenca Podhorskiego mówić za nim nie śmiał i nie chciał. Izba w ciągu tych dni przedstawiała widok osobliwszy rozpasanego słowa, zapominając wszelkich granic rozpacz. Bluzgano wyrazami, które padały na tron. Wychodzący król słyszał, jak nań wołano:

— To ojciec wszystkich Podhorskich.

Bieliński i wszyscy zaprzedańce nie śmieli wśród tego ogólnego zaburzenia podnieść głosu... niemi spełniali rozkazy a zahuczani cofali się i uniewiniali... Ankwicz dotąd milczący zdawał się ze swą krwią zimną szydersko badać stan ducha. Nie wysiłał się na walkę, jakby całą swą zręczność na ostatek chciał zaoszczędzić. Po posiedzeniu przychodził do szambelaństwa, siadał tam i zdawał sprawę żartobliwie z całego przebiegu sejmowej wrzawy a nielitościwie urągał się nie tylko swym przeciwnikom, ale i przyjaciołom.

Pannie Justynie trudno go było zrozumieć... patrzała mu w oczy. Zdawało mu się obojętnem wszystko... król, ambasador, współtowarzysze, nieprzyjaciele. Wszystkich okrywał śmiesznością, drwił ze słów, ze strachu, z grozy i ruszał ramionami.

— Z kimże pan idziesz, jeśli pan wszystkich wyśmiewasz? zapytała go Justyna.

— Ja? kochana pani — odparł Ankwicz — czyż pani nie znasz mnie jeszcze? — ja nie trzymam z nikim. Jestem na teatrze, bawi mnie widowisko, ale nie

aktorów, ani spektatorów... nie łiorę do serca, na, samej akcji, która się skończy mimo tej wrzawy tak jak ją żelazna zakreslił konieczność. Poklaskuję równia dobrze odegranej enocie, jak wybornemu czarnemu charakterowi, szanuję talent suflera... admiruję widzów prostoduszność i cierpliwość.

I ruszył ramionami, Justyna spojrzała mu w oczy przerażona. Uśmiechnął się do niej łagodnie.

— Nie miej mi pani tego za złe... Jestem wystygły. Cóżem temu winien? Jedne jej oczy trochę ogrzać mnie mogą.

Rozmowa szeptami się skończyła...

Było to w piątek wieczorem. W sobotę znużeni wszyscy wyprosilili dwa dni spoczynku. Friese przybiegł do ambasadora zapewniając, że król położyć się musiał... i wycieńczony ostatnimi burzliwymi posiedzeniami nie jest w stanie znajdować się w sobotę...

Zrana zwołał Sievers swą radę przyboczną. Radzili wszyscy... Bieliński nie widział ratunku tylko w aresztowaniu posłów, w zamknięciu sejmujących i niepuszczeniu ich z Izby, dopóki by traktatu nie podpisano...

Buchholz zrozpaczony latał nie wierząc już w nic tylko w Möllendorfa, który miał wniknąć z wojskiem i groźbą zaboru ostatecznego, nożem na gardle przymusić do traktatu... Sievers... odpowiadał mu zimno, że to popsuje w Petersburgu sprawę. Całe te dwa dni ścierali się z sobą Prusak groźbami, które nie skutkowały, Sievers oporem chłodnym. Chciał mu dać do zrozumienia, że tylko jemu i Rosyi winien będzie ustępstwo i gdy raz jeszcze przyszedł Buchholz, lękający się niełaski, niespokojny, błagający, stary go odprawił spać.

— Idź pan, rzekł, odpocznij i uspokój się — traktat będzie podpisany, bo ja widzę tego konieczność i znajduję na to środki... ale piędzi ziemi nie weźmiecie więcej nad to, co się N. Pani dać wam podobało. — Möllendorf nic tu nie dokáže. Co zrobioném być może i powinno, to ja uczynię sam. Dobranoc...

Przez dziesięć dni odegrywały się sceny podobne. Wojsko sprowadzano do miasta, obsadzano ulice, nie

wypuszczano z domów, opasywano zamek, grożono Sybirem i wywiezieniem; żołnierze otaczali izbę, działa z lontami zapalonymi po całych dniach na widok publiczny wystawione były w dziedzińcach, pułkownicy, oficerowie i generał Rautenfeld zajmowali miejsca arbitrów... nie nie pomagało.

Buchholz był w rozpacz. Sievers bardzo grzecznie z niego drwić się zdawał.

W niedzielę d. 11. września po odbyciu narady z przyjaciółmi płatnymi stary, który chorego udawał, zatrzymał u siebie Ankwicza jednego.

Z zimną krwią, która go nigdy nie opuszczała — Ankwicz bawił się kawałkiem papieru, który w trąbkę zwijał, i czekał, co mu poseł powie.

Spojrzeni na siebie, — Sievers spuścił oczy.

— Nie rozumiem waćpana, rzekł ambasador. — Cóż znaczyło znalezienie się jego na ostatniej sesyi, co znaczyła ta gorąca mowa jego przeciw uciskowi i przemocy? propozycya podania do mnie noty o pośrednictwo i bona officia i to kumanie się i ściskanie za ręce z Krasnodębskim, który jest niepohamowanym wrogiem naszym?

Ankwicz się uśmiechnął.

— W. ekscelencyja jesteś dyplomata — rzekł, ale nie znasz jak ja narodu naszego. Polska natura jest całę inną niż rosyjska, a z przeproszeniem i niemiecka. Dwojaki jest sposób zwyciężenia nas. Nużąc tylko lub pochlebiając i łagodnością wiodąc — gdzie się podoba.

Musiałem się Krasnodębskiemu wkupić w łaski, a gdy potrzeba będzie, to jego i z nim drugich poprowadzę.

— Krasnodębski się waćpanu na nic nie przyda, zawołał Sievers, bo ja go dziś wywieźć każę.

— O tém wiedziałem — odezwał się Ankwicz... i tém ochotniej podałem mu rękę, bo to mi się u innych sowicie opłaci.

Mowa też moja przeciw gwałtom i uciskom, która była bardzo piękna i gorąca, przyda mi się jutro.

To mówiąc uśmiechnął się minister.

— Nie ma na to ratunku... posłowie mi chcą

uciekać... Kossakowscy i król sekretnie intrygują... muszę użyć siły.

Ankwicz zmilczał.

— Spodziewam się, że jój nie użyję daremnie...

Spojrzał, ale już z niego nic dobyć nie mógł... Jakby roztargniony przypatrywał się minister książce, którą znalazł na stole, potem spojrzał w okno, ukłonił się i wyszedł.

— Któż go tu zrozumie? mruknął do siebie Sievers... i ich wszystkich??

W dworku pana Borysewicza spali jeszcze znużeni posłowie, bo w niedzielę radzili do późna, gdy drzwi uchylono i majster, z którym się bardzo poprzyjaźnili, wszedł z widocznym zamiarem obudzenia ich. Krasnodębski pierwszy siadł na łóżku i przeżegnał się.

— A co tam!

— Złe panie! znowu żołnierze miasto zajmują, patrole po ulicach... nikogo nie wpuszczają i nie wypuszczają — oddział już poszedł do zamku; oficerowie czegoś sznurkują po kwaterach, tylko co ich już tu nie widać. Na miłość boską, niech się panowie ubierają i uchodzą, żeby nieszczęścia nie było.

— A jakież nas jeszcze spotkać może? zapytał Krasnodębski.

— Nuż wywiozą!

Łowczy się rozśmiał.

— Kochany panie Borysewicz... zapewne, dla nas byłoby to może nieprzyjemném, ale dla sprawy kto wie? ot i nie zgorszałaby rzecz była, gdyby się gwałtu dopuścili na nas. Im więcej gwałtu, tem lepiej. Wszak to świadectwo poczciwości naszej.

Obudził się Mikorski.

— Co? czy już późno tak? zapytał.

— Ale nie — odparł Krasnodębski, ale miasto znowu wojsko zajmuje i coś się sposobi.

Mówili jeszcze, gdy wszedł chłopiec.

— A! panie! Moskali pełnusię ulice.

— Cóż? jeszcześ się z nimi nie oswoił? spytał Mi-

korski. — Idź — i przypatrz się... I śmiać się zaczęli...

Borysewicz ręce złożyłwszy — szepnął:

— Ale proszę panów — to — nie do śmiechu... Niech panowie się ubierają i zmykać trzeba... a nuż broń Boże... a nuż... Brzęk broni dał się słyszeć w sieni.

— Otóż masz, zawołał łamiąc ręce majster i wyskoczył.

Do pierwszej izby wchodził z kilką żołnierzami ten sam bardzo grzeczny oficerzyna, który przytrzymał posłów zaraz po ich przybyciu. Krasnodębski, zaledwie płaszcz na siebie zarzuciwszy, wyszedł wesoło na przeciw niemu.

— O! starego znajomego! zawołał — zawszem się spodziewał, że się jeszcze zobaczymy. Czémże panu oficerowi służyć mogę?

Młody chłopak minę miał posępniejszą niż pierwszą razą, kiwnął głową.

— Mam rozkaz aresztowania panów.

— Jak pierwszym razem? spytał Krasnodębski. Oficer się zmięszał.

— Bardzo mi przykro to panom oznajmić — ale zdaje się, że będziemy musieli odbyć podróż razem.

Mikorski usłyszawszy to z drugiego pokoju — nie mogąc się powstrzymać, zawołał:

— A! Jezu Chryste!

Krasnodębski ani drgnął.

— Przyznam się panu, że ja — nie mam nic przeciwko temu, podróżę są rzeczą nauczającą a odbywać je kosztem najjaśniejszej imperatorowej, cóż może być wygodniejszego!!

Zamilkli, oficer usiadł... żołnierze jedni zajęli miejsca u drzwi, drudzy stanęli pod oknami.

— Ale mi się ubierać wolno? zapytał ironicznie łowczy.

Oficer, którego ta wesołość raziła, nie odpowiedział nic. Wszedłszy do sypialni i zastawszy tu dosyć strwożonego Mikorskiego, łowczy go wziął za ręce.

— Nie trać animuszu! — zawołał cicho — na Boga, w obec nieprzyjaciela ani trwoży, ani żalu!...

mężtwo... a co się w duszy dzieje... — Wskazał palcem na niebo i nucąc począł się ubierać.

Mikorski był zmięszany tak, że nie bardzo wiedział, co brał w ręce. Stawał, zamyślał się... ten straszny wyraz... Sybir!... wygnanie, pustynia, rodzina osierocona, śmierć wśród lodów, bez słowa pociechy, bez dłoni, coby oczy zamknęła, bez błogosławieństwa kapłana, ścisnęła mu serce.

Gdy się to działo w dworku, gruchnęła już wieść po mieście: „Posłów wywożął!”

Zagotowało się wszystko.

Nie trwoga, jakiej się Sievers spodziewał, ale oburzenie owładło umysłami... Gromadki się skupiły radząc — iść czy nie iść na posiedzenie.

Niektórych nie wypuszczano z mieszkania, innym nie dawano wyjechać z miasta. Oprócz Mikorskiego i Krasnodębskiego zatrzymani zostali Skarzyński i Szydłowski. Tych ogarnęła trwoga. Doradzono pisać do Sieversa z prośbą... Mikorski i Skarzyński usłuchali rady, Krasnodębski ramionami ruszył.

— A nie doczekanie jego, żebym się miał korzyć i wypraszać. Mam to sobie za honor, że mnie tak niebezpiecznym nieprzyjacielem uznają i fatygują się aż transportowaniem. Dziękujcie wola Boża....

Do sesji było daleko jeszcze, miasto całe w ruchu.

W chwili, gdy go się najmniej tu spodziewać mogli, wszedł porucznik, brat Justyny, rachując zapewne na to, że wśród ogólnego zamięszania przemknie się niepostrzeżony.

Oficer nie bronił mu wniknięcia i rozmowy, wsunął się do drugiego pokoju.

— Dokąd? zapytał.

— Nic nie wiemy.... Sybir pewno! zawołał Mikorski, który list stylizował.

Krasnodębski był w przedziwnym humorze.

— Kochany poruczniku, rzekł, właśnie jesień i najlepszy czas do polowania. Imperatorowa zaprasza nas na łowy — sobole i lisy niebieskie!! pyszne polowanie.

Porucznik patrzył ze zdumieniem na odważnego desperata.

— Na wypadek — rzekł — może macie co do powiedzenia, do polecenia.

Krasnodębski schylił mu się do ucha....

— Niech Zajączek i Kościuszko nie zwłóczą....
Jeśli będą czekali, aż kraj się przygotowuje, to potrwa ruski miesiąc....

Gdy się rąbanina i pukanina pocznie — jakoś to będzie. Ludzie się pobudzą....

Zaczęli rozmawiać po cichu....

Ten i ów wpadał z kondolencyjnym zapytaniem, gromadnie robiło się we dworku. Porucznik nie chcąc być widzianym wysunął się.

Radzono różnie... gwar się wszczął jak w Izbie... aż kapitan nadszedł do oficera i gości kazał wyprosić. Z kolei płacząc, żegnali się w milczeniu. Krasnodębski ciągle wesół, dodając drugim serca. Mikorski zamyślony i drżący....

Około południa przyszła wcale niespodziana wizyta.... Karetka zatrzymała się przed dworkiem.... Oficer wybiegł, aby zapobiedz wniknięciu gościa, gdy w progu ukazał się z wygoloną bladą twarzą i lisiem spojrzeniem Boskamp, pokazując mu kartkę do przepuszczenia.

Wszedł z niezmierną grzecznością.

— Jakże mi przykro, że w chwili tak bolesnej — począł mówić.

— To już wiemy, przerwał Krasnodębski — i za kondolencją — ściskam stopki, czy interes jaki?

— Przybywam od p. Pułaskiego, który mnie prosił, przewidując, że panowie mogą być do podróży nie przygotowani, ażebym im w sposobie pożyczki przywiózł mały zasilek.

Zachnął się Krasnodębski i usta mu się nadęły.

— Najniższy sługa p. Pułaskiego, rzekł, jego pieniądze nie potrzebuje....

Mikorski powtórzył — I ja też....

Boskamp się zmieszał. — Przecież w tym dobra była intencja....

— Jak najlepsza — rzekł Krasnodębski — ale nam złoto p. Pułaskiego, wiadomego pochodzenia — nie smakuje....

Mikorski się skłonił.

— Otóż, do jakiej ostateczności doprowadziliście panowie — zresztą jak najbardziej wyrozumiałego Sieversa. Między nami mówiąc, on nic nie winien, ale Buchholz — słowo daję.

— Myśmy winni, to naturalna rzecz! rozśmiał się Krasnodębski. Sievers anioł dobroci, Buchholz pełen ludzkości, imperatorowa wspaniałomyślna, król pruski najłaskawszy, ale z nami szalonymi pałkami co mieli począć? Nieprawdaż?

Szyderstwo to nie podobało się Boskampowi.

— Nie czas żartować! rzekł lakonicznie.

— Ani myślę, ani śmiem — dodał Krasnodębski — szczerą prawdą. Dziwuję się, że nas dotąd pod sąd wojenny nie postawiono. A toć to zuchwalstwo posłowi wolnej Rzeczypospolitej śmieć mówić to, co myśli, i głosować wedle przekonania! To Jakobinizm! nie prawdaż?

Boskamp rozgniewany, bez ukłonu spieszył do drzwi, Krasnodębski szedł za nim.

— Kłaniam się! proszę moje uszanowanie złożyć ambasadorowi... stopki całuję... Panu Buchholzowi też respekta... respekta... Ale już Boskamp był za drzwiami.

Z południa widać było posłów pieszo i powozami zbierających się do zamku. Krasnodębski stał w oknie.

— Jak nas tam braknąć będzie, panie szambelanie! westchnął. Gotowi teraz beatyfikować męczennika Podhorskiego.

Oficer ku wieczorowi kazał się im gotować do drogi. Krasnodębski zawołał chłopca. — Zostaniesz tu, rzekł — dopóki po ciebie z domu nie przyszlę... Siedź spokojnie i chwal Pana Boga.

Chłopiec się rozplakał...

Pocztowa bryka i konwój kozacki stał przed ganikiem a cała ludność dworku płacząc, napelniała sieni i podwórko. Mikorski już się był wybrał, gdy Krasnodębski stał jeszcze w jednej taratatie, nie myśląc się odziewać do drogi.

— A co? czas... rzekł oficer.

— Do czego?

— Do drogi... odparł zdumiony wojskowy.

— Widzisz asindziej — rzekł spokojnie lowczy, mnie tu moja Ziemia liwska przysłała na straż i posterunek. Cobys asindziej powiedział żołnierzowi, któryby zszedł z miejsca?

— Ale waćpan musisz...

— Nie — nie muszę — rzekł Krasnodębski.

— Kozacy go siłą wezmą.

Zamilkł poseł...

Oficer skinąć musiał na żołnierzy, którzy się w progu zjawili... Płacząc chłopak, przyniósł płaszcz panu i zarzucił mu go na ramiona.

— Życzyłbym wziąć futro — odezwał się oficer, nocy zimne, a my nocami jechać musimy...

— To bieda, że go nie mam — rzekł obojętnie Krasnodębski — a na Syberyi futra tańsze.

— My przecież pana w Sybir nie wieziemy, zawołał oficer, ale do domu lub gdzie się panu podoba

— Gdzie się podoba? a to śliczności dopiero! — rzekł Krasnodębski. — Zmiłujże się przy tej okazji, mnieby się podobało niezmiernie pojechać do Włoch, futrabym kupować nie potrzebował i powietrze tam ma być przyjemne.

Tuż około progu stał Borysewicz z żoną...

— A! mój drogi, szanowny gospodarzu, zawołał Krasnodębski, widząc go — ja panu z górą pięćdziesiąt dukatów jestem dłużny. W zastaw ci poruczam rzeczy moje i służącego, póki pieniędzy nie przyszlę.

— A! na miłość Bożą! odparł na pół ze łzami pocciwy Borysewicz — nie krzywdź mnie panie! — przyjmuję rzeczy dla dozoru, ale przecie nie w zastaw. Pan mi nic nie jesteś dłużny... prawda jejmość, odwracając się do żony żywo dokończył majster, uważam to sobie za szczęście, że moja domina pod swym dachem tak zacnego obywatela miała... a — gdybyś — gdybyś pan był łaskaw istotnie na sługę swego, tobyś mi ten honor uczynił i... mam oto tu troszkę niepotrzebnego grosza na drogę...

Rozplakał się Borysewicz i jejmość i wszyscy...

oficerowi jakoś też zrobiło się markotno. Rzucił się na szyję majstra Krasnodębski i tak się pożegnali. *)

Jeszcze chwila, a bryczka konwojowana przez Kozaków znikła w ulicy.

Tymczasem zamek tego dnia opasywali grenadierowie, zatoczono działa. Ryx i Kicki wpadli do króla, donosząc mu o zaarrestowaniu posłów i o tém, że ich wywozić mają.

Załamął ręce Stanisław August.

— Gotowi i to mnie przypisać! krzyknął rozpaczliwie, tak jak niegdyś wywiezienie Sołtyka i senatorów. . .

Posłano po Tyszkiewicza, król siadł pisać do Sieversa, posłańcy, pośrednicy, kto tylko mógł, jechał na Horodnicę błagając o uwolnienie; wszyscy wracali z odmową. Ambasador był gniewny, powtarzał, że to raz skończyć potrzeba.

Na sali sejmowej zebrali się już posłowie i siedzieli w milczeniu ponurém. Jenerał Rautenfeld, któremu kazano znajdować się na sesyi przy królu, przechadzał się w środku sali, króla długo nie było. Na ostatek blady i drżący wszedł wśród milczenia i siadł na tronie.

Bieliński śmielej niż na poprzedzających posiedzeniach odezwał się:

— Zagajam sesyą.

— Sesyą nie może być zagajona — zawołał wstając Gosławski, — czterech posłów sejmu jest aresztowanych, dopóki oni uwolnionymi nie będą, obradować nie możemy . . . uchwaliliśmy prawo . . . do niego się odwołuję.

— Zgoda! zgoda! tak! Odwołujemy się do prawa, poczęto wołać zewsząd.

Nie zważając wcale ani na Rautenfelda, który usiadł po lewej ręce tronu i, założywszy ręce, obojętnie zdawał się przysłuchiwać wrzawie, ani na króla, który biernie się znajdując milczał, ani na groźbę owego aresztu, poczęto gwałtownie na przemoc wyrzekać.

*) Borysewicza postać, nazwisko i znalezienie się są historyczne.

Nie było sposobu nie rozpocząć, nie zrobić. Miączyński wystąpił z wnioskiem, aby wysłać deputacyą do Sieversa. Król wyznaczył do tego Sułkowskiego, Bielińskiego i Platę.

Rautenfeld, który miał rozkaz nie wypuszczać nikogo, nie przeczył wyjściu.

Z zamku na Horodnicę — przy największym pośpiechu, kawał drogi... wiadano, że miano czas do spoczynku. Sala przedstawiała nie po raz już pierwszy — widok dziwny milczącego zgromadzenia, które spoczywa w groźnem jakimś oczekiwaniu. Posłowie posiadali na miejscach z pochmurnemi twarzami, milczenie nastąpiło po gwarze, zaledwie cichym szeptem przerywane. Król na tronie, podparty na stoliku, papiery przeglądał z twarzą smutną. Można było niemal rozpoznać po rysach tych ludzi tak różnych usposobień uczucia, jakie w nich mieszkaly...

Wrzawliwa opozycja milczała z usty zaciśniętymi, z czołami pooranemi, z rękami zaciśniętymi na kolanach. Niektórzy pospuszczawszy głowy patrzali w ziemię, inni osłupiały wzrok wbili w sufit... Na większej części znać było jeszcze wrzącą namietność, którą zwolna ukołysywało znużenie. — Innym drgały ręce i całe ciało mimowolnemi ruchy zdradzało burzę wewnętrzną...

Józefowicz, Miączyński i przewodzcý sieversowskiej szajki naradzali się po cichu, z podółba spozierając na swych milczących przeciwników. Dawano sobie znaki porozumienia — pisane kartki przesuwano kryjomo z rąk do rąk...

Ankwicz z góry wpatrywał się w ten ciekawy obraz z zajęciem człowieka, który nic nie ma lepszego do roboty nad badanie ciekawego zjawiska... Niekiedy uśmiech przelatywał mu po ustach.

Rautenfeld zdawał się drzemać. Niekiedy wchodził oficer od warty i w obliczu Izby odbierał rozkazy, salutował, odcodził. Naówczas oczy wszystkich zwracały się na niego i opozycja ściagała go wzrokiem szyskowskim.

— I to się sejmem nazywa! szeptał Karski.

Po nadzwyczaj długo przeciągniętem oczekiwaniu

w dziedzińcu usłyszano turkot powozów, poruszyli się wszyscy, drzwi otworzyły się i posłowie weszli ze smutnymi twarzami, po których łatwo było poznać, że nie przynosili pomyślnego...

Dziwił się, gdy sekretarz począł czytać odmowną odpowiedź Sieversa — która oznajmywała, że posłowie są wyprawieni. Przy deputacyi wysłał im paszportu i pieniądze troskliwy ambasador. — W nocy pełno było wyrzutów jakobinizmu i słów próżnych.

Zaledwie czytać kończył sekretarz, gdy cała Izba zahuczała okrzykiem.

— Nie ma sejmu! nie ma sejmu pod taką przeprawą!

Karski i gromadka nieustraszona, jaka pozostała, wypadła z ławek, nie dopuszczając czytać nic...

Długi czas wśród wrzawy usłyszeć nie było można oprócz narzekania i wykrzyków opozycyi...

Nie chciało dozwolnić zagać sesyi. Oczy były zagnione, głosy coraz gwałtowniejsze...

— Umrzeć a nie dopuścić bezprawia! wołano ze wsząd.

Miączyński włożył na ławę, wskazując zegar i począł właściwym sobie sposobem, dowodzić, że — choć sesya nie zagajona, przecież sekretarzom choćby dla małej odmiany i odpoczynku można dopuścić odczytać — jakieś tam noty...

Niektórzy popadali na ławy ze znużenia, sparli głowy na rękę i tak siedzieli pół martwi, przybici... Rozpoczęto czytanie not ambasadora pełnych wyrzutów sejmowi... bluźgających mu w oczy jakobinizmem... Sievers się tłumaczył niby, ale jego odpowiedź była obelżywą i bolesną...

Skończyło się czytanie ironicznym śmiechem Kimbara...

— Posłów pewno jeszcze nie wywieziono, zawołał, a dopóki ich nie zwrócą, sejmu nie ma...

Godaczewski, Jankowski, Ołdakowski powtórzyli: — Sejmu nie ma, gdy posłów nie ma...

Król cichym głosem jeszcze raz życzył wysłać do Sieversa...

Tę razą jechać mieli kanclerze i deputowani z opozycji a między innymi Kimbar.

Posel Upitski wiedział dobrze, iż sam aresztowanym być może jak inni, bo nie mniej był winnym... lecz nie uląkł się — porwał za czapkę i szedł z innymi...

Znowu to samo zapanowało długie milczenie, ale niecierpliwsze i miotane większym niepokojem. Czas wydał się dłuższym, godziny nieskończonemi. Król był błady i litość brała nań patrzeć — zdawało się, że na tronie ducha wyzionie... Nikt jednak nie użalił się nad nim...

Posłowie wrócili — z niczem...

Izba nie miała już siły wybuchnąć — znużenie opanowało i zwątpienie...

Korzystając z tego osłupienia Miączyński, szczególnie czynny dnia tego, wyrwał się z wnioskiem o czytanie projektu traktatu... Cała klika Sieversa huknęła za nim, popierając go bezwstydnie. — Już sekretarz miał rozpocząć czytanie, gdy litewska ława Kimbar, Jankowski, Narbutt, Bogucki, zaczęli wołać — Nie pozwalamy! Nie ma sejmu!

Wrzawa, na chwilę uśmierzona, znowu do najwyższej podniosła się potęgą.

Zmieszali się ludzie, głosy i zdania...

Nie było widać ani można było odgadnąć końca. Chwilami, gdy sił i głosu brakło, grobowa cisza przeurywała wrzawę i szmer na nowo rozpoczynał zrywającą się burzę.

Obu rękami podpierając głowę, król siedział w osłupieniu — jakby litości błagając lub śmierci.

Zdawało się, że to będzie trwać do... nieskończoności, gdy Raczyński się podniósł. Zimną krwią i przytomnością mógl o lepszą walczyć z Ankwiczem, a był w tej chwili jego myśli tłumaczem.... Podszepnął mu ją były minister, widziała to Izba cała... Raczyński miał swadę łatwą i dowcipną.

Zdawało się, jakby wśród najrozkoszniejszego bankietu pogadankę wesolą rozpoczynał. Ten ton go od zahukania uratował.

— Chcąc zwrócić mowę moją do tej Izby... wi-

dzę ją in passivitate — patrzę na senat, na osobę króla jmsci, na zgromadzenie panów posłów... jak na niewolników.... Jeden tylko generał ruski jwpan Rautenfeld ma rzeczywistą activitatem.

Myśmy tu wszyscy bierni — on jeden czynny! Trzebaż przecie znaleźć środek jakiś wyjścia z tego położenia i spełnienia tego rozkazu nieodwołalnego — gdy — niestety — inaczej być nie może.

Nie ma na świecie nic nieodwołalnego... wszystko czas zmienia — a tymczasem ludzi żal i szacowne nam zdrowie jkmsci ratować trzeba. Czy nie możnaby więc — zanieść do akt uroczystej protestacyi o wywartym na nas ucisku, o gwałcie — i — nie pilnując formy zwykłej, nie głosując, nie przyjmując... wniosków... absolutnem pokryć milczeniem.... Niech sobie projekt czytają, milczmy; niech pytają, milczmy. A milczenie niech sobie, jak chcą, tłumaczą....

Ankwicz powstał.

— Przedstawiam sejmowi projekt protestacyi....

— Zgoda! zawołał Kossakowski.... Inni zawołali — Zgoda.... Opozycja — przyjęła nie mówiąc słowa — milczenie.

Rautenfeld widząc coś dla siebie niezrozumiałego — zakręcił cię i poleciał po nowe rozkazy.

Oczekiwanie znowu, ale tą razą grobowem zwątpieniem okryte....

Raczyńskiego a raczej Ankwicza pomysł ten, który wrzekomo honor Izby ratował, choć kraju nie mógł ocalić — trafił do przekonañ tych, którym sił nie stało do oporu daremnego.

Po raz trzeci cisza długa... przerywana stąpaniem wart moskiewskich pod oknami i drzwiami... przeciągnęła się wśród téj złowrogiéj nocy... prawie do rana.... Gdy Rautenfeld wszedł nareszcie z powrotem, król podniósł znużoną głowę, chciano posłyszeć, co przynosi....

Marszałek Tyszkiewicz odczytał pismo przyniesione. Sievers oświadczał w nim krótko i stanowczo, że króla z sali nie wypuści, że dla posłów słomy na pościel przynieść każe, że nikt nie wyjdzie ztąd dopóty — dopóki się jego wola nie spełni!

Nikt nie odpowiedział na te pogróżki... nikt się ich słyszeć nie zdawał, siedzieli wszyscy jak martwi, jak skamieniali bez głosu....

Miączyński, Ankiewicz, Raczyński, rozporządzali czytaniem... protestacyi, traktatu — deklaracyi... nikt się nie odezwał słowem....

Sala przedstawiała widok osobliwy jakby kilku żywych wśród zgromadzenia trupów, niedających żadnego znaku życia. Lecz ktoby był patrzył na twarze, czytałby w nich męczarnie, ból, upokorzenie... Kilku starcom bezsilnym ciekły łzy po policzkach i nie ocierali ich... innym żrenice piekło cierpienie, drgały konwulsyjnie usta, jakby zakłète otworzyć się chciały i nie mogły. Na czoła blade występował pot śmiertelny. Czytającym sekretarzom brakło głosu, najśmielszym i najbezzelniejszym odwagi. Płątały się języki... spuszczały wejrzenia, wstyd ogarniał zaprzedańców.

Rautenfeld, stary żołnierz, uczuł się wzruszonym. Wołałby był zapewne być wśród kul i boju, niż wśród tego gwałtu zadanego sumieniom, które się milczeniem śmierci straszném, o pomstę do Boga wołającém broniły.

Mogłaż nad tę wymowniejszą być protestacya nieszczęśliwego, konającego narodu?

Zegar wybił wśród téj ciszy godzinę trzecią, Rautenfeld posłuszny rozkazom swéj władzy, zażądał od króla, gdy się czytanie skończyło, aby poddał zwykłym trybem wniosek pod głosowanie.

— Nie mam władzy, — nie mogę znaglić posłów aby przerwali milczenie — odparł król sucho.

Rautenfeld zagroził wprowadzeniem żołnierzy do izby i zwrócił się do drzwi. Marszałek naówczas spytał izby o zgodę... Milczenie...

Powtórzył po dwakroć pytanie... i odpowiedziała mu taż sama cisza.

— A więc, zawołał Bieliński — izba przyjmuje jednomyślnie.

Wszystkie oczy zwróciły się na Bielińskiego, który podnieść wzroku nie śmiejąc, padł złamany na krzesło.

W téj chwili sesya była skończona. Cicha noc

wrześniowa, czarna, gwiaździsta była niemym jej świadkiem... W milczeniu poczęli wszyscy wychodzić... Ankwicz sięgnął ręką do kieszeni po chustkę i wyciągnął z niej stryczek... Popatrzał nań. Obok stał Raczyński.

— Moglibyśmy się nim podzielić! rzekł z uśmiechem...

— Nie masz pan najmniejszej potrzeby się go pozbawiać, odparł chłodno zagadniony, przed chwilą coś podobnego znalazłem także we fraku.

Ankwicz się zwrócił do Bielińskiego, który nie mógł wstać z krzesła. Milcząc, pokazał mu to godło sądu opinii.

Bieliński w odpowiedzi wyjął drugie i oba ruszyli ramionami.

— Trzeba przyznać, dodał minister, przypatrując się przy świecach sznurkowi misternie bardzo związanemu, że prawdziwy artysta wykonał te pamiątkowe emblemata za usługi, jakieśmy dziś krajowi oddali.

Ojczyzna umie być wdzięczną.

I chowając swój sznurek, wyszedł ze sali za in-nemi.

Pomimo najsurowszych rozkazów, zabraniających obcym osobom znajdować się w galeryi dla arbitrów przeznaczonej, którą zajmowali oficerowie rosyjscy... nie było prawie posiedzenia, na któreby się ktoś za sprawą wpływowych osób nie dostał. Ostatnie sesye szczególnie obudzały żywe zajęcie.

Szambelanowa, którą polityka nie wiele obchodziła, tego dnia, gdy posłów wywożono, dziwnym sposobem uczuła nieprzełamaną chętkę znajdowania się tam, gdzie nikomu być nie było wolno. Właśnie z rana przyszedł na czekoladę pułkownik Kastaliński i opowiadał jej o wydanych rozkazach, gdy boska Milusia zaczęła na wszystko go zaklinać, aby ją do sali sejmowej wprowadził.

Grzeczny adorator obrócił to w śmiech zrazu, lecz z szambelanową popsutą i nawykłą do dogadzania so-

bie sprawa była nadzwyczaj trudna. Zakłęła się, że nigdy w życiu Kastalińskiego na oczy widzieć nie chce, jeżeli dla niej tego nie zrobi. Chciała, żeby ją i męża dla przyzwoitości umieścić gdzie w ciemnym kącie — napierała się, dąsała i mimo nadzwyczajnej trudności wykonania tego kaprysu Kastaliński obiecał. Ale szambelan, który „awantur wszystkich“ nadzwyczaj się lękał, oświadczył śmiało jak nigdy — że za nic w świecie do sali nie pójdzie. Usta zwykle tak trudno się otwierające tą razą — zdobyły się na wypowiedzenie:

— Ja tego — nie tego — i — nie tego — za nic!

Ręką i głową machnął znacząco.

— Ale nie tego — za nic!

Szambelanowa musiała zaprosić do towarzystwa Justynę, która się chętnie zgodziła iść z nią na posiedzenie.

Kastaliński uprzedził, że to może potrwać długo, i że podczas sesyi niepodobna mu będzie panie wypuścić.

— Choćby do rana! odparła Milusia.

Nim się posiedzenie rozpoczęło, Kastaliński potajemnie wprowadził obie panie ubrane czarno i zakwiecone w kątek ciemny, z którego salę doskonale widzieć, głosy słyszeć było można. Dwa taborety były przygotowane, a ściana galeryą oddzielająca od sali dozwalała się ukryć i nie dać postrzedz z dołu.

Szambelanowa, którą niedorzeczna paliła ciekawość, za pierwszym wybuchem o mało nie zemdląła, chciała uciekać, zasłoniła sobie oczy — lecz Kastaliński który nadbiegł oświadczył, iż wyjść było niepodobieństwem bez narażenia się... Szambelanowa więc, pozatykawszy oczy i uszy, siedziała płacząc i łkając ze strachu, nie miała jasnego pojęcia znaczenia tej sceny, lecz widziała działa i zapalone lonty i zdawało się jej, iż lada chwila kartaczami do posłów wypalą, przyczem i jej szacowne zdrowie i życie uciepieć może.

Panna Justyna nie wiele jej pomódz i uspokoić mogła, gdyż pierwszy raz znajdując się na sali, porwaną została... uniesioną aż do obłąkania straszliwem znaczeniem tej walki, tych głosów rozpacz i straszniejszego nad wszystko milczenia. Wzrok jej mimowolnie

wśród tłumu szukał Ankwicza — naprzód z zajęciem i trwogą, później z oburzeniem i wzdrgnięciem.

Zbladła i nie mogąc się już utrzymać na nogach, musiała upaść na krzesło... Ośłupiałe jej oczy — wyrażały ból, jakiego pojęcia mieć niepodobna, kto nie widział istoty zbolełej w chwili, gdy traci ostatni, najdroższy skarb — jedyny.

Tak mogła wyglądać Medea u brzegu morza rzucana sama, nim ją szal ogarnął... Dzikiego coś błysnęło w jej oczach krwią zasłitych w jednej chwili. — W uszach jej szumiało, nie słyszała już nic... zalamane ręce położyła na kolanach... zapomniała o towarzysze, o miejscu, w którym była, i nie przebudziła się z tego szalu niemego, aż wszyscy się ruszyli i wzrok jej, zawsze szukając Ankwicza, potrzęął go w tłumie potrząsającego z uśmiechem... stryczkiem wyjętym z kieszeni.

Od tej chwili do wyjścia z zamku Justyna nie wiedziała już, co się z nią działo, gdzie była... Znalazła się wśród ciemności nocnych, w podwórzu i siadła do powozu, równie złamana, nieprzytomna jak szambelanowa, która drżała, płakała ciągle i modliła się do wszystkich swych patronów razem i do Kastańskiego...

Pułkownik śmiejąc się, pocałował ją w rękę.

— No — zawołał — chwała Bogu, toć już przecież raz wszystko skończone... a nuż teraz — to i bale pójdą inaczej... gdy tych warchotów powywozili a reszta nastraszona...

Kobiety pojechały do domu.

Szambelanowa nie pojmowała wcale znaczenia sceny, której była świadkiem, przejęła się całą tém tylko, że się na okropne naraziła niebezpieczeństwa, że jej szacowna osoba mogła paść ofiarą tych — „nieroztropnych uniesień“ (tak się wyraziła). Cała drżąca jeszcze wpadła do domu... Mąż oczekując na nią, spał na kanapie, zerwał się, przecierając oczy; — widok jego rozculił ją na nowo. Zaczęła płacząc opowiadać, że o mało ją i wszystkich posłów w dodatku nie wystrzelano kartaczami, że tylko wielkiemu rozumowi Ankwicza winni byli ocalenie.

Szambelan przebudzony ze snu a na jawie też nie bardzo pojętny, nie rozumiejąc co, gdzie i jak się stało, łamiąc ręce wołał tylko:

— A widzisz! ale uspokój się, duszeczko! uspokój się duszeczko!

Rozwinęły się z tego spazmy, od których panna Justyna nie mogła ratować, bo powróciwszy do domu, natychmiast znikła i zamknęła się w swoim pokoju.

Nie można się było do niej ani dowołać ani dostukać. Szambelan więc sam rozsnurował, rozebrał — i lekarstwami stósownemi, które zawsze były pod ręką, powoli nieszczęśliwą ofiarę niepotrzebnej ciekawości uspokoił. Tryumfowałby, gdyby stworzenie do niego podobne śmiało okazać, co myślało...

— Otóż tobie Kastaliński! mówił w sobie, oto tobie sejm i Ankwicze!..

Nad rankiem już wszystko we śnie się pograżało z wyjątkiem panny Justyny, w której pokoju do dnia się świeca paliła i słychać było chód gwałtowny... jakby rzrwanie się po pomieszkaniu a niekiedy jęk i płacz...

Nazajutrz rano... panna Justyna kazała powiedzieć, że jest chorą i że nie wyjdzie chyba później.

Szambelanowa zamruczała. — Tony sobie jakies daje z tą chorobą!

Sama ona także czuła się niezdrową, lecz ubrawszy się wyszła do salonu, bo chorując zbyt cznieby się z szambelanem nudziła...

Kastaliński przyszedł i wedle zwyczaju w humorze doskonałym i jakoś potrafił rozruszać gospodynię wiadomością o balu, który miał dać Pułaski. Do obiadu nie przyszła panna Justyna...

Szambelanowa ruszała ramionami.

Brat, który do domu tego rzadko przychodził, zjawił się po długiej niebytności i przemknął do siostry....

Gdy mu zaryglowane drzwi otworzyła i spojrzał jej w twarz, uląkł się biedny.

— Wezwałam cię, żebyś przyszedł — odezwała się — potrzebowałam widzieć się z tobą... czuję się chorą... bardzo chorą.

— Był doktor?

— Nie potrzebuję żadnego — odparła Justyna — moja choroba nie jest ani do leczenia, ani do uleczenia.

— Cóż to jest? — zapytał porucznik.

Spojrzał na nią i dostrzegł Solski, że była rozgorączkowana.

— W istocie masz trochę gorączki — odezwał się — przeziębienie może?

Ruszyła ramionami.

— Byłam wczoraj ukryta na sesji sejmowej... z niej wróciłam z tą nieuleczoną w piersi chorobą — zabita....

Spuściła głowę i płakać zaczęła.

— Słyszałem o niej — począł porucznik. — Tak, straszne to było posiedzenie tym gwałtem bezlitosnym zapamiętałym, jaki wywarto na reprezentantów narodu, na królu.... Zdeptano nas nogami.

Justyna siadła w krześle i podparła się na dłoni.

— Tyś o tém słyszał — zaczęła po cichu — a ja na to patrzałam — ten widok nigdy nie wyjdzie mi z pamięci! Nie poruszył mnie ucisk, napatrzyłam się go wprzód pod wszystkimi postaciami. — Cóż dziwnego, że barbarzyńcy nad słabym się znęcają? Tak czynią i zwierzęta — jest to powrót tylko do stanu bydlęcego.... A! to nic! ale trzeba widzieć było tych, co w tej chwili uroczystej mieli odwagę i siłę, chłodno, szydersko frymarczyć sumieniem narodu... tych zaprzędanych, co grali patryotów, aby objaw patryotyzmu przytłumić!

Zakryła sobie oczy.

— O bracie mój — rzekła — przedstaw sobie na miejscu mojem matkę, siostrę, żonę jednego z tych ludzi bez wstydu i sumienia... a pojmiesz boleść moją, bom ja tam była przedstawicielką ich matek, sióstr i żon... okrytych sromotą.

— Szczerściem — dodał porucznik — żaden z tych ludzi tak bardzo nas nie obchodzi.

Justyna zapatrzyła się bezmyślnie na podłogę i nie nie odpowiedziała. Porucznika dziki jej i obłąkany wzrok, postawa, w nieładzie rozpuszczone włosy... roz-

namiętnienie dziwne, jakiego nigdy w niej nie widział — przestraszały....

— Chciałam z tobą mówić — odezwała się, jakby siłą przebudzając z tego osłupienia — potrzebowałam cię spytać... co czynisz z sobą.... Ja sądzę, że my — że ja — możemy wyjechać wkrótce, że mnie tu nie stanie.... Nie wiem, chciałabym szambelanowej prosić, aby mnie puściła ztąd. Nie mogę pozostać dłużej, umieram — czuję się śmiertelnie znużoną. — Muszę uciec.... Chciałam cię pożegnać. Nie wiem, co zrobię z sobą — ale to życie stało mi się nieznośnem. A ty?...

— Po wczorajszej sesyi — odparł porucznik — i ja nie widzę potrzeby dłużej tu siedzieć. Sejm jest skończony.... Pozostaje tylko to, co oni za najmniejszej wagi rzecz mają — wotowanie nowej konstytucyi, którą Sievers skomponował... konstytucyi, która żyć nie będzie... i która nikogo w istocie nie obchodzi. — To, com miał do czynienia... skończyłem.

— Ale — parę dni — parę dni — zatrzymasz się tu jeszcze? — spytała niespokojnie Justyna.... Prosiłabym cię o to, jak o łaskę... parę dni.

— Dla czego? — odezwał się zdumiony porucznik.

— Bo — bo ja proszę cię o to....

— Dziwnie dziś jesteś tajemniczą!

Justyna zamyślona zdawała się nie chcieć słyszeć tego, co brat powiedział. Starając się uspokoić, odgarnęła włosy, otarła oczy i przybrawszy uśmiech na usta... zbliżyła się do brata z czułością.

— A! drogi mój! rzekła, przez lat tyle nie wdziliśmy się z sobą... gdy się rozstaniemy teraz... Bóg wie jeden, czy się jeszcze na tym zobaczymy świecic... Ty...

— Ja? przerwał porucznik wesoło — ja spiskuję tylko dopóty, dopóki muszę i w téj nadziei, że się dosięgnę wojska i walki! Będę się bił wściekle, za to ci ręczę. Ty i ja nie mamy nic do stracenia... nie wielką dań przynosimy ojczyźnie, dając się jej na ofiarę... Nie mamy nikogo, nikomu nie jesteśmy potrzebni. Jeszcze ty — ale ja...

— A! mój drogi — chyba na odwrot — tyś żół-

nierz a ja — co? nieznane ziarnko piasku na brzegu morza... nic więcej...

— Jabym cię chciał wyrwać z tego domu, dodał porucznik.

Justyna uśmiechnęła się gorzko.

— A! ja się wyrwę, wyrwę... bo mi ten pobyt nieznosny. Muszę...

Zaczęła chodzić zamyślona...

— Bądź co bądź — dodała drżącym głosem, wyciągając ręce do brata — ty mi przebaczysz... prawda?

— Cóż ja ci mogę mieć do przebaczenia?...

Zarumieniło się dziewczę...

— Któż bez winy, szepnęła. Ja ciebie mam na całym świecie jednego... ty... o mnie nie zapomnisz. Ty — bronić będziesz Justyny...

Mowa ta była niezrozumiałą dla porucznika, ale go niespokojnym uczyniła.

— Wy tłumaczże mi się jaśniej — rzekł — jesteś tak zagadkową...

— A! to ci się kiedyś wytłumaczy — dodała Justyna. Nie ma nic! nie mówmy...

Nie jedziesz jutro jeszcze? spytała.

— Żądałaś odemnie, abym się wstrzymał!

— Prawda... dzień... dwa — nie dłużej. Przez ten czas coś się zrobi... bo ja... zostać w tym domu nie chcę.

Zaczęli mówić o wspomnieniach dziecińczych, o matce... o pierwszych latach młodości, o sieroctwie swém i odbiegli od smutnej teraźniejszości do smutniejszej może, ale już uświęconej śmiercią przeszłości.

Zapomnieli się oboje... siedzieli długo...

Justyna zdawała uspokajać. Nareszcie porucznik odchodzić musiał i zaczął ją żegnać — wstrzymała go namiętnie, ścisła i płakała.

— Ależ się przecież zobaczymy jeszcze... zawołał porucznik.

I wyszedł z pokoju. Justyna zamknęła się po wyjściu jego, spojrzała na zegar i zaczęła się ubierać żywo. Gorączka, która ją odstaąpiła na chwilę, wracała... Machinalnie, nie myśląc, ubrała się w suknię czarną, zaczesła włosy... poszła spojrzeć do zwiercia-

dła i bladą twarz pożegnała jakby smutnym rzutem oka...

Nadchodziła godzina wieczorna... Justyna spiesznie udała się do salonu... Wejście jej szambelanowa powitała wzrokiem niemal szyderskim, szepnąwszy coś na ucho siedzącemu przy niej pułkownikowi, który wchodzącą ciekawemi zmierzył oczyma. Justyna nie zważała ani na te wejrzenia, ani na szyderski wyraz głosu gospodyni... Szambelan z daleka na krześle asystujący z pikulinem w kieszeni a zazdrością w sercu, popatrzał z gniewem na pannę respektową, której nie lubił, bo się na nim poznać nie umiała...

Nie patrząc na nich, panna Justyna udała się do okna i stanęła w niem, wzrok utopiwszy w ulicy. Zaczynało zmierzchać. Nagle odskoczyła od okna — a w téjże prawie chwili wszedł, nucąc piosenkę w przedpokoju — Ankwicz.

— A co? nie mówiłam? szepnęła szambelanowa do ucha pułkownikowi.

Minister przywitał z kolei wszystkich i podszedł żywo do panny Justyny, która ostro nań spojrzawszy, zimnym zmierzyła go wzrokiem, z wyraźnym jakimś gniewem i wstrętem.

Nadzwyczaj zręczny w znalezieniu się towarzyskiem Ankwicz, zarazem mówił do szambelanowej, od powiadał Kastalińskiemu, uśmiechał się do szambelana i oczyma badał pannę Justynę, od której nie odstępował.

Szambelanowa była po wczorajszém jeszcze szyderska i kwaśna. Dowiedział się dopiero Ankwicz, iż się znajdowała na posiedzeniu, spojrzął na Justynę i odgadł z jej twarzy, że i ona tam przytomną być musiała...

— Jakto? zawołał Ankwicz — miałyście panie heroizm dosiedzieć do końca? A! toście też musiały widzieć, jakeśmy ja, Raczyński i Bieliński otrzymali piękne prezenta, czekając na te, które nam przyśle Imperatorowa.

Szambelan ciekawy szepnął:

— Prezenta? jakie tego? jakie?

— Schowałem na pamiątkę! dodał Ankwicz, prze-

ślicznie, kunsztownie prawdziwie wykonany stryczek! Ja nie wiem, czy sułtan wezyrom skazanym piękniejsze posyłać może.

I rozśmiał się ruszając ramionami. Justyna drżąca ustąpiła do okna.

Szambelan ręce załamał, Kastaliński się śmiał.

— To łotry, Polaki! zawołał, to koncepta!!

— Taka to wdzięczność za trudy nasze i znoje! począł Ankwicz. A przemawiałem przecie wczoraj i pozawczoraj tak patetycznie o ucisku, że ani Szydłowski ani Ciemniowski lepijby nie potrafił. Kimbar mi podał rękę.

Wszyscy milczeli, piękna Milusia podniosła rączkę białą ściśniętą w kułaczek, podobny do bułki pszennej.

— A! to waryaty! to szaleńcy! to ludzie, którzy swojego ani cudzego życia za nic nie mają. O mały włos... chodziło, żeby Rautenfeld nie wyszedł i nie dał znaku... jakby palnęli z armat do sali.

Zakryła sobie oczy, a Kastaliński się śmiać począł...

— Na honor! zawołał, armaty nie były nabite, tylko lonty pozapalane.

— A kto ich tam wie? westchnęła szambelanowa. Szambelan zbladł i poprawił peruki.

Dziękował Bogu, że wczoraj się tam nie znajdował, bo ze słabem swém zdrowiem za przyzwoite znalezienie się ręczyłby był nie mógł.

Ankwicz korzystając z tego, że pułkownik uspokajał gospodarzy oboje — zbliżył się do panny Justyny i szepnął jej poufalsze powitanie.

Odwróciła twarz od okna...

— Masz pan powóz? zapytała.

— Stoi przed domem.

— Ja koniecznie pomówić muszę... Znajdziesz mnie w swojej karecie.

I domówiwszy tych słów, nie czekając odpowiedzi, zakręciła się po salonie... jakby szukała czegoś — i wyszła...

Szambelanowa poprowadziła za nią oczyma...

— Pułkowniku, szepnęła do Kastalińskiego, baw

mojego męża — ja mam coś Ankwiczowi do powiedzenia...

Ankwicz, pomimo oziębłości swój i umiejętności znalezienia się a panowania nad sobą... w chwili, gdy mu Justyna dziwnych tych słów kilka rzuciła do ucha, zmieształ się widocznie, osłupiał...

Stał jeszcze zamyślony i nieprzytomny prawie, co mu się nigdy nie zdarzało, gdy szambelanowa z przybraną jakąś powagą dziwną, niewłaściwą sobie, zbliżyła się ku niemu.

Skinęła i poprowadziła go z sobą do gabinetu. Strasznie się to nie podobalo pikulinowi — powiódł niespokojnie oczyma, lecz Kastaliński trzymał go za frak i drwił sobie z niego.

— A ty stary... zazdrośniku...

Gdy do gabinetu weszli, piękna Milusia bardzo seryo odwróciła się do Ankwicza, który całą swą przytomność odzyskał...

— Kompromitujesz mi dom — proszę cię — zawołała z gniewem... Mnie o tę małą nie chodzi, niech sobie ginie, kiedy chce. Nie przeszkadzałam wam, choć widziałam przecie wszystko, wiedziałam wszystko... Tylko znowu nie mogę ścierpieć...

— Cóż? co? czego? zapytał Ankwicz szydersko — mam powiedzieć Kastalińskiemu, aby przestał bywać i was nie kompromitował?...

Milusia aż się wstrzęsła...

— Że on jest przyjacielem mojego męża — zawołała — że oni się kochają jak bracia, do tego nikomu nic... Tak, ale pan mi w moim domu bałamucisz pannę... ludzie gadają...

— Cóż mogą mówić? spytał Ankwicz — jestem w tej chwili nie żonaty, ona jest wolną, któż tu skompromitowany?

— To się waćpan z tą „ordynarną“ dziewczyną bez żadnego wychowania myślisz żenić? I zaczęła się śmiać. Za kogoż to mnie masz, żebym ja temu uwierzyła — cóż to znowu jest?

Ankwicz ręce założywszy pod frak, zdawał się myśleć o czém inném, tak go to mało obchodziło, co szambelanowa mówiła.

— Więc cóż? zapytał zimno...

— Więc — proszę, albo siężeń, albo... żeby mi tego skandalu nie było...

Minister na nią popatrzył, ale z taką jakąś ironią dziwną, iż, choć słowa nie rzekł, gospodyni uczuła się obrażoną. Ruszył ramionami i ziewnął — potem na zegarek spojrzął, uklonił się i przeszedł do salonu. Milusi zrobiło się go żal.

— Ale czekajże — zawolała — nie gniewaj się, przecie nadzwyczajnych rzeczy nie żądam... tylko żeby cały świat o tém nie gadał.

— Dobrze, dobrze — odparł Ankiewicz — Dobranoc — pani.

Ta odpowiedź zimna nie podobawa się boskiej Milusi, która pospieszyła, chcąc go wstrzymać, ale minister już wziął za kapelusz... i zegnał się ukłonem...

Wyszedł szybko...

— Otóż zdaje się, że zrobiła głupstwo... po cichu szepnęła sobie szambelanowa — i wróciła na dawne miejsce na kanapie, a pikulino odetchnął swobodniej...

Karetka pana ministra stała u drzwi domu. Chociaż mu panna Justyna zapowiedziała, że w niej czekać będzie na niego, Ankiewicz nie dowierzał temu... Wieczór był jasny, pogodny, nawet jak na wrzesień ciepły, niebo jasne... księżyc wschodził pełny po nad lasami. W ulicy mrok zalegał szary... Zapuszczone story karety nie pozwalały widzieć jej głębi — Ankiewicz otworzył ją. Justyna czarno ubrana, wciśnięta w sam róg powozu, czekała nań w istocie. Człowiek, co tyle w życiu przeżył, nie bardzo może zdziwił się temu, lecz zakłopotał — co pocznie z nią.

— Dokąd pani każesz jechać? spytał.

— Gdziekolwiek bądź... gdzieś... gdzieby się na osobności, w polu... rozmówić można. Na Kołożę, jeżeli pan chcesz, do starej cerkwi, tam z pewnością nie zastaniemy nikogo.

— Ale cóż za fantazyja... po nocy!

— Fantazyja! tak! Każ jechać na Kołożę. Noc księżycowa — bardzo ładnie... owszem.

Ankiewicz szepnął coś woźnicy, siadł do powozu,

drzwiczki zatrzasnął i konie ruszyły. Justyna nie podniosła się, nie mówiła słowa, milczała z głową zwróconą ku oknu. Parę razy chciał ją wziąć za rękę, wyrwała mu ją niecierpliwie. Wyglądała oknem, jak gdyby celu podróży.

— Przyznam się pani, odezwał się po chwili Ankiewicz, że ta przejażdżka romantyczna po księżycu do starożytnego monumentu, w którym mieszkają sowy — jakkolwiek urocza... gdyby nie z jej rozkazu, byłaby do prawdy śmieszna.

Justyna nic nie odpowiedziała, ręką jedną trzymała taśmę karety, drugą cisnęła serce. Ankiewicz patrzył — przemówił raz jeszcze i widząc, że odpowiadać nie chce, — zamilkł.

Spojrzał oknem... Konie biegły bystro... byli u brzegu wysokiego Niemna, pociągnął sznurek i kazał stąpać. Niedaleko widać już było ciemno malującą się na niebie ruinę nad urwiskiem.

Otworzył drzwiczki.

— Służę pani!

Justyna wybiegła z karety... Ankiewicz koniom kazał stanąć, podał jej rękę i poszli ścieżyną po nad samym brzegiem. W głębi widać było miasto z wieżami kościołów... i zapalające się światła w oknach domów.

Justyna odwróciła się do niego.

— Jest to ostatnia nasza rozmowa — odezwała się głosem drżącym — potrzebowałam jej na osobności, na swobodzie, w obec jednego Boga...

Ankiewicz jej przerwał.

— Ale, chère Justine — cóż to wszystko znaczy? do czego takie uroczyste przybory? Jeśli mi chcesz czynić wymówki, to nie słuszne. Może pierwszy raz w życiu jestem zakochany szczerze, jestem... duszą i sercem twoim... jutro poproszę o rękę twoją... wszystko skończone.

Chwilę milczała Justyna... zakryła sobie oczy ręką...

— Wczorajszy dzień! nieszczęsny dzień wczorajszy, zawołała, zawyrokował o losach naszych. Wiesz to pan — bom mu wyznała, że zbliżyłam się doń ze

wstrętem, przewyciężając się niechętnie. Urok, czaro-
dzieństwo, kara Boża, nie wiem co... kazały mi uleść
jego słodkim słowom... serce moje nie usłuchało méj
woli, opierając się sobie, zaczęłam cię kochać, ukocha-
łam, oddałam ci się cała... zominając na wszystko!!
Jestem zgubioną...

— Justyno — przerwał Ankwicz — ja się żenię...
jutro — gdy chcesz.

— Słuchaj mnie Pan — jam Polka... mój oj-
ciec zginął z ich rąk, we mnie nie zagasło uczu-
cie przywiązania do kraju. — Kochając cię, kłama-
łam sama przed sobą, że ciebie nawrócić, że cię potra-
fię uczynić godnym tego imienia, które nosisz. Sądzi-
łam, że miłość dokaże tego cudu i dźwignie cię z tego
kału...

Po wczorajszém posiedzeniu...

Załamala ręce.

— Przestałam wierzyć! przestałam się spodzie-
wać — lękam się ciebie jak szatana... nie chcę cię...
Jestem zhańbiona, nie chcę ślubu... bo ręki twój do-
tknąłbym nie mogła... bo się ciebie boję, bo wzgar-
da moja dla ciebie miłość przewyższa.

Ankwicz stał i słuchał z głową spuszczoną.

— Panno Justyno — rzekł chłodno — po co te
sceny między nami? Mówilem, przysięgałem, że ją ko-
cham i powtarzam raz jeszcze... żenię się. Jest to
wszystko, co uczynić mogę, aby jój spokój przywrócić;
lecz — pozwól pani — dla jój miłości natury mojej
zmienić nie mogę. Osądziłaś mnie pani źle, myśląc,
że potrafisz tak starego jak ja przerobić grzesznika...
A! pani! oprócz tych czarnych oczów ja w nic nie
wierzę! Oprócz szczęścia, które piłem z twych ust,
nic nie żądam... Innym jak jestem — wystygłym
sceptykiem, dla którego równie wzgardy są godni sza-
nowni ziomkowie moi, peczciwe łotry Moskale... w
ogóle cały Boży świat — innym być nie potrafię i nie
obiecuję. Patryotyzmu grać lepiej jak wczoraj nie po-
trafię, ani z niego drwić inaczej, jak drwiłem... wszy-
stko to są dziecinne zabawki... a jeden twój poca-
łunek...

Chciał się zbliżyć — odtrąciła go Justyna.

— Dosyć tego — rzekła. Wczoraj całą tę nie-szczęśliwą głębinę twój duszy zmierzyłam i cofnęłam się przerażona... Że dożyłam do tej chwili, to cud... Jestem zmuszoną być twoją... a nie mogę...

— Justyna droga — począł Ankwicz — zlituj się... do czego to prowadzi? zastanów się...

— Mnie to zostaw — odparła, oglądając się — mój los od tej chwili moim już jest tylko... ostatnie marzenie zniweczone... Żyć! a! nie — żyćbym z tobą nie mogła! ale po cóż ukazałeś mi przyszłość zwo-dniczą, aby ją odebrać?

— Przyznasz mi — przerwał Ankwicz — że się nie maskowałem nigdy... Chciałem się podobać — lecz nie kłamałem... Wiedziałaś pani, że służę za pieniądze tym, którymi gardzę, przeciw tym, którzy mi są gorzej niż obojętni... To trupy są... ich nikt uratować nie zdoła!

— Jam miała litość nad twą chorą duszą...

— Tej choroby, kto raz ją dostał, nie pozbędzie się nigdy... Ze wszystkich wyleczyć się można, ale nie ze sceptycyzmu takiego... i pogardy dla całego świata — nie wyjmując samego siebie...

— Ani mnie! dodała Justyna gorzko. Dla czegożbym ja miała być wyjątkiem? ja, dziecinna, słaba, rozmarzona, com się, jak mucha światłu uwieść dała, aby zgorzeć w jego płomieniach...

— To bardzo poetyczne — rzekł Ankwicz — ale pozwól pani, ażebym, wysłuchawszy gorzkich tych wyrzutów, pocieszał się nadzieją, że pani jutro będziesz łaskawą dla mnie, że nie zechcesz wziąć jakim jestem... ulitujesz się.

— Dla mnie — nie ma jutra... — odpowiedziała Justyna.

Odstąpiła kilka kroków, skłoniła się lekko i chciała odejść.

Ankwicz pobiegł za nią.

— Ale — gdzież pani idziesz? sama? — zawołał niespokojny.

Namyslała się Justyna...

— Tak... to będzie lepiej — odezwała się — od-wieź mnie pan do miasta... wysiądź w ulicy...

Rozmowa była skończoną. Ankiewicz napróżno w różny sposób starał się ją wznowić, aby uspokoić Justynę, pogrążona w sobie nie odpowiadała mu wcale.

Poszli milczący do oczekującego na nich powozu. Kilka razy Justyna zatrzymała się na ścieżce... spojrziała w dół ku Niemcowi. Zdawała rozpatrywać się po okolicy. Ankiewicz był niespokojny, lecz się pocieszał tém, że ta fantazyja rozpaczliwa przejdzie i ukoj się...

Tak doszli do powozu, i Justyna usiadła znowu odsunięta od towarzysza, w samym kątku. Patrzała w okno, nie mówiła nic... Ile razy księżyc twarz jej oświecił, Ankiewicz mógł dostrzedz, że dwa strumienie łez płynęły po niej. Usta były konwulsyjnie ściśnięte; zaledwie pierwsze domy się pokazały, gdy panna Justyna gwałtownie zażądała wysiąść. Ankiewicz jednak nie pozwolił na to i dopiero w bliskości domu kazał się wstrzymać powozowi. W chwili, gdy miała wysiadać, Justyna obróciła się ku niemu — z płaczem rzuciła mu się na szyję... jakby ulegając uczuciu gwałtowniejszemu nad jej siły.

— Bądź zdrow — zawołała szlochając cicho — bądź zdrow — nie zobaczymy się więcej... a! zaklinam cię... dla pamięci mej, wskrzesz w sobie wiarę w cnotę, obudź serce — bądź innym.

Ostatnie wyrazy wyrzekła z płaczem, oderwała się od niego i wyskoczywszy z powozu, szybko pobiegła. Ankiewicz pojechał na Horodnicę. Najzimniejszy z ludzi, ale namiętny zarazem... uczuł się dziwnie zburzonym.

— Dziecko... z przewróconą tym patryotyzmem głową! mówił w duchu. Namęczy się próżno! A! te głowy kobiece!

Uspokajając się tak — mimo usiłowań największych, do zupełnego uspokojenia, do zwykłego stanu ducha powrócić nie mógł.

Nim panna Justyna wróciła do domu, szambelanova po nią kilka razy posyłała i niesłuchanie zniknięciem jej była zgorzżoną. Zaledwie dano znać, że powróciła, sama się do niej udała z wymówkami... Zastała ją jeszcze zakwefioną i zapłakaną.

— Panna nadużywasz mojej powolności, poczęła, tego już nadto!

— Przepraszam bardzo panią szambelanową, przerwała Justyna — sama wiem, że zawiniła, ale pani mi raczysz przebaczyć, bo jutro jej dom opuszczam.

Przyjm pani najszczerze dzięki za opiekę nad sierotą.

— Cóż to za fantazyja znowu? Myślisz, że ja cię prosić będę, że się nie obędę?

— Ale ja, pani dobrodziejko — bez żadnej innej myśli to mówię — tylko oznajmując jej, że zmuszoną jestem ... dom jej opuścić.

To mówiąc, drżącą ręką położyła przed nią pęk kluczków.

— Pani mi pozwoli przenocować...

Milusia stała w osłupieniu, ale gniewie razem...

— A więc wolisz waćpanna być metresą Ankwicza, niż rezydentką u mnie? syknęła szambelanowa.

Justyna się zarumieniła. — Pan Ankwicz oświadczył mi się dzisiaj i prosił o moją rękę, ale — mogę panią zapewnić, że ani jego żoną, ani pani ciężarem nie będę.

Zagadkowa ta odpowiedź niezmiernie wzruszyła Milusię, Justyna cofnęła się okazując dobitnie, że dłużej mówić nie chce, duma nie pozwalała jej narzucać. Szambelanowa wzięła klucze (na próbę, czy ich nie zażąda napowrót Justyna) i wyszła nadąsana.

W domu już nikogo nie było oprócz szambelana, który, jak zawsze, musiał wysłuchać żalów, skarg, narzekań boskiej Milusi, i podzielał zupełnie jej zapatrywanie się na niewdzięczność tej istoty — która śmiała rzucać tak dom, co jej dał schronienie — nie pozwalając się dłużej zamęczać.

— Ona się rozmyśli jutro i na kolanach prosić będzie, abyśmy ją nazad przyjęli — ale nie doczekanie... niech sobie z panem Bogiem... niech sobie lepszego, przyjemniejszego domu szuka. O! to wszystko Ankwicza sprawa.

Nie rychło się uspokoiła piękna Milusia i usnąć mogła.

Zaspali też wszyscy długo na dzień.

Gdy Magdusia, służąca szambelanowej, przyszła firanki jej pawilonu odsłonić i dać jej — dzień dobry, pierwszym słowem przebudzonej było pytanie:

— A co panna Justyna?

— Jeszcze czy śpi czy nie wiem, co robi, ale nie wychodziła... Wczoraj w nocy u niej długo światło było...

— Pójdźże zobacz i dowiedz się.

Magdusia pobiegła i oświadczyła, że drzwi zamknięte a klucz od środka.

— No, to — niby od siebie zapytaj się, czy nie chce kawy, albo co? a zobacz, czy ubrana i czy się pakuje.

Wysłana z tém służąca powróciła w dobry kwadrans oświadczając, że i ona i druga dziewczyna wołały u drzwi, pukały, stukały, ale nikt się nie odzywał. A że klucz był we drzwiach — obawiały się, czy uchowaj Boże, nie zaczadziła.

Usłyszawszy to szambelanowa przestraszona trochę, zarzuciła na siebie szlafroczek, w domu już i tak wszyscy byli zaniepokojeni, w korytarzu stała służba cała, napróżno usiłując zajrzeć przez dziurkę od klucza. Stukano z całych sił. Trzeba było posłać po kowala... domyślano się już jakiegoś nieszczęścia. — A że szambelanowa przy swych słabych nerwach na nic strasznego patrzeć nie mogła, on zaś sam wszystkiego się bał, strwożeni schowali się w salonie, powierając służbie resztę.

Wśród tego niepokoju nadszedł porucznik, a dowiedziawszy się — iż siostry dobudzić się nie było podobna, sam jak najprędzej wziął się do wybijania drzwi...

Dwóch barczystych lokajów mu pomogło i zruszono je z zawias. Otworzyły się z trzaskiem. W pokoju osłonionym firankami nic zrazu widać nie było — odrzucono je i wszyscy stanęli przerażeni widokiem, jaki mieli przed sobą.

W czarnej sukni ubrana, z twarzą zakrytą krepą czarną, z krzyżykiem w ręku, spokojna, jakby uśpiona, Justyna leżała wyciągnięta na łóżku... umarła...

Na stoliczku przy niej leżał kawałek papieru z resztką proszku i szklanka, z której wypila truciznę...

Na drugim stole trzy listy, do brata, do Ankwicza i do szambelanowej położone były tak, aby je łatwo spostrzedz było można. W mgnieniu oka rozbiegła się służba, zwiastując tę nowinę straszną po domu... a wnet w ulicy, w godzinę w całym mieście wiedziano już, co się stało.

Zemdlała szambelanowa, on sam nawet trzeźwić jej nie mógł, tak drżał z jakiegoś przerażenia i podziwu. Samobójstwa nie pojmował — w głowie mu się maciło i płakał. Porucznik, jak siadł u łóżka siostry, tak pozostał nieruchomy, listu czytać nie mógł, ale swój i Ankwicza schował, a dość mu było spojrzeć na adres, aby z niego historią całą siostry przeczytać.

Na chwilę zapomniał, że był wysłanym i nie mógł władać sobą — że był podejrzanym i łatwo mu było dostać się w ręce Moskali — pragnął zemety.

Oboje gospodarstwo domagali się, aby co najprędzej trupa wyniesiono z domu, bo pod jednym z nim dachem nocować ani nawet długo pozostać nie mogli. Szambelan cicho podszeptał o Wierzejszkach, ale po takim wstrząśnięciu Milusia potrzebowała rozrywki i nie mogła się wyrzec balu u pana Pułaskiego, na który i suknia u Lexowej była zamówiona.

Słano więc na wszystkie strony, a by co rychłej sporządzić trumnę i wynieść ciało. — Zajął się tem porucznik...

Było już z południa, gdy Ankwicz, który spotkał w mieście Kastalińskiego i od niego się dowiedział o nagłej śmierci Justyny, wpadł jak szalony do domu, wprost do pokoju nieboszczki... Stał w progu skamieniały... Drogę mu zaparł brat...

— Ani kroku dalej — odezwał się — byłeś pan powodem jej nieszczęścia i zgonu... z tego mnie, jej bratu, zdasz rachunek... nie waz się dalej!! Precz ztąd...

Ankwicz się zmarszczył i spojrzał pogardliwie.

— Mości panie, zawołał, ja tu mam prawo znajdować się nie mniejsze nad pana... Ja byłem jej narzeczonym... oświadczyłem się o jej rękę...

Porucznik zamilkł, dobył list i pokazał mu go..

— Przeczytaj go waćpan — rzekł Ankwicz — jestem pewny, że potwierdzi to, co ja mówię. Śmierci nie jestem winien... Napelnia mnie ona większą pewnością boleścią niż waćpana...

Wyrazy te wyrzeczone tonem spokojnym rozbroiły porucznika, wyciągnął list w milczeniu i odszedł...

Wieczorem na prosty wóz włożono trumnę... tłum ludu stał do koła... Brat szedł za nią. Duchowieństwo odmówiło udziału w pogrzebie i miejsca poświęconego na cmentarzu... Za ogrodzeniem wykopano dół... Kupka ludzi poszła przeprowadzić ciało w milczeniu aż do miejsca ostatniego spoczynku...

Szambelanowa tego dnia wyniosła się na noc do pustego dworku Borysewicza... tak ją wspomnienie Justyny niepokoiło... Nazajutrz tam ją chorą roznerwowaną znalazł wierny adorator Kastaliński.

Mówiono wiele o niezrozumiałych przyczynach samobójstwa, gdyż Ankwicz włożył żałobę i publicznie głosił, iż się miał żenić z Justyną. Złożono wreszcie na rodzaj obłąkania tę katastrofę niepojętą.

— Ale co ciekawego — odezwał się pułkownik — a to nam ten pogrzeb dał w ręce dawno upragnioną zdobycz... Dostaliśmy ptaszka. Ten brat nieboszczki to był emisaryusz od buntowników z Lipieka... Jego tu dawno szukano... a dopiero się to wczoraj wydało. Jak go aresztowano, chwycił papier jakiś w gębę, i co się namęczyli, żeby mu go wydrzeć z gardła — połknął!!

Pojedzie w Sybir... nie ma o czém i mówić... Ale gracz! On to przez cały sejm nas wszystkich szpiegował... chodził, kumał się... a nikt o nim nie wiedział... Dopiero ten „sławny“ Boskamp go wywachał... no... i teraz za kratką...

Szambelanowa dowiedziawszy się, że takiego niebezpiecznego człowieka miała pod dachem, na nowo się roznerwowała... Utrzymywała, że zaraz widząc go przeczuła, iż jest niepewny... że w nim siedzi coś złego... Szambelan był tegoż zdania...

Wspaniały bal u Pułaskiego, z iluminacją i fajerwerkami, zaledwie był w stanie resztę melancholii po

tym wypadku pozostałej rozproszyc i pięknej Milusi przywrócić wesoły jej humor. — Nie brakło na nim ani Ankwicza, ani żadnego z adoratorów składających zwykły dwór szambelanowej. Ankwicz był milczący i zamyślony, nie zbliżał się wcale do kobiet, lecz w opinii ich zyskał niezmiernie. Piękna margrabina Lullie przyszła mu się przypatrzeć i wciągnąć go w rozmowę... inne panie z daleka poglądały na tego bohatera — dla którego wszystko się zdawało obojętnem, oprócz kart, poszedł grać i do białego dnia przy nich siedział...

Historia 1794 roku jest ostatnią sceną tego dramatu... Ankwicz w maju padł ofiarą rozhukanego tłumu, do ostatniej chwili stoicką odwagę zachowawszy i pogardę życia... którego na dobre obrócić nie umiał.





